

WIELKI ODLOT

PRZE KROJ

POLACY ŁADUJĄ W BRUKSELI

NR 23/3336 / 10 CZERWCA 2009 / CENA 4,95 ZŁ

W TYM 7% VAT

**FOTO
RELACJA
TYLKO
U NAS**



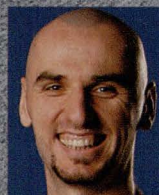
SZUKAJ
WYDANIA
Z FILMEM DVD
„MONTY PYTHON”

CZ. **22**

PO
KATASTROFIE
AIRBUSA:
KTO PILOTUJE
PILOTA?

NAJSZTUB
KONTRA
KUPICHA
- CZUJESZ
TO?!

MROŻĄCA
KREW
AFERA
W NFZ

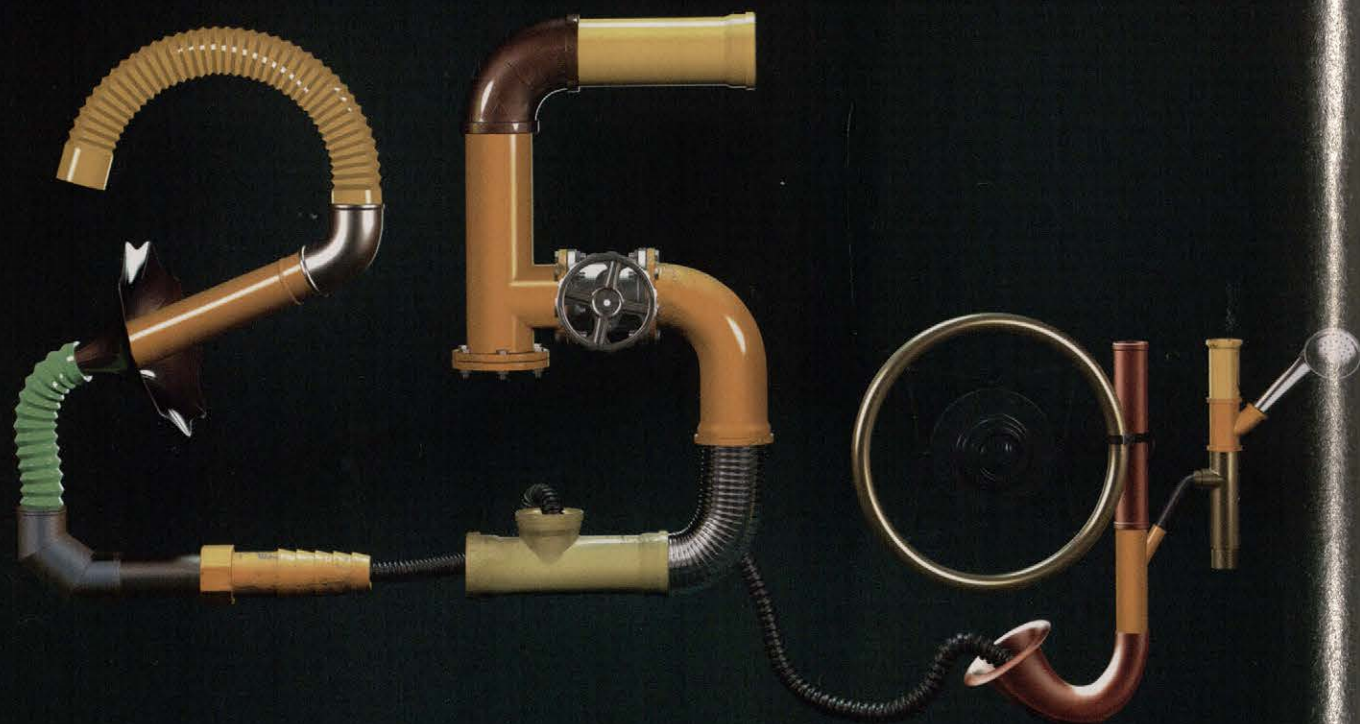


NAJLEPSZY
Z NASZYCH
W NBA.
ROZMOWA
Z MARCINEM
GORTATEM

9 770033 248908

Rozmawiaj przez co chcesz

Promocja Tylko SIM i



za minutę do wszystkich

Jeśli masz już telefon – nieważne, czy dostałeś go w prezencie, okazynie kupiłeś albo odkurzyłeś stary z szuflady... Przyjdź z nim do nas, skorzystaj z promocji **Tylko SIM** i rozmawiaj ze wszystkimi od **25 groszy** za minutę.

zapraszamy do salonów i na www.tylkosim.orange.pl

orange

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI; FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER, DARIUSZ GACEK/REPORTER



Więcej obrazków na www.przekroj.pl

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o wzmocnieniu składu Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego – funkcjonariusze wywiadu mają wreszcie duszpasterza, który jako wolontariusz będzie im niósł posługę duchową. Rzecz jasna, w rzymskokatolickiej wersji – w końcu tylko Polak katolik może porządnie służyć Polsce. Bo mamy kilka wątpliwości – czy agenci ABW standardowo „przeświecili” księdza prałata komandora, czy byli to katolicy i czy przy tym nie zgrzeszyli, a jeśli tak, to przed kim się wypowiadają? A jeśli to nie byli katolicy, to jak im ufać?

...o krytyce rządu Tuska ogłoszonej przez Jarosława Kaczyńskiego przy okazji informacji o przejęciu Opla przez Rosjan. Bo krytyka prezesa jak to krytyka prezesa – brzmi wciąż tak samo, choć przyznać mu trzeba, że gdy go przycisnie, to i zniemacka rymem zabłyśnie: „premier powinien pojechać do Brukseli i tam pięścią w stół strzelić”. A juści!

...o krytyce rządu Tuska przy okazji wystąpienia prezydenta Lecha Kaczyńskiego na obchodach 20-lecia niepodległości w Gdańsku: „Cudów nie

ma, wszystko ściema!”. Bo pisanie o mistycyzmie związków bliźniaczych (rymy) byłoby banalne, o myleniu rejestrów języka w uroczystej sytuacji publicznej – przemądrzałe, a z zbyt daleko posunęlibyśmy się, sugerując, że prezydent stracił wiarę, choć kiedyś zapewniał, że będzie katolikiem do końca życia.

...o pani, która kandydowała do europarlamentu z listy Prawicy Rzeczypospolitej i na spotkaniu z wyborcami przekonywała, że: „Homoseksualizm jest chorobą przekazywaną genetycznie i należy ją leczyć. Zadaniem rodziców jest tak prowadzić dziecko od najmłodszych lat, aby

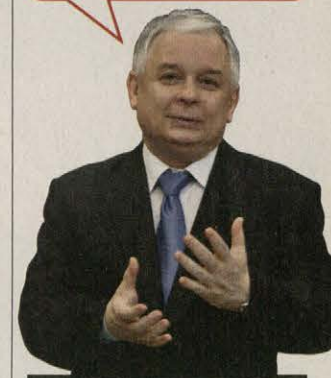
ta choroba się w nim nie rozwinęła”. Bo nie wystarczy powiedzieć coś od rzeczy, żeby zaraz trafić z nazwiskiem na nasze łamy.

...o geju eurokandydacie, który poczuł się urażony powyżej cytowaną wypowiedzią i poszedł z tym do sądu w trybie wyborczym. Bo pytanie sądu, czy ktoś bredzi, nie ma sensu, obrażanie się na brednie tym bardziej.

...o sędzim powyższego sporu, który uznał, że w 24 godziny sam nie może rozsądzić, czy homoseksualizm jest chorobą. Bo powinniśmy mu zafundować jakieś dokształcanie, a nie stać nas.

Syntetycznie powiedziane

Droga do tego, co jest dzisiaj, była trudna. Najpierw nie było niczego, a później było, ale nie było nikogo stać. Teraz jest tak, że jest i wielu stać, ale i wielu nie stać



Prezydent **Lech Kaczyński** o 20 latach III RP

Powiedział, co wiedział

Bez względu na sytuację wygra Prawo i Sprawiedliwość



Przemysław Gosiewski, poseł PiS, po przerwaniu konwencji wyborczej przez informację o podłożeniu bomby

LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta +

Po wyborach (komentarz przegranego): już nigdy nie będę liczył na głos.

ZOBACZ PRZE KROJ



36

LUDZIE

Marcin Gortat – czy teraz Polacy pokochają koszykówkę?

PRZED WSYSTKIM

6 | **Komentarz** Pawła Moskalewicza

PRZEKROJ TYGODNIA

8 | **Powiększenie:**
Złota polska załoga
14 | **Kraj**
16 | **Świat**
18 | **Biznes**

WYDARZENIA KRAJ

20 | **Rynek prasy się kurczy**
– krótka historia „Dziennika”
24 | **40 milionów** wyrzucone w błoto.
Afera w NFZ o krioterapię
26 | **Komunie dzieci,**
czyli jak daliśmy się zwariować

WYDARZENIA ŚWIAT

28 | **Europejczycy!** Oddajcie przemysł Chinom!
31 | **Historia kryminalna**
ze szminką w roli głównej

LUDZIE

32 | **Najstubszy pyta Kupicę:**
dlaczego tak właśnie gra?
36 | **Marcin Gortat** – mamy nowego i dużego Małysza (w NBA)
38 | **Teczki osobowe**

CYWILIZACJA

40 | **Kontrolerzy lotu**
– zawód najwyższego zaufania
44 | **Skorzystaj** i może przeżyjesz
46 | **Powrót wilków.**
Oczekiwany

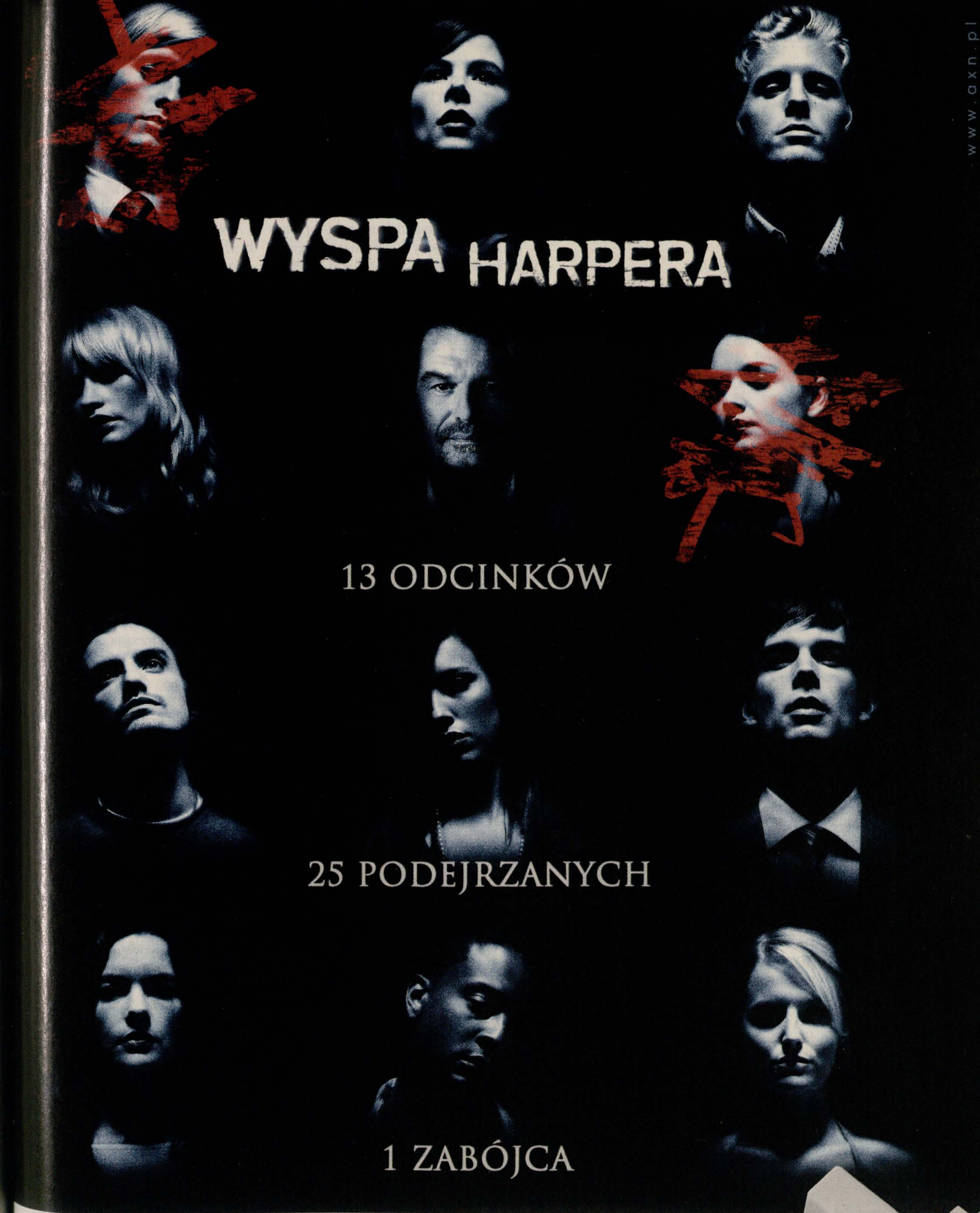
KULTURA

48 | **Muzyka:** Prawdziwych festiwali już nie ma
52 | **Film:** „Genua. Włoskie lato”
53 | **Twórca:** Piotr Anderszewski
56 | **Książki:** Thomas Bernhard „Zaburzenie”
57 | **Komiks:** Jean-Philippe Stassen „Deokratias”

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

3 | **W tym tygodniu** nie piszemy
51 | **Czwarta strona kultury**
– felieton Bartka Chacińskiego
64 | **Rozmaitości** z krzyżówką, jolką i felietonami
67 | **Stopklatka**
3, 6, 64, 66 | **Raczkowski:** Rysunki

FOT. GETTY/FPN; OKŁADKA: FOT. BOGDAN KRZEL, AP



Od 14 czerwca w niedziele o 22:00 w



a SONY PICTURES ENTERTAINMENT company

www.axn.pl



Sukces Tuska, sukces Polski

Paweł Moskaiewicz

W UBIEGŁĄ NIEDZIELĘ WYBIERALIŚMY POSŁÓW DO PARLAMENTU Europejskiego, jednak nikt nie ma wątpliwości, że te wybory były plebiscytem poparcia dla partii krajowych. Wygrana Platformy Obywatelskiej jest więc jej wielkim sukcesem – tym większym, że ugrupowaniu Donalda Tuska przyszło rządzić krajem w czasach niespotykanego wcześniej kryzysu.

Według danych, którymi dysponowaliśmy zamykając ten numer „Przekroju”, Platforma zdobyła między 45 procent (ogólnopolski sondaż telefoniczny MB SMG/KRC) a nawet 54 procent głosów (sondaż exit polls przeprowadzony przez OBOP w pięciu okręgach wyborczych). PiS został zdeklasowany, zdobywając według różnych sondaży od 23 do 29 procent głosów. Nad kreską znalazły się jeszcze SLD (10–12 procent poparcia) i PSL (7–8 procent). Frekwencja – według sondaży – wyniosła niespełna 28 procent.

Co oznaczają te wyniki? Przede wszystkim wielki sukces Platformy Obywatelskiej. Przyjmując nawet najgorszy dla tej partii sondaż, ugrupowanie Tuska po dwóch latach rządów poprawiło swój wynik z wyborów parlamentarnych aż o 4 procent. Prawie tyle samo stracił PiS. To w polskiej polityce przypadek niespotykany. Od 20 lat nie zdarzyło się, żeby partia będąca u władzy ponownie wygrała wybory.

Przyczyn sukcesu Platformy jest przynajmniej kilka. Przede wszystkim wyborcy docenili właśnie to, że ogólnopolską chorobę Polska przechodzi zdumiewająco łagodnie i jako jeden z nielicznych krajów UE zachowała dodatni wskaźnik wzrostu PKB. W krajach mocniej dotkniętych przez kryzys partie rządzące dostały od wyborców po nosie. W Wielkiej Brytanii rządzący laburzyści prawdopodobnie przegrali z torysami, zaś w Niemczech chadecy Angeli Merkel wprawdzie wybory wygrali, ale zdobywając aż 6 procent głosów mniej niż w ostatnich wyborach. Platformie pomogła też kampania PiS, praktycznie pozbawiona europejskich akcentów, co najwyraźniej nie spodo-

bało się wyborcom. Wreszcie, sprawdzili się pomysł PO szerokiego otwarcia list dla kandydatów różnych opcji politycznych. Najlepszym przykładem miażdżące zwycięstwo Danuty Hübner, warszawskiej „jedynki” Platformy, do tej pory kojarzonej z lewicą.

Wyniki wyborów w Polsce to także sygnał, że nie dokonała się jednak pełna polaryzacja sceny politycznej pomiędzy dwiema wielkimi partiami, a SLD i PSL, na których wielu komentatorów polskiej polityki kładło już krzyżyk, wciąż mają poparcie sporej grupy wyborców. Jednocześnie widać, że wyborcy definitywnie wyeliminowali z gry ugrupowania skrajne. Nie ma też w Polsce pogody dla eurosceptycyzmu, co pokazuje zenująco niski wynik Libertasu, wspieranego pieniędzmi Declana Ganleya i propagandowymi wysiłkami telewizji publicznej.

Wielu komentatorów zwraca uwagę na niską frekwencję, o kilkanaście punktów niższą od europejskiej średniej, która wyniosła nieco ponad 43 procent. To prawda, ale warto zauważyć,

że tak jak w całej Europie frekwencja w wyborach do Parlamentu Europejskiego konsekwentnie spada, tak w Polsce rośnie. A to oznacza, że uczymy się Europy i coraz większa grupa Polaków rozumie, że PE to ważna dla nas instytucja, która decyduje o istotnych aspektach naszego życia codziennego.

W skali całej Europy wybory wygrała chadecja (EPL), zdobywając prawdopodobnie 270 mandatów. Drugi w kolejności socjaliści obejmą około 160 foteli. A to oznacza, że polski głos w europarlamencie będzie się liczył bardziej niż dotychczas. Do EPL należą bowiem europosłowie PO i PSL, którzy dysponując około 30 mandatami, będą jedną z najsilniejszych grup narodowych w największej frakcji Parlamentu. A to właśnie ona decyduje o obsadzie kluczowych stanowisk w PE. W radykalny sposób rosną więc szanse Jerzego Buzka, naszego kandydata na fotel szefa europarlamentu. Jeżeli uda nam się utrzymać sojusz z Niemcami, najsilniejszą grupą w europejskiej chadecji, sukces będzie pełny.

Wynik głosowania to sukces PO, bo od 20 lat nie zdarzyło się, żeby partia będąca u władzy ponownie wygrała wybory



WYWIŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

Przepraszamy

W numerze 20 „Przekroju” zdjęcie budynku warszawskiej Wyższej Szkoły Menedżerskiej błędnie podpisaliśmy jako siedzibę Wyższej Szkoły Dziennikarstwa i Nauk Społecznych w Poznaniu, za co czytelników i obie uczelnie serdecznie przepraszamy!

W kolejnym, 21. numerze „Przekroju” też, niestety, popełniliśmy błąd. Autorką folkowego klipsa jest Ewa Krasnowska, a nie, jak napisaliśmy, Krasowska. Bardzo przepraszamy, licząc na wyrozumiałość.

Redakcja

PRENUMERATA

**PRZE
KROJ**

TYLKO TERAZ, zamawiając roczną prenumeratę tygodnika „Przekrój”, ZAPŁACISZ 3,00 ZŁ ZA EGZEMPLARZ I OTRZYMASZ NIEZWYKŁY ZESTAW HERBAT BIO-ACTIVE Oferta dla pierwszych 50 osób.

BIO-ACTIVE

*Radość podróży,
głębia smaku*



Jedź na Cejlon z Beatą Pawlikowską i Bio-Active!

Każdy ze specjalnie oznakowanych produktów Bio-Active bierze udział w konkursie „Kiperiada”, w którym do wygrania jest wyprawa życia z Beatą Pawlikowską! Jak wygrać?

Kiper ukrył wśród swoich herbat dwie parzące się na kolor NIEBIESKI. Znajdź je i zacznij się pakować! Możesz także wziąć udział w konkursie fotograficznym, którego zwycięzca również dołączy do wyprawy. Szczegóły na www.herbatapodroze.pl



Letnie orzeźwienie z Przekrojem!

Wybierz jeden ze sposobów zamówienia prenumeraty:

Zamów przez telefon:

(022) 58 42 222 pn.–pt. w godz. 8–18, podając hasło: LATO.

Wyslij zamówienie SMS-em pod numer 72606 o treści PRENUMERATA.PRZEKROJ.LATO., a po kropce wpisz imię i nazwisko oraz dokładny adres. Koszt SMS-a: 2 zł netto (2,44 zł brutto).

Zamów przez e-mail:

bok@edipresse.pl, podając hasło: LATO.

W zamówieniu należy podać: adres dostawy prenumeraty, tytuł czasopisma. Za zamówioną prenumeratę zapłacisz listonoszowi przy odbiorze pierwszego egzemplarza. Uiszcisz także jednorazową opłatę pocztową w wysokości 5,00 zł.

Zamów za pomocą karty płatniczej:

MasterCard, Visa, Classic, PolCard – www.przekroj.pl, (zakładka: PRENUMERATA, hasło: LATO).

Prenumeratę zamawiamy zawsze z czterotygodniowym wyprzedzeniem.

Prezenty wysyłane są w terminie jednego miesiąca od rozpoczęcia prenumeraty.

Cena prenumeraty obejmuje egzemplarz tygodnika „Przekrój” bez dodatków.

Oferta promocyjna ważna od 11 do 24 czerwca 2009 roku.

Więcej informacji znajdziesz na stronie www.przekroj.pl

Cena rocznej prenumeraty krajowej tygodnika „Przekrój” **156,00 zł (202,80 zł)** (3,00 zł/egz. przez cały rok)

Prenumerata RUCH: www.ruch.com.pl

Prenumerata Kolporter: www.kolporter.com.pl

PRZEKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile Kostrzyński (szef), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniczko-Czeczott, Łukasz Wójcik **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Wojciech Mikołuszko, Piotr Stanisławski; stale współpracują: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki **ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:** rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk **PAN OD RYSUNKÓW:** Jacek Ziemiński **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Wiesław Buchner, Piotr Gidlewski, Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **FOTODZIENNIK:** foto@przekroj.pl, Marcin Kapcia (szef), Anna Bajorek, Bogdan Kręgel, Olga Piłniak, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolik, Marcin Zegarek **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej **REDAKTOR TECHNICZNY:** Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok, tel. 584 25 61 **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01 **PREZES WYDAWNICTWA:** Zbigniew Napierała **WICEPREZES WYDAWNICTWA I DYREKTOR WYDAWNICZY „PRZEKROJU”:** Ewa Redel-Bydłowska **DYREKTOR FINANSOWY:** Paweł Siatkowski **DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:** Alicja Modzelewska **ZASTĘPCA DYREKTORA ZARZĄDZAJĄCEGO:** Izabela Bochenek **DYREKTORZY ARTYSTYCZNI WYDAWNICTWA:** Elżbieta Strzalecka-Zochowska i Bogdan Zochowski **REDAKTOR PUBLIC RELATIONS:** Ewa Siniarska **DYREKTOR BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Agnieszka Bieniek **Z-CY DYREKTORA BIURA REKLAMY EDIPRESSE:** Małgorzata Perzanowska i Mariola Chlebicka-Zienkiewicz **PROMOCJA „PRZEKROJU”** promocja@przekroj.pl, Magda Kotowska – junior product manager, tel. 584 22 95; Grzegorz Makowski, tel. 584 25 05; Grzegorz Wilczek, tel. 584 25 94; ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, faks (0-22) 584 25 92 **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Małgorzata Golba – dyrektorka, tel. 584 23 11; Agnieszka Marcisz, tel. 584 21 72; Małgorzata Skorupa, tel. 584 22 95; QuadWinKowski **BIURO OBSŁUGI KLIENTA:** PRENUMERATA – informacje, zamówienia, reklamacje, tel. (0-22) 584 22 22 (pn.–pt., godz. 8–18), faks (0-22) 584 22 32, bok@edipresse.pl **PRZECZYSTOŚĆ PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE URZĘDY POCZTOWE W TERMINIE NA IV KWARTAŁ 2009 R. DO 25 SIERPNIA BR. A WŁAŚCIWE DO KOŃCA MIESIĄCA.** WPLATY NA PRENUMERATĘ SA PRZYJMUJANE BEZ POBIERANIA DODATKOWYCH OPŁAT. MOŻNA RÓWNIEŻ ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ NA WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA, WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA, **PRZECZYSTOŚĆ** – RUCH SA prenumerata krajowa – 0 804-200-600, prenumerata zagraniczna – 022 53-28-816; 022 53-28-823

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRAĆAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH

„Informujemy, że administratorem danych osobowych jest „Edipresse Polska” S.A., ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa. Dane przetwarzane są w celu wysyłania zamówionej prenumeraty wraz z ewentualnymi próbkami produktów i gadżetów firm reklamujących się na łamach czasopism oraz w celu marketingu własnych produktów i usług administratora. Każda osoba udostępniająca swoje dane osobowe ma prawo do ich wglądu oraz weryfikacji, a także złożenia sprzeciwu wobec przetwarzania danych w celach marketingowych. Zamawiający prenumeratę udostępnia swoje dane osobowe dobrowolnie. Dane nie będą udostępniane innym podmiotom, za wyjątkiem podmiotów uprawnionych na podstawie odrębnych przepisów.”



I kto by pomyślał, że potrafimy świętować patriotyczną rocznicę bez zadęcia! Dmuchając w trąbki, kosmici z Polski ogłosili początek inwazji na Brukselę

Powiększenie

Złota wyprawa

PONAD SETKA WARSZAWIAKÓW PRZEBRANA ZA KOSMITÓW ŚWIĘTOWAŁA 20 LAT WOLNEJ POLSKI W STOLICY ZJEDNOCZONEJ EUROPY, DOWODZĄC, ŻE NIE BRAKUJE NAM NIE TYLKO PIĘKNYCH KART W HISTORII, ALE I **ZNAKOMITEGO POCZUCIA HUMORU**

ZDJĘCIA BOGDAN KRĘŻEL



„Nasz piękny złoty fallus” – tak nazwali samolot malujący go pracownicy LOT-u



Pierwsi złoci kosmici wylądowali na zajezdni autobusowej na Bródnie już o szóstej rano



Po lewej: Althamer z najmłodszą córką. Rocznicą 1989 roku zawsze już będzie budzić w małych uczestnikach złotej wyprawy pozytywne skojarzenia

TEŻ CHCESZ SIĘ PRZELECIEĆ? NIC STRACONEGO! LOT PLANUJE „ZŁOTE REJSY”. WYNAJĘCIOWEGO ZŁOTEGO BOEINGA ZAINTERESOWALI SIĘ NAWET ARABSCY SZEJKOWIE



Dla niektórych był to pierwszy lot, dla chłopca w lewym rogu chyba pierwsze zauroczenie



Udziałem w imprezie nie zainteresował się ani prezydent, ani premier. Może i dobrze. Nie trzeba było dwóch kosztów, szykując dwa osobne samoloty



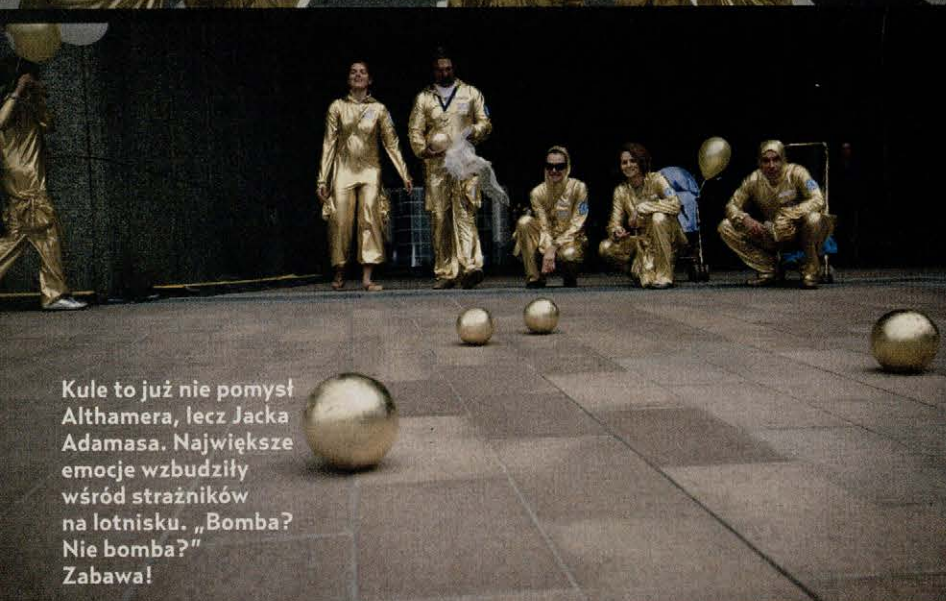
Złoci kosmici zaraz zwiedzą parlament. Polityczni kosmici też tam czasem błądzą...



Atomium: jedyne miejsce, w którym Polacy nie wyglądali jak z kosmosu



„Człowiek ze złota”. Plenery: Bruksela, okolice Atomium. Kamera – akcja!



Kule to już nie pomysł Althamera, lecz Jacka Adamasa. Największe emocje wzbudziły wśród strażników na lotnisku. „Bomba? Nie bomba?” Zabawa!



Jeszcze jeden mostek i będziemy z powrotem w Polsce... Odprawa na lotnisku w Brukseli

ANDA ROTTENBERG
KRYTYK SZUKI:
„DZIŚ CORAZ CZĘŚCIEJ
**NIE STAWIA SIĘ JUŻ
POMNIKÓW SPIŻOWYCH,**
ALE POMNIKI EGALITARNE,
CZYLI TAK ZWANE RZĘBY
SPOŁECZNE. W TEN
SPOSÓB PODKREŚLA
SIĘ UCZESTNICTWO
WIELU OSÓB W DANYM
WYDARZENIU”



Co takiego śni się Pawłowi Althamerowi? Przekonamy się niebawem, przy kolejnym happeningu



Integracja europejska. Zaproszenie do tańca dostawali wybrańcy, nalepki: „1989: Zaczęło się w Polsce” – wszyscy przechodnie

Miałem sen... – zaczyna lekko karnodziejsko Paweł Althamer. Ale to dlatego, że od snu czy podobnej wizji zaczyna się większość jego inicjatyw. Tym razem śniło mu się jego osiedle na warszawskim Bródnie, na które patrzył z lotu ptaka. Wszystko było jak zwykle, tylko ludzie ubrani byli w więzienne uniformy. Gdy 10 lat później postanowił ten sen zrealizować, by uczcić 20. rocznicę polskiej wolności, uznał pasiaki za zbyt przynębiające. Szybko zamienił je na złote kombinezony rodem ze starych filmów science fiction. W takich wdziankach blisko 160 osób dokonało w ostatni czwartek desantu na Brukselę.

Oprócz przedstawicieli mediów i organizatorów, czyli Narodowego Centrum Kultury, LOT-u, Europejskiego Centrum Solidarności i fundacji Open Art Projects, złote kosmity założyło aż 120 sąsiadów Althamera

z bloku przy Krasnobrodzkiej, na co dzień niezwiązanych ze światem sztuki. Pani Barbara pracowała jako bufetowa w Bazylijsku, pani Krystyna w administracji lecznicy Ministerstwa Zdrowia, pan Roman szeptuje Związkowi Emerytów i Rencistów, oddział rejonowy Targówek, pani Agnieszka jest przedszkolanką, a pan Józef – emerytowanym ślusarzem (pomaga czasem Althamerowi, ale artystą stanowczo się nie czuje). Choć w realizacji pomysłów sąsiada artysty uczestniczą nie po raz pierwszy, to dopiero teraz na tak dużą skalę – wcześniej, ponad dziewięć lat temu, w sylwestra wszyscy zapalili lub zgasił światło w swoim mieszkaniu, tak by na bloku ukazał się napis „2000”.

Vive la Pologne!

Obejny projekt nazywa się „Wspólna sprawa”, a w ramach niego odbywa się nie tylko „złoty lot” do Brukseli, ale także inne działania integrujące sąsiadów, takie jak malowanie klatki schodowej w futurystyczne wzory.

Podczas wycieczki nie tylko zwiedzili Brukselę, ale też zacieśnili sąsiedzkie relacje. A przy okazji – jak z pasją deklarował jeden z uczestników – „pokazali Europie, że Warszawa to nie tylko powstanie i Żelazowa Wola”. Że się udało, świadczą reakcje mieszkańców Brukseli. Na widok złotych „kosmitów” machali i życzliwie się uśmiechali, niektórzy wznosili okrzyki „Vive la Pologne!”.

Mieszkańcy Bródna zapewniają, że choć zdarza im się włączać w akcje swojego nietypowego sąsiada, są zupełnie normalni. – Nie jesteśmy wariatami – deklaruje jeden z mieszkańców Krasnobrodzkiej i zawiesza głos. – No, może co najwyżej szaleńcami. Ale to stanowczo nie to samo – podkreśla. A jedna z pań, która żaluje, że na wyprawę nie mogła zabrać psa, wzdycha, że gdyby nie ta odrobina szaleństwa, na betonowym blokowisku żyłoby się dużo trudniej. A tak to jest fajnie. Wręcz kosmicznie fajnie.

Milena Rachid Chehab
współpraca Karolina Pasternak

KRAJ

Przyciąganie przez porównanie

Walka o studenta sięga za miasto i za granicę

LUBELSKI RATUSZ PRZYGOTOWAŁ SPOT, W KTÓRYM miasto pokazano jako idealne dla studenta. Słyszemy też o zatęchłych akademikach i studenckim wyścigu szczurów w „zwykłym mieście”, które ilustruje Pałac Kultury i metro. Podobno chodzi tylko o skojarzenie z „wielkim miastem”. Biuro Promocji Warszawy nie odgryzie się Lublinowi. Tłumaczy, że miasto jest największym ośrodkiem akademickim w Polsce i teraz walczy o studentów z zagranicy. – *kom*



Net dla kobiet

Dzięki nam będziesz mądra i piękna

WYDAWNICTWO EDIPRESSE Polska, wydawca między innymi „Przekroju”, stworzyło skierowaną do kobiet sieć serwisów internetowych Edi Net. Tworzy ją 10 portali, w tym: Polki.pl, Uroda.pl, Mamacafe.pl, Zdrowy-bobas.pl, a od 1 czerwca również Wizaz.pl – największy na polskim rynku serwis o zdrowiu, urodzie i kosmetykach. W sumie Edi Net zajmuje czwarte miejsce, zaraz po serwisach kobiecych portali Onet.pl, Wp.pl i Gazeta.pl. – *aj*

Plaża bez spasmów

Dziecko z opaską nie zginie

ZAPŁAKANE DZIECI NA PLAŻY i zropaczeni rodzice są w sezonie widokiem powszechnym. Rozpraszają ratowników, którzy nie powinni odrywać wzroku od kąpieliska – mówi Marcin Wojciechowski z Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Gdańsku. Dlatego w sezonie ratownicy będą rozdawać na gdańskich plażach kolorowe opaski dla dzieci, na których będzie można wpisać dane malucha i numer telefonu opiekuna. Miasto pracuje też nad projektem „Pomoc z powietrza”, w którym nad bezpieczeństwem kąpiących czuwaliby parolotniarze. – *aj*

Foremka z grzybkim

Piaskownicy są przyjazne tylko dla kotów

GŁÓWNY INSPEKTORAT Sanitarny nakazał intensywnie kontrole piaskownic. W kilku miastach epidemiolodzy znaleźli w nich bakterie chorobotwórcze oraz grzyby, pierwotniaki i pasożyty wywołujące salmonellozę, grzybicę skóry i paznokci, toksoplazmozę, toksokarozę i glistnicę. Sanepid zalecił wymieniać piasek raz – dwa razy w roku, a nocą piaskownicę przed kotami chronić plandeką. Za nadmiar bakterii w piasku zarządca może dostać mandat do 500 złotych lub (sądownie) grzywnę do pięciu tysięcy złotych. Wymiana piasku kosztuje 500–600 złotych. – *iggy*



Jak czułbyś się wystawiony na obrzecznię petami nawet w środku nocy? Niedźwiedź Basia od lat nie ma się gdzie ukryć przed przechodniarzami.

ZEZWIERZĘCENIE ANNA SZULC

Miś jest bardzo smutny dziś

Polowa z 54 żyjących w Polsce w niewoli niedźwiedzi mieszka w warunkach, które rujną im zdrowie

NIE DA SIĘ ZAPRZECZYĆ – BASIA TRAKTOWANA jest po ludzku. Bo od lat do jedzenia dostaje chleb, a co niektórzy przechodnie poczęstują ją piwkiem lub rzucą peta. Nawet w nocy, bo klatka z niedźwiedzią brunatną Basią od kilkunastu lat stoi w Lesznie, w gwarnej miejskim parku, niedaleko marketu i stadionu żużlowego.

Zwierzę jest dostępne dla każdego przez całą dobę, zwłaszcza że nie przewidziano dla niego żadnej kryjówki. – Klatka jest na to za mała – wyjaśnia Małgorzata Buczyńska z zakładu zieleni miejskiej, który odpowiada za park i Basię. A co ze zmianą diety? Lub choćby ze wzbogaceniem jej o świeże pędy drzew, które tak lubią jeść niedźwiedzie? – Nie wiemy, jak zareagowałaby na wrzucenie jej kawałka drzewa. Dodał nie miała z konarami kontaktu. Mogłaby się zdenerwować – słyszę odpowiedź.

Taniec rozpaczy

Teraz Basia pewnie się cieszy, bo ktoś sfilmował ją, jak „tańczy”, po czym umieścił film na YouTube: niedźwiedzica buja się na ekranie w tę i z powrotem. – To nie taniec, to wyraz cierpienia – prostuje Agnieszka Sergiel z Instytutu Zoologicznego Uniwersytetu Wro-

clawskiego. Jej zdaniem takie ruchy to objaw zaburzeń psychicznych wynikających z długiego zamknięcia w ciasnym pomieszczeniu.

To właśnie Agnieszka Sergiel wraz z zoologiem doktorem Robertem Maślakiem sprawdza (w ramach międzynarodowego projektu badawczego) warunki życia zniewolonych niedźwiedzi w Polsce i prowadzi statystykę. Widziała już misia zamkniętego w schronisku dla psów, a podobne jak w Lesznie warunki znalazła w małym zoo w Braniewie i w „zwykłym” zoo w Gdańsku-Oliwie. We wrocławskim zoo niedźwiedzie żyły do niedawna w wybetonowanym dole, teraz mają półtorahektarowy wybieg.

Zaczęło się sprawdzanie

Na film z „tańczącą” Basią natknęli się niedawno ekologowie z Klubu Gaję. Wysłali do ministra środowiska wniosek, by resort natychmiast cofnął decyzję zezwalającą na prowadzenie zwierzęcia w Lesznie. Wniosek poparła rada dyrektorów polskich zoo oraz Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Na polecenie ministerstwa w piątek 5 czerwca do Basi przyjechała kontrola z Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Po kilku dniach wnioski mają być przesłane do ministerstwa.

Kto nas reprezentuje w europarlamencie?

• RAPORT SPECJALNY • RAPORT SPECJALNY • RAPORT SPECJALNY •

Czytaj tylko w serwisie wiadomosci.wp.pl

INFORMACJE KOMENTARZE RELACJE ZDJĘCIA REPORTAŻE OPINIE FELIETONY

ROZMOWA

Nielegalna tradycja

W Białymstoku od lipca będą pokazywać, jak pędzi się bimber

Po wyrokach dla bimbrowników sądy zwykle orzekają zapadek ich aparatury, czyli komisyjne zniszczenie. Tym razem dwie bimbrownie z Puszczy Knyszyńskiej trafiły do muzeum. Będą ilustrować tradycję lokalną, choć nielegalną. Ale dlaczego właśnie te bimbrownie warte są pokazania?

– Policjant, z którym załatwialiśmy formalności, zlikwidował w swojej karierze około setki bimbrowni. Twierdzi, że z takimi unikatami się nie spotkał. W pewnym sensie było mu nawet smutno, że musiał je skonfiskować. Te bimbrownie są gigantyczne. Większa ma pięć zbiorni-

ków na trzy tysiące litrów zacieru każdy! Sama blacha miedziana, z której są zrobione, warta jest w złomie około 20 tysięcy złotych. Ich wydatność to około 200 litrów samogonu na dobę. Ponadto konstruktorzy zastosowali unikatowe rozwiązania – dodatkowe chłodnice czy czujniki ciśnienia precyzyjnie pokazujące etap fermentacji. Wystawa będzie więc miała charakter edukacyjny? – Bez obaw. W Białymstoku w księgarniach i tak można kupić białoruskie książki z instrukcjami dla producentów bimbru. Skąd ta podlaska tradycja?

– Ma korzenie jeszcze w XIX wieku, gdy bimber pędziło się pod panowaniem cara. Technologia przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. Mamy odpowiednie warunki – odludne lasy, gdzie w miarę skutecznie można ukryć się z interesem. *not. iggy*

zdjęcie bimbrowni zobaczysz na www.przekroj.pl



Artur Gawel, dyrektor Białostockiego Muzeum Wsi

Sąsiedzi

POLSKA Z NIEMCAMI WYMIENIA SIĘ MURAMI

MARSZAŁEK BRONISŁAW KOMOROWSKI oraz szef Bundestagu Norbert Lammert odsłonią 17 czerwca w Berlinie pomnik z fragmentem muru Stoczni Gdańskiej. Stanie tuż przy Reichstagu (to siedziba niemieckiego parlamentu, czyli Bundestagu), obok miejsca po obalonym murze berlińskim. Pomysł zrodził się podczas wizyty prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Niemczech. Skonkretyzował się jesienią zeszłego roku, gdy szef Bundestagu odwiedził Gdańsk. Wtedy ojciec Maciej Zięba, szef Europejskiego Centrum Solidarności, zobo-

wiązał się „zorganizować kawałek stocznioowego muru, bo legalnie nie ma jego wyprzedaży”. Powstanie pomnika oznacza, że kawałek udało się zorganizować. Z kolei Niemcy prezentują Polsce kawałek muru berlińskiego. Stanie w Krzyżowej, gdzie w listopadzie 1989 roku pojechali się ówczesny kanclerz Niemiec Helmut Kohl i premier Tadeusz Mazowiecki. To tam Kohl dowiedział się o upadku muru w Berlinie. Wmurowanie jego fragmentu z udziałem Kohla i Mazowieckiego zaplanowano w Krzyżowej na listopad tego roku. – *apa*

POMYŚL PRZED NAUKĄ

53%

sluchaczy szkół dla dorosłych kształcą się w 20 zawodach, w których jest najwięcej bezrobotnych – wynika z opublikowanego właśnie raportu NIK. Chodzi na przykład o zawód kucharza, handlowca, technika mechanika lub pracownika biurowego. W szkołach dla dorosłych uczy się około 19 tysięcy osób.

REKLAMA

Wiat wariował!

9 sierpnia 2009r.

Festiwal Filmu i Sztuki
DWA BRZEGI
Kazimierz Odnowienie
Zamowienie
mod. Wrota

www.dwabrzezi.pl

Zapraszamy

Sponsoring: PGE, Energetyczna, TVP, Telewizja Polska, Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego, Kazimierz Dolny, Patronat Medialny: TVP2, gazeta, KRÓL, ams, onet.pl, FILMWEB, FILM, Nagroda Publiczności dla najlepszego filmu, a dla głosujących niespodzianka!

Oficjalny Hotel Festiwalu: Król Kazimierz Hotel & SPA

Partnerzy: empik, xerox, Spowarcie Filmowe, POL AUDIO, ISE

Bossa Nova prosto z Brazylii na Zamku w Kazimierzu.

Kocham Kino na Zamku w Janowcu.

I Bóg stworzył aktorkę – Krystyna Janda na Dwóch Brzegach.

Ojciec chrzestny Stanleya Kubricka i George Lucasa czyli Pavel Klusaczew – pionier filmów science fiction.

Kino PGE – Świat pod Namiotem – co nas zachwycało na festiwalach w Wenecji, Berlinie, Cannes, San Sebastian, Rotterdamie i Rio de Janeiro.

Lekcje kina, spowiedź twórcy filmowego – Jan A.P. Kaczmarek, Piotr Szulkin.

Porozmawiaj z nimi – codzienne spotkania z twórcami i aktorami.

Koncerty, warsztaty, wernisaże.

Nagroda publiczności dla najlepszego filmu, a dla głosujących niespodzianka!

W DUŻYM SKRÓCIE

Głupi sąd czy matka?

Angielski sędzia odebrał prawa rodzicielskie 24-letniej matce, według niego „za mało inteligentnej”. Choć biegli psychiatrzy stwierdzili, że kobieta nie ma problemów z nauką, a jej ogólne zdolności intelektualne nie odbiegają od normy, sąd uznał, że jej iloraz inteligencji jest za niski, żeby mogła wychowywać córkę, i skierował dziecko do adopcji. Matka o swoje prawa walczy przed Trybunałem Sprawiedliwości w Strasburgu.

Nadgodziny na wyspie pokus

Z kolei sąd we Francji przyznał pełne prawa pracownicze uczestnikom reality show „Wyspa pokus”, którzy przez 12 dni chodzą po plaży w negliżu, masują się i tańczą. To precedensowa decyzja, która może doprowadzić do upadku tego gatunku telewizyjnego we Francji. Uczestnicy programu mają teraz prawo do płatnych nadgodzin, płatnego urlopu i odszkodowania za niesłuszne zwolnienie.

Niemowlaki głosu nie mają

Ciekawe, jakie prawa przysługują niemowlakom wynajętym przez rodziców do nowego programu niemieckiej telewizji RTL. W „Próbnym wychowywaniu”, które mimo protestów ruszyło z początkiem czerwca, niemowlakami opiekują się pary nastolatków.

Zwarty peleton

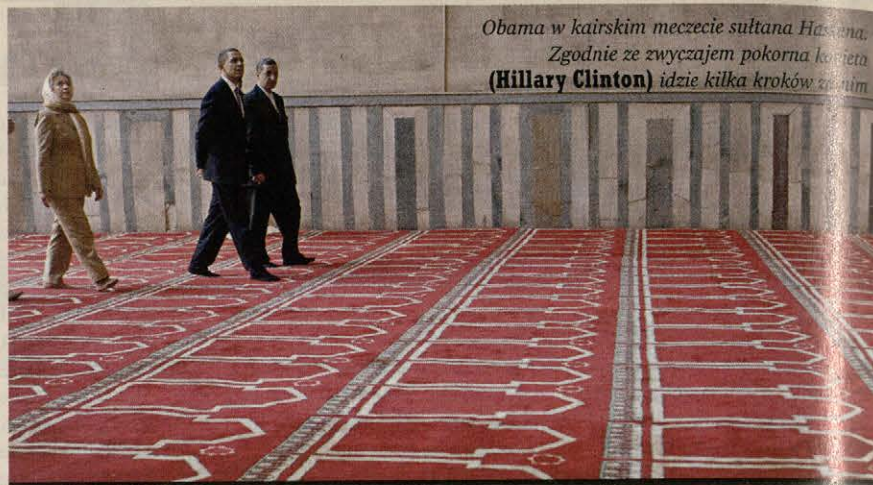
Wystartował więzienny Tour de France. 196 skazańców odsiadujących wyroki od pięciu do dziesięciu lat więzienia jest eskortowanych przez 124 strażników. Pokonają trasę o długości 2300 kilometrów biegnącą przez 17 miejscowości, w których są więzieniami (ale zawodnicy śpią w hotelach). Ucieczki z peletonu są zabronione.

TOWARZYSZE TYGODNIA

Prezydenci Wenezueli i USA

Hugo Chávez i Barack Obama. Pierwszy pochwalił drugiego za nacjonalizację General Motors słowami: „Brawo, towarzyszu! Jeszcze trochę i będzie towarzysz bardziej lewicowy ode mnie i towarzysza Fidela”.

O problemach GM czytaj na s. 28



Bliski Wschód

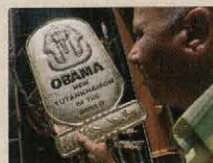
OBAMA CHCE ZDOBYĆ SERCA MUŻULMANÓW

AMERYKAŃSKI PREZYDENT ZAAPELOWAŁ NA UNIWERSYTECIE Kairskim o „nowy początek” w relacjach między Zachodem i islamem. Długo zapowiadane przemówienie, które 4 czerwca przyciągnęło przed telewizory około 500 milionów muzułmanów, wielokrotnie było przerywane oklaskami.

Barack Hussein Obama na samym początku przypomniał o swoich związkach z islamem, gdy jako dziecko mieszkał w Indonezji. Przekonywał, że te doświadczenia pozwalają mu lepiej zrozumieć muzułmanów. Zaaapelowwał również o szersze otwarcie sfery publicznej dla muzułmańskich kobiet.

Osią przemówienia była jednak polityka. Słowa o Iraku, Afganistanie i Iranie Obama przeplatał cytatami z Koranu. Zapewniał, że Amerykanie nie chcą zostać w Afganistanie oraz że zgodnie z planem do 2012 roku cały Irak zostanie zwrócony Irakijczykom. Najwięcej czasu poświęcił konfliktowi izraelsko-palestyńskiemu. W przeciwieństwie do poprzed-

Obama w kairskim meczecie sultana Hassan. Zgodnie ze zwyczajem pokorna kobieta (Hillary Clinton) idzie kilka kroków za nim



Napis na pamiątkowej tablicy: „Obama, nowy Tutanchamon świata”

nich prezydentów USA mówił o Palestynie, a nie o „przyszłym państwie palestyńskim”, co dzień później podkreślały egipskie gazety. Jednocześnie zaaapelowwał do wszystkich muzułmanów o uznanie prawa Izraela do istnienia i w stanowczych słowach potępił antysemityzm.

Większość komentatorów, zarówno w krajach muzułmańskich, jak i na Zachodzie, jest przekonanych o przełomowym charakterze tego przemówienia. Wskazują oni na pozytywną moc przekazu, ale również na charyzmę i zdolności oratorskie amerykańskiego prezydenta. Prasa na Bliskim

Wschodzie podkreśla, że za słowami o wolnej Palestynie stoi ostra reakcja Waszyngtonu na dalszą rozbudowę izraelskich osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu. Krytycy wypominają Obamie, że mówił o demokracji i prawach człowieka, będąc jednocześnie gościem Hosniego Mubarak, prezydenta Egiptu oskarżanego o brutalne tłumienie opozycji. – luc

UŻYWKI Narkoman też człowiek

Nowa kampania na londyńskich autobusach ma wkurzyć ludzi

„FAJNI LUDZIE BIORĄ NARKOTYKI” – TAK W WOLNYM tłumaczeniu brzmi slogan, który przez cały czerwiec będzie zdobić 25 londyńskich autobusów. Kampania sponsorowana jest przez organizację Release, która walczy o prawa narkomanów i zabiega o prowadzenie bardziej racjonalnej polityki narkotykowej. Hasło jest zamie-



rzoną prowokacją. Dyrektor Release Sebastian Saville tłumaczy: – Rządzący zawsze umieszczają narkotyki w kontekście „zła”, „wstydu”, tymczasem ludzie postrzegają je całkiem inaczej. Pokazują to doskonale ostatnie wydarzenia w polityce: ludzie są wściekli na parlamentarzystów za korupcję, a gdy wcześniej zdarzało się, że jakiś polityk został przyłapany na zażywaniu narkotyków, mało kogo to obeszło. Nasz slogan ilustruje fakt, że narkotyki są używane we wszystkich grupach wiekowych, kulturowych i społecznych.

Z badań wynika, że w Wielkiej Brytanii marihuana cieszy się większą popularnością niż rządząca Partia Pracy. – mac

Bill killed

DAVID CARRADINE NIE ŻYJE

ZWŁOKI 72-LETNIEGO AMERYKANINA znalazła obsługa hotelowa. Ciało wisiało wewnątrz pokojowej szafy na dwóch linach – jedna z nich była zaciśnięta wokół szyi denata, a druga – wokół jego genitaliów.

Tajska policja przypuszcza, że Carradine uległ „tragicznemu wypadkowi podczas seksualnych eksperymentów” albo „zamasturbował się na śmierć”. Rzecznik rodziny Carradine’ów twierdzi, że to na pewno nie było samobójstwo. Policja jednak wyklucza udział osób trzecich. Carradine znany był głównie z filmów walki klasy B. Jego



kariera rozpoczęła się w latach 70., gdy grał mniacha w słynnym serialu „Kung Fu”. Ukoronowaniem jego pracy była rola zawodowego mordercy Billa w obu częściach filmu „Kill Bill”. – luc

Nie takie rzeczy robił David „Bill” Carradine za życia

„That’s one small step for man, one giant leap for mankind” czyli: „To mały krok dla ludzkości, wielki krok dla ludzkości”



Lingwistyka kosmiczna

MAŁY BŁĄD DLA LUDZKOŚCI

SCHODZĄC NA POWIERZCHNIĘ KSIĘŻYCA, Neil Armstrong wcale nie powiedział, że to mały krok dla człowieka, a wielki dla ludzkości – uznali naukowcy po przeprowadzeniu wnikliwych badań. Według nich amerykański astronauta powiedział: „Mały krok dla ludzkości, wielki krok dla ludzkości”. Badacze ponad wszelką wątpliwość ustalili, że wypowiadając swoje wielkopomne słowa, które doskonale wyraziły nastroj entuzjazmu i nadziei tamtej epoki, pierwszy człowiek na Księżycu nie użył przedimka. A *man* znaczyłoby „człowiek”, ale samo *man* ma identyczne znaczenie jak użyte w drugiej części zdania *mankind* – ludzkość. Do tej pory uważano, że *a* mogło zniknąć z powodu słabej jakości transmisji, ale naukowcy po dokładnej analizie taśm audio NASA i setek wypowiedzi Armstronga i jego rodziny w różnych kontekstach wykluczyli taką możliwość. Przy okazji autorzy badania przekonują, że słowa Armstronga są spontaniczne i nie zostały mu wcześniej wypowiedziane przez zwierzchników z NASA. Ma o tym przekonywać właśnie błąd gramatyczny, a także analiza jego mowy ciała i nawyków językowych – choćby naturalne unikanie łączników „ale” oraz „i”. – mac

REKLAMA



5 TYGODNI TRWA WARZENIE PIWA, KTÓREGO UNIKALNY SMAK GORYCZKI CZUJESZ PRZESZ KRÓTKĄ CHWILĘ.

PO TAK BOGATYM PIERWSZYM WRAŻENIU SZUKAJ W PILSNERZE SŁODYCZY KARAMELU, SMAKU MIODU I ORZECHA. ONE NAPRAWDĘ TAM SĄ.

PRZECIEŻ SAMEJ GORYCZKI NIE WARZYLIBYŚMY AŻ 5 TYGODNI.



WYTRAWNY SMAK RODZI SIĘ Z CZASEM

BIZNES

Co mówią liczby

157 tysięcy

osób nie zapisało się do OFE, a musi to zrobić do 10 lipca. Inaczej ZUS losowo przypisze im fundusz emerytalny. — *szczep*

80 procent

o tyle wzrosła w ciągu minionego roku liczba Akademickich Inkubatorów Przedsiębiorczości, czyli przyuczelnianych firm, których twórcy nie muszą płacić ZUS-u. Na początku 2008 roku działało około 450 inkubatorów, dziś jest ich ponad 800. Rosnące zainteresowanie zakładaniem firm wynika głównie z problemów ze znalezieniem przez młodych ludzi pracy. — *mil*

Aukcje obrazów

ZACZNĄ OD 100 ZŁOTYCH

INWESTOWANIE W SZTUKĘ NIE MUSI OZNACZAĆ wykładania na stół setek tysięcy złotych. W najbliższą niedzielę 14 czerwca w Starej Pomarańczarni w warszawskich Łazienkach Królewskich odbędzie się aukcja charytatywna byłych laureatów konkursu dla młodych artystów Samsung Art Master. Cena wywoławcza każdej z prac to zaledwie 100 złotych. Cały dochód z aukcji zostanie przekazany fundacji Ewy Błaszczyk Akogo. Prace można wcześniej przejrzeć na stronie www.artmaster.org.pl. — *dd*



Jednak z prac **Sabiny Twardowskiej**, którą kupisz na aukcji w warszawskich Łazienkach

ZAKUPY W SIECI PAWEŁ MOSKALEWICZ

Płacę i enter!

Choć rynek zakupów internetowych rośnie dynamicznie, Polacy wciąż są ostrożni wobec internetowych płatności. Niesłusznie, bo to operacja łatwa i prosta, a ryzyko kradzieży łatwo ograniczyć

Większość internetowych sklepów daje klientom do wyboru kilka różnych metod płatności. Problem w tym, że ta najchętniej wybierana, czyli płatność przy odbiorze (tzw. za pobraniem), jest jednocześnie najmniej wygodna i korzystna dla sprzedawców, którzy płacą za taką usługę pocztą i długo czekają na swoje pieniądze. Dlatego sklepy zachęcają klientów do płatności online: przelewem lub kartą płatniczą. Warto wybrać taki model transakcji, bo praktycznie zawsze sprzedawcy pozwalają nam zaoszczędzić przynajmniej połowę (jeśli nie całość) kosztów dostawy.

1. Płatność przelewem

W większości internetowych sklepów możesz zapłacić za towar przelewem z konta. Takiej płatności można dokonać na dwa sposoby: przelewem zwykłym albo za pomocą usługi „płacę z...”. W tym pierwszym przypadku po zamówieniu towaru musimy ręcznie dokonać przelewu na konto sprzedawcy. Po zaksięgowaniu pieniędzy na koncie (co zajmuje 1–2 dni robocze) towar jest wysyłany. W przypadku usługi „płacę z...” automatycznie przenoszeni jesteśmy na stronę banku, gdzie dokonujemy przelewu, nie musimy już wypełniać danych odbiorcy, a ten jest informowany online o fakcie, że płatność została dokonana, co przyspiesza wysyłkę towaru.

Zaletą przelewu jest pewność, że podczas transakcji używamy tych samych zabezpieczeń (logowanie, kody) co w przypadku normalnego korzystania z konta, a żadne dane nie są udostępniane nikomu na zewnątrz. Taka operacja ma też wady: często musimy poczekać nawet kilka dni, aż pieniądze zostaną zaksięgowane u sprzedawcy, płacimy też od razu żywą gotówką ściągającą od ręki z konta.

2. Płatność kartą

Oplacanie internetowych zakupów kartą ma właściwie same zalety. Formalności ograniczone są do minimum (musimy tylko podać dane z karty), a transakcja przeprowa-

dzana jest natychmiast. Sprzedawca od razu otrzymuje pozytywny wynik autoryzacji i może przystąpić do wysyłki towarów. Dodatkowo bonus polega na tym, że jeśli płacimy kartą kredytową, to w dobrym układzie za dzisiejsze zakupy zapłacimy nawet za dwa miesiące.

Transakcja jest dokonywana poprzez podanie numeru i rodzaju karty oraz daty ważności i zatwierdzenie jej kodem CVV2 (trzy ostatnie cyfry na rewersie karty).

3. Jak ustrzec się przed kradzieżą?

Kradzież danych karty jest dość prosta (wystarczy poznać numer karty i kod), jeśli nie przestrzegamy zasad bezpieczeństwa. Aby nie

paść ofiarą złodzieja, trzeba dbać o bezpieczeństwo swojego komputera. Ważne jest, aby mieć zaktualizowany program antywirusowy. Płatności internetowych nie należy również dokonywać z kawiarenek internetowych. Nawet zabezpieczony komputer nie pomoże jednak, jeśli sami przekazemy złodziejowi dane karty. Dlatego warto dokonywać zakupów tylko

w renomowanych sklepach, które dbają o bezpieczeństwo transakcji. Ale i tu warto uważać. Zdarza się, że przestępcy tworzą kopie strony sklepu w celu wyłudzenia danych. Strona wygląda tak jak oryginalna, ale jeśli zostanę na niej wprowadzone hasła, trafią w ręce przestępców. Sprawdźmy więc, czy jesteśmy na stronie szyfrowanej. Fakt ten potwierdza adres (<https://>, a nie <http://>) oraz kłódka na dolnym pasku przeglądarki.

4. Limit lub portmonetka

Banki zwykle pozwalają na wyznaczenie maksymalnej kwoty, jaką w ciągu dnia można wydać przy użyciu karty. Niekiedy można ustalić oddzielny limit dla płatności internetowych. Ciągłe nie czujesz się pewnie? Rozwiązaniem może być specjalna karta do płatności wyłącznie w Internecie. Zasilasz ją z góry określoną kwotą i tylko tyle może z niej zniknąć w przypadku kradzieży czy twojego własnego błędu.

DIKUJEMY FIRMIE EXPANDER ZA POMOC W PRZYGOTOWANIU TEKSTU

Odszkodowania

NIEDOBRCZE MIESZKAĆ PRZY BOBRZE

W POLSCE W ZAWROTNYM TEMPIE ROŚNIE populacja bobrów, a wraz z nią liczba osób, którym gryzonie te niszczą ogródki. W 2003 roku było 20 tysięcy bobrów, dziś już dwa razy tyle. Niestety, jak mówi polskie prawo, skarb państwa wypłaca odszkodowania za „bobrze szkody” (są pod częściową ochroną) tylko właścicielom gospodarstw leśnych, rolnych oraz rybackich. Właściciele działek rekreacyjnych muszą liczyć na łaskę wojewodów, którzy mogą sami zdecydować o wypłacaniu odszkodowań działkowcom. Jednak w połowie roku wojewodom zaczyna zwykle brakować na ten cel pieniędzy. Poza tym w części województw wypłat dla właścicieli działek w ogóle nie ma. Ubezpieczenia od szkód wyrządzonych przez zwierzęta chronione nie można także wykupić w firmach ubezpieczeniowych. Ministerstwo Środowiska przepisów



jednak zmieniać nie zamierza. Odszkodowania nie należą się też za szkody wyrządzone przez inne zwierzęta chronione, na przykład wilki, żubry czy wydry. — *aj*

REKLAMA

KLIKNIJ „KUPUJ”

Usiądź wygodnie w fotelu, zapomnij o kolejkach, negocjuj ceny, oszczędzaj czas i pieniądze, a przy tym poczuj się swobodnie i anonimowo. Wystarczy Ci komputer i elektroniczny portfel, a świat wirtualnych sklepów stanie przed Tobą otworem.



Po raz pierwszy prawdziwa karta internetowa za darmo – w „Przekroju” 18 czerwca

zemy zdecydować się na przelew internetowy, płatność przy odbiorze lub transakcję z użyciem karty płatniczej. Ta ostatnia

opcja jest wyjątkowo wygodna, jeśli mamy pod ręką elektroniczny portfel, czyli kartę internetową.

Karta internetowa Banku Zachodniego WBK przeznaczona jest wyłącznie do zakupów w sieci. Ponieważ nie jest powiązana z kontem i nie jest kartą kredytową, nie wydamy więcej środków, niż na nią wpłaciliśmy. Dzięki temu nie musimy obawiać się internetowych złodziei i możemy być spokojni o bezpieczeństwo naszych pieniędzy. Ponadto przy płatności kartą mamy dodatkową możliwość odzyskania środków, w przypadku gdy otrzymany towar nie spełnia naszych oczekiwań, ponieważ transakcję możemy reklamować nie tylko u sprzedawcy, ale także w banku, który jest wydawcą karty. Wszystkie formalności związane z uzyskaniem karty zostały ograniczone do minimum. Można ją doładowywać w sieci, oddziale banku lub na poczcie. Mamy również pełną kontrolę nad wydatkami, możemy na bieżąco sprawdzać dostępne środki i przeglądać historię płatności dzięki specjalnej witrynie. Jeżeli nie masz pomysłu na prezent, taka karta może być również doskonałym podarunkiem, ponieważ jest kartą na okaziciela. To co dziś kupisz?

Ekspert w zakresie płatności internetowych

www.bzwbk.pl

WBK

Bank Zachodni WBK



Jak w lokalnym, ale taniej

Pociągom InterCity wyrósł konkurent o nazwie InterRegio. Bilety są dużo tańsze

BEZ WIELKIEJ PRYWATYZACJI I BEZ ROZGŁOSU na rynku pojawiła się alternatywa dla drogiego pociągów InterCity. Spółka PKP Przewozy Regionalne doszła do wniosku, że oprócz połączeń lokalnych, do których zobowiązuje firmę prawo, może też uruchamiać połączenia dalekobieżne. — Żadne przepisy nam tego nie zabraniają – mówi Michał Lipiński z PKP Przewozy Regionalne. Przedstawiciele spółki za-

strzegają jednak, że połączenia, które okażą się nierentowne, będą likwidowane, bo samorządy nie kwapią się finansować połączeń realizowanych poza terenem swoich województw. W sumie uruchomiono już dziewięć połączeń, ale ma ich być dużo więcej, głównie na najpopularniejszych trasach. InteRegio są mniej komfortowe (składy bez przedziałów) i nie na wszystkich trasach kursują codziennie. — *szczep*

PRZYKŁADOWE POŁĄCZENIA Z WARSZAWY

Kierunek	Cena InterRegio	Cena InterCity*	O ile dłuższy czas przejazdu w InterRegio
Poznań	38,5 zł	54 zł (TLK), 107 zł (ekspres)	maksymalnie 1 godz. 15 min
Kraków	38,5 zł	97 zł (ekspres)	maksymalnie 1 godz.
Bydgoszcz	38,5 zł	50 zł (pośpieszny)	taki sam
Białystok	28 zł	38 zł (pośpieszny)	maksymalnie 30 minut

* Podajemy ceny połączeń pociągów, których na danej trasie jest najwięcej. Ceny uwzględniają już opłatę za miejscówkę

WYDARZENIA

Kraj

Oczekujemy dnia nika dla dziennikarzy myślących

MEDIA ALEKSANDRA PAWLICKA

Gdy 2 czerwca gruchnęła informacja o połączeniu „Dziennika” z „Gazetą Prawną”, w redakcji tego pierwszego zaplanowała panika. – O ewentualnym połączeniu plotkowano od dawna, ale jeszcze dwa tygodnie temu naczelny uspokajał zespół, że mamy przynajmniej dziewięć miesięcy stabilnej sytuacji przed sobą – opowiada jeden z dziennikarzy „Dziennika” i dodaje: – O zmianach dowiedzieliśmy z maila rozesłanego przez wydawcę.

Sytuacją zaskoczony był też sam naczelny. Robert Krasowski, który stworzył „Dziennik” od podstaw, jeszcze tego samego dnia złożył wypowiedzenie. Nie chce niczego komentować, bo jak nam mówi, „na ciepłe słowa nie ma ochoty, a szkodzić nikomu nie zamierza”.

Wydawca „Gazety Prawnej”, polska firma Infor, ma 51 procent udziałów w nowej spółce, która wchłonęła „Dziennik” wydawany przez niemiecki koncern Axel Springer. Do jesieni „Dziennik” będzie ukazywał się w obecnym kształcie, ale pod kierownictwem dotychczasowego szefa „Newsweeka” Michała Koboski. Bo „Newsweek”, podobnie jak bulwarówka „Fakt”, należy do tego samego wydawcy. Jednak to „Dziennik” miał być bronią Axela Springera, za pomocą której chciał wygrać wojnę o prymat na polskim rynku prasy.

Wejście smoka

Trzy lata temu, gdy „Dziennik” wchodził na rynek, głośno było o medialnym starciu. Rekrutowanym za ciężkie pieniądze dziennikarzom mówiono, że tworzą tytuł idzie na wojnę z „Gazetą Wyborczą”. Nic dziwnego – było to nie tylko biznesowe założenie wydawcy, ale przede wszystkim prywatna, ideologiczna wojna założycieli „Dziennika”.

Robert Krasowski i część jego zastępców wywodzili się bowiem z prawicowego środowiska od dawna atakującego „Gazetę” i jej naczelnego Adama Michnika. Teraz przystępowali do wojny uzbrojeni w nowe doświadczenia, zdobyte między innymi w „Fakcie”, gdzie pracowała wcześniej większość kierownictwa nowej gazety.

Felietonista Maciej Rybiński już w pierwszym numerze „Dziennika” ogłosił, że jego publikacje będą odpowiedzią na „strach siany przez »Gazetę Wyborczą« przed agresją niemiecką na Polskę dokonaną za pomocą prasy”. Rzeczywiście, wejście „Dziennika” wywołało spore zamieszanie na rynku, między innymi wymuszając na „Wyborczej” obniżenie ceny prawie o połowę, do 1,50 zł. Kilka miesięcy później ten sam Rybiński triumfalnie obiecał na pierwszej stronie: „Koniec Polski Kiszczaka i Michnika”. Było to w samym środku batalii lustracyjnej rządu PiS, który „Dziennik” popierał od początku.

Niedługo potem Robert Krasowski zarzucał Michnikowi, że „poświęcił jedną trzecią życia na obronę ubecków”, a inny publicysta „Dziennika” Cezary Michalski regularnie pisywał komentarze o charakterystycznych tytułach: „Polska to nie tylko Czarska” albo „Atak zadróżki Agory”. Ale same tytuły nie oddają obsesji, jaką ten czołowy ideolog „Dziennika” miał na punkcie Michnika i „Gazety”.

Agora, wydawca „Wyborczej”, nie pozostawała dłużna. Ówczesna prezes Wanda Rapaczynska, zanim jeszcze ukazał się „Dziennik”, już oświadczyła w „Financial Times Deutschland”: „Jest wysoce prawdopodobne, że przy tak szybkim tempie ekspansji za kilka lat Axel Springer będzie decydował również o tym, kto zostanie polskim premierem”.

Zarówno w „Gazecie Wyborczej”, jak i w „Rzeczpospolitej” obawiano się olbrzymiego niemieckiego kapitału. Gdy wprowadzano na rynek „Dziennik”, Axel Springer miał 2,5 miliarda euro wolnej gotówki. Takie zasoby nie tylko pozwalały na silną promocję nowego tytułu, lecz także na królewskie stawki dla pracowników. Niektórym



powinien zrobić prezydent Bush, jak postąpił Putin czy premier Izraela. W sprawach krajowych prasa przede wszystkim świadczy usługi liderom politycznym, wysuwając na pierwszy plan problemy, jakie oni sobie nawzajem stwarzają. Poświęca się stosunkowo mało uwagi rejonowi świata, gdzie Polska nie ma swoich interesów, natomiast skąpo i powierzchownie informuje się o sprawach europejskich. Polskie interesy są przedstawiane w sposób przesadnie emocjonalny, co mnie nie dziwi, ale jestem rozczarowany, że prasa nie informuje o reakcjach drugiej strony. Oczekuję tytułu, który nie popełniałby tych wszystkich błędów.

abp Tadeusz Goculski
metropolita gdański

Każdy nowy tytuł prasowy jest niewiadomą, ale warto ryzykować, nieustannie trzeba poszukiwać. Dobry tytuł musi przede wszystkim ukazywać prawdę o człowieku i społeczeństwie. Nie powinien budzić agresji: nacjonalistycznej, ksenofobicznej, ideologicznej. W Polsce jest miejsce na gazetę, która ukazywałaby prawdę o tym narodzi, a nie jedynie narzucałaby bezalternatywną globalną wizję życia. Niech z jednej strony ukazuje mądre rozwiązania polityczne, ale z drugiej niech dostrzeże w tym wszystkim człowieka, a nie tylko sensację i komercję. Niełatwo robić taką gazetę, ale jeśli zdecydować się na pracę w dzienniku, który ma coś nowego wniesie do polskiej debaty, walczyć w sobie i wokół siebie z komercją. Poszukajcie autentycznego dobra.

Paweł Huelle
pisarz

Jest u nas miejsce – a także ogromne zapotrzebowanie – na gazetę, która spełni podstawowe kryteria.

W Polsce brakuje gazet, w których mamy wyrażenie, że nasz wybór jest ograniczony.

W mediach nie pokazuje się tego kotła, w którym wszystko się gotuje i z którego wylania się nowa Polska.

Muszę przyznać, że co rano jestem zmęczona czytaniem wszystkich gazet. Najgorzej jest poniedziałek, bo do dzienników dochodzą jeszcze tygodniki. Dlatego w soboty ograniczam się tylko do kupna dwóch gazet, ale muszę to zrobić przed niedzielnym porannym programem „Siódmy dzień tygodnia” w Radiu Zet. Nie wiem, czy będę miała czas do lektury trzeciej. Zbyt mnie do tego zachęca, że przedtem wszystkim musi być ciekawa. Powinna zawierać du-

żetelnej krytyki kulturalnej. Powstała ona pod wpływem czołowych klanów, broni. Wszystko staje się towarem: każdy bez skrupułów popiera swoje.

Bronisław Łagowski
filozof

W polskiej prasie nie podobna mi się nadmiar ocen i stronniczych komentarzy. Dziennikarze przejmują rolę wychowawców i pouczaczy.

W polskiej prasie nie podobna mi się nadmiar ocen i stronniczych komentarzy. Dziennikarze przejmują rolę wychowawców i pouczaczy.

„DZIENNIK” TO PIERWSZA OGÓLNOPOLSKA GAZETA, KTÓRA NIE DAŁA RADY KRYZYSOWI. Z TEJ OKAZJI JEDNI WZNOŚĄ LAMPKĘ SZAMPANA, INNI CZEKAJĄ NA CZARNĄ POLEWKĘ

Tomasz Lis
publicysta

Jakiej gazety potrzebują Polacy? Badania wskazują, że ogromna większość nie potrzebuje żadnej. Ja jednak chciałbym, by pojawiła się jeszcze jedna poważna gazeta. To ekonomicznie trudne, ale marzy mi się dziennik stanowiący niezbędny polski dziennik. Dziś wszyscy dziennikarze powinni uderzyć się w pierś: redagujemy gazetę i nie wiemy, którą czytać.

Chciałabym, by nowa gazeta bardziej objaśniała rzeczywistość, niż o coś walczyła.

Marek Jurek
członek Sejmu

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.

W mediach brak punktu do oparcia.



Pod prąd. Powinna pielęgnować swoją niezależność nie tylko od wydawcy, ale również od własnych sympatii i antypatii.

Bronisław Komorowski
polityk

Problemem, zresztą nie tylko polskiej prasy, jest wyraźnie widoczne zaangażowanie polityczne redakcji.

Marzę o dzienniku, który byłby bardziej informacyjny niż komentujący. Bym czytał, mógł pomyśleć: „To naprawdę ciekawe”.

Piotr Semka
publicysta

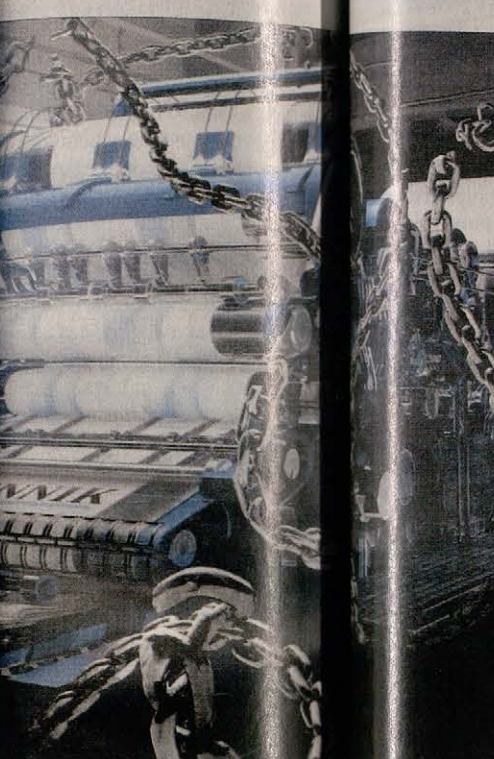
W doborze tytułu czy czołki. Kiedy biorę do ręki gazetę, z góry wiem, jaką ocenę danego wydarzenia politycznego przeczytam. Marzę więc o dzienniku, który byłby bardziej informacyjny niż komentujący, a ewentualny komentarz byłby dla mnie czasem niespodzianką. Bym czytając, mógł sobie pomyśleć: „To naprawdę ciekawe, może niezgodne z tym, co ja myślę, ale widzę wysiłek zniuansowanej oceny sytuacji czy wydarzenia”. Liczy się również dla mnie szybkość przekazywania informacji spoza Polski. Jesteś częścią całości i wiadomości z zagranicy powinny do nas docierać w o wiele większym zakresie. Trzeba przyzywać polskiego czytelnika, że sprawy europejskie, światowe są niezwykle istotne dla naszych własnych spraw.

Wojciech Olejniczak
polityk

Ważny jest tytuł, który ma być punktem oparcia dla czytelnika.

Ważny jest tytuł, który ma być punktem oparcia dla czytelnika.

Ważny jest tytuł, który ma być punktem oparcia dla czytelnika.



Każdy nowy tytuł prasowy jest niewiadomą, ale warto ryzykować, nieustannie trzeba poszukiwać. Dobry tytuł musi przede wszystkim ukazywać prawdę o człowieku i społeczeństwie. Nie powinien budzić agresji: nacjonalistycznej, ksenofobicznej, ideologicznej. W Polsce jest miejsce na gazetę, która ukazywałaby prawdę o tym narodzi, a nie jedynie narzucałaby bezalternatywną globalną wizję życia. Niech z jednej strony ukazuje mądre rozwiązania polityczne, ale z drugiej niech dostrzeże w tym wszystkim człowieka, a nie tylko sensację i komercję. Niełatwo robić taką gazetę, ale jeśli zdecydować się na pracę w dzienniku, który ma coś nowego wniesie do polskiej debaty, walczyć w sobie i wokół siebie z komercją. Poszukajcie autentycznego dobra.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

Grzechem polskich mediów, w tym dzienników, jest zaskakująca stałość.

DZIENNIK STORY

→ dziennikarzom proponowano pensje przekraczające 10 tysięcy złotych, sprawnym redaktorom – nawet kilkanaście tysięcy. To prawie o połowę więcej niż w większości innych redakcji. Podobnie zresztą rozpieszczano felietonistów. O Jerzym Pilchu (podkupionym z „Polityki”) czy w ostatnich miesiącach Janie Rokicie krążyła fama, że otrzymują wynagrodzenie rzędu 50 tysięcy złotych miesięcznie.

– „Dziennik”, zwłaszcza na początku, był dla „Gazety” ogromnym zagrożeniem. Wojna cenowa zatrzaśła przychodami Agory. Przypuszczam, że na wieść o końcu „Dziennika” zespół „Gazety” i jej wydawca odetchnęli z ulgą – mówi profesor Wiktor Pepliński, medioznawca z Uniwersytetu Gdańskiego.

I ma rację. Wicenaczelną „Gazety Wyborczej” Piotr Stasiński przyznaje w rozmowie z „Przekrojem”: – To duża ulga. Zmniejszenie konkurencji w trudnym czasie, gdy wszystkie gazety odnotowują ubytek ogłoszeń i malejące czytelnictwo ze względu na ekspansję Internetu.

I nie chodzi tylko o konkurencję na rynku newsów, ale także całej maszyny sprzedaży. To właśnie broniąc się przed „Dziennikiem”, Agora wprowadziła na rynek całą serię kolekcji: książek, płyt muzycznych czy filmów DVD dodawanych do „Wyborczej”. „Dziennik” zaś kopiował wszystkie te projekty, wydając własne serie. Według znawców rynku, po to by upodobnić się do rywala.

Paradoksalnie to jednak nie w redakcji „Gazety Wyborczej” wznieziono toast radości na wieść o upadku „Dziennika”. Korki strzeliły w redakcji „Rzeczpospolitej”, której redaktor naczelny Paweł Lisicki zaprosił zespół na lampkę szampana. To paradoks, bo wzmocnienie „Gazety Prawnej”, która wchłonęła „Dziennik”, to śmiertelne zagrożenie właśnie dla borykającej się z kłopotami „Rzeczpospolitej”. Radość szefów „Rz” była jednak nie tyle biznesowa, ile ideologiczna – nikt przez ostatnie dwa lata nie prowadził tak brutalnego sporu na łamach jak prawicowcy z „Rzeczpospolitą” z prawicowcami z „Dziennika”.

Polityczny przekręt

– Szkoda, że „Dziennik” od początku spełniał głównie funkcję anti-„Wyborczej”. Twórcy nowego pisma słusznie założyli, że jest grupa ludzi, którzy chcą alternatywy dla gazety Michnika – twierdzi profesor Wiesław Godzic, medioznawca z Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej w Warszawie.

– Zamiast jednak skupić się na zdobywaniu czytelników i tworzeniu dobrej gazety, skoncentrowali się na walce z prasowym przeciwnikiem. I przeholowali z prawicowością.

Jeśli bowiem o „Gazecie Wyborczej” mówi się, że ma skrzywienie lewicowe, to „Dziennik” od samego początku nie krył sympatii propisowskich. To na jego łamach w ciągu pierwszego miesiąca prezydent Lech Kaczyński dwukrotnie publikował obszerne teksty na temat własnej wizji solidarnej Europy i gazociągu, a Jarosław Kaczyński ogłosił, że zostanie premierem. Nie mówiąc już o wazelinarskim tekście Michała Karnowskiego „Jarosław Kaczyński chce być żelaznym kanclerzem”, w którym minuta po minucie w socrealistycznym

Gdy „Dziennik” wchodził na rynek, huczało od plotek, że projekt jest konsultowany z PiS, bo partii brakowało prasowej tuby

stylu, ale całkowicie na serio i z oddaniem opisał dzień prezesa PiS.

Sympatia „Dziennika” nie ograniczała się tylko do braci Kaczyńskich. Jego ulubieńcem był także Zbigniew Ziobro. A to jechał podglądać Anglików, jak walczą ze stadionowym chuligaństwem, a to obiecał odbierać samochody pijanym kierowcom. Walczył też na łamach „Dziennika” z przemocą w szkole, znową prokuratorów, korporacjami prawniczymi i przepełnionymi więzieniami, zapowiadając wysłanie więźniów do pracy. W lutym 2007 roku „Dziennik” nazwał go „wielką nadzieją braci Kaczyńskich”, a tydzień później stanął za Ziobrą murem w sprawie kardi chirurga Mirosława Garlickiego, publikując na pierwszej stronie wielki tytuł: „Doktor śmierć?”.

„Dziennik” mocno też zaangażował się w lustrację. Publikował teksty oskarżające o współpracę z SB hierarchów i znanych księży (księdza Michała Czajkowskiego, księdza Mieczysława Malińskiego, arcybiskupa Stanisława Wielgusa). Z równą stanowczością zwalczał osoby niepodpisujące oświadczenia lustracyjne: o Bronisławie Geremku Piotr Zaremba napisał „Groźny precedens Geremka”, a o dziennikarzach takich jak Ewa Milewicz czy Wojciech Mazowiecki inny publicysta „Dziennika” Paweł Śpiewak pisał: „Protestują dziennikarskie primadonny”. Gdy zaś Trybunał

Konstytucyjny uznał znaczną część ustawy lustracyjnej za niezgodną z prawem, Michał Karnowski zalił się: „A więc taki finał ma bunt wykształciuchów? (...) A więc tak kończy się opowieść o strażnikach wartości – jak nazwał siebie prezes Trybunału Konstytucyjnego Jerzy Stepien? Przecieram okulary i nie wierzę”.

Gdy „Dziennik” wchodził na rynek, w szmowej kuluarach huczało od plotek, że atak Jarosława Kaczyńskiego na media, uporczywe powtarzanie, że „w Polsce nie ma wolnych mediów, a dziennikarze działają w interesie swoich właścicieli lub mocodawców politycznych”, jest torowaniem drogi dla nowej gazety. Przedstawiciele Axela Springera mieli konsultować projekt „Dziennika” z braćmi Kaczyńskimi. Był początek 2006 roku, roku wyborów samorządowych i realizacji sztandarowych projektów PiS. Prezowi tej partii zależało na własnej trybunie prasowej.

Wybuchy i niewypały

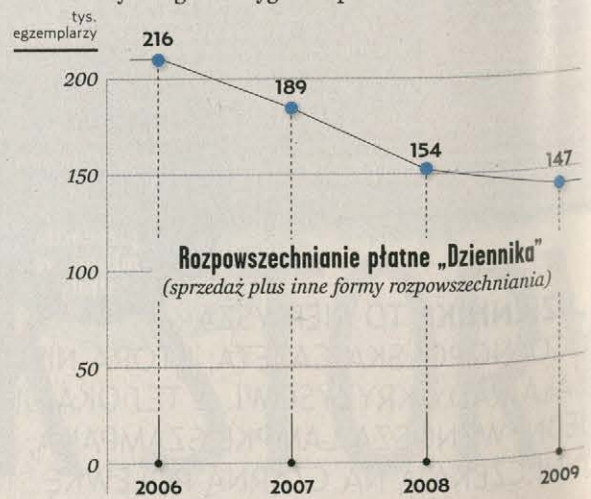
Pierwszy dziennikarski strzał „Dziennika” miał zabarwienie polityczne. Chodziło o sprawę eurodeputowanego PO Pawła Piskorskiego. „Dziennik” napisał, że sadi on „prywatną puszcę na Pomorzu”. Zarzuty dotyczyły niewyjaśnionego pochodzenia pieniędzy, za które Piskorski kupił 320 hektarów ziemi pod zalesianie. Tekst stał się przyczynkiem do wyrzucenia Piskorskiego z Platformy w ciągu trzech dni.

Kolejną publikacją, która odbiła się głośnym echem, była pod koniec 2006 roku sprawa corhydronu – lekarstwa na uczulenia, którego cała partia zawierała substancję używaną w anestezji, mogącą przy nieodpowiednim podaniu spowodować śmierć pacjenta. W jeleniogórskiej Jelfie wstrzymano produkcję.

Oba teksty pokazały, że „Dziennik” mógłby istnieć na rynku nie tylko jako polityczna tuba, ale także jako forum dla rzetelnej dziennikarskiej roboty. Podobnie było z głośną we wrześniu 2008 roku publikacją o nepotyzmie i nieprawidłowościach w zarządzaniu KRUS. Po doniesieniach „Dziennika” premier odwołał odpowiedzialnego za nadużycia prezesa KRUS Romana Kwaśnickiego, a piszący o sprawie dziennikarze otrzymali nominację do nagrody Grand Press w dziedzinie dziennikarstwa śledczego.

Jednak codzienność „Dziennika” była zupełnie inna. Dziennikarze wspominają, że od zawsze w gazecie panowała niespytana presja, jak i o czym pisał:

– Mieliliśmy sześciu wicenaczelnych, z których każdy innego dnia tygodnia prowadził numer, decydując



„Dziennikowi” udało się stworzyć własną „świętynę do datków”

o jego kształcie. Byli „królami jednego dnia”. Pod nich trzeba było pisać teksty. Decydowali, do kogo dzwonić w danej sprawie i co dana osoba powinna powiedzieć, a jeśli rzeczywistość nie chciała się dopasować, to tym gorzej dla rzeczywistości – opowiada dziennikarz „Dziennika”.

Jeden z redaktorów pracujących przy pierwszej stronie gazety wspomina, że na zamówienie naczelnych przygotowywał listę najpopularniejszych polityków ostatniego 20-lecia. Chodziło o udowodnienie tezy, że PiS nie powinien tak łatwo rezygnować z odwołanego właśnie popularnego premiera Marcinkiewicza. – Przez cały dzień przebiegałem się przez rankingi CBOS-u, na wieczór miałem gotową pierwszą piątkę. Marcinkiewicz się zmieszczał, był drugi czy trzeci, ale zabrakło Lecha Kaczyńskiego, swego czasu bardzo popularnego jako minister sprawiedliwości czy prezydent Warszawy. „Gdzie Kaczyński?” – zapytali naczelni. „Nie załapał się, jest szósty”. „Kto jest piąty?”. „Donald Tusk”. „Wywalcie Tuska, wstawcie Kaczyńskiego” – zapadła decyzja.

I choć z czasem gazeta zaczęła zmieniać linię polityczną na bardziej umiarkowaną (tracąc przy tym kolejnych czytelników), życzenia kierownictwa dalej często ocierały się o absurd. Gdy zaczęły rosnąć szanse Baracka Obamy, dowodzący tego dnia wicenaczelną kazał działowi kultury zapytać słynnych Amerykanów, na kogo będą głosować. Do godziny 16 mieli zebrać opinię Arnolda Schwarzeneggera, Martina Scorsese, Roberta De Niro oraz Toma Cruise’a. Nikt nie odważył się zwrócić wicenaczelnemu uwagi, że numery gwiazd Hollywood nie figurują w książce telefonicznej. Ktoś zasugerował jedynie, że różnica czasu w stosunku do Los Angeles wynosi w Polsce dziewięć godzin, więc wykonanie zadania choćby z tego powodu jest niemożliwe. Prowadzącego to jednak zupełnie nie interesowało.

Naciąganie rzeczywistości i parcie na sensacyjność wzrastały wprost proporcjonalnie do spadku sprzedaży „Dziennika”. Pierwsze załamanie przyszło, gdy Axel Springer podniósł w połowie 2007 roku cenę piątkowego wydania. Rok później był zmuszony do kolejnej podwyżki. A od stycznia tego roku, gdy

cena osiągnęła dwa złote, coraz częściej zdarzały się przypadki rozdawnictwa „Dziennika”. Otrzymywali go na przykład – i to nocą, prosto z drukarni – bywalcy stołecznej kawiarni Szpilka i mieszkańcy warszawskich Bielan, którzy znajdowali rano na klatkach schodowych stosy podrzuconego „Dziennika”.

Na kłopoty ze sprzedażą nałożyły się w ostatnim czasie dwie dziennikarskie wpadki. Po pierwsze, źle przyjęte w środowisku medialnym zdekonspirowanie tożsamości blogerki Kataryny, którą wcześniej „Dziennik” szantażował, po drugie, publikacja wywiadu, którego nie było. Jacek Chwedoruk, dyrektor banku inwestycyjnego Rothschild Polska, miał w rozmowie z „Dziennikiem” skrytykować działalność finansową posła Janusza Palikota opisywaną w sensacyjnym tonie przez gazetę od kilku dni. Słowa Chwedoruka idealnie pasowały do potwierdzenia stawianej przez „Dziennik” tezy, tyle tylko, że... nigdy nie padły z jego ust. Sprawa posła nie jest jednoznaczna, Palikot broni się, pozywając dziennikarzy i gazetę do sądu.

Jesienny szturm

– Nie sądzę, żeby koniec „Dziennika” miał związek z wielomilionowym roszczeniem posła Palikota. Przyczyn należy szukać w kurczeniu się rynku prasy – uważa profesor Maciej Mrozowski z Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Tego ciśnienia nie wytrzymał ostatnio czwarty ogólnopolski dziennik, „Polska”, który zmuszony był zamknąć część regionalnych wydań.

Dziś najważniejsze dla polskiej prasy pytanie brzmi: co urodzi się z połączenia „Dziennika” i „Gazety Prawnej”? Według części środowiska medialnego wydawca „Prawnej” nie ma ani ochoty, ani pieniędzy na inwestowanie w nową gazetę. Przejmując „Dziennik”, tak naprawdę kupił stronę internetową, bo w pakiecie przejął także znakomicie radzący sobie portal Dziennik.pl.

Według profesora Mrozowskiego nowy tytuł może jednak okazać się wyzwaniem dla konkurencji. Jeśli z połączenia dwóch gazet powstanie odpowiednik „Financial Times” – silnej gazety gospodarczo-biznesowej z działem wyważonych analiz politycznych.

– „Dziennik” zostawia po sobie pewien niesmak, ale dla wchłaniającej go „Gazety Prawnej” to przede wszystkim szansa, by przeskoczyć z półki prasy branżowej na półkę prasy opiniotwórczej – ocenia Tomasz Tęcza z domu mediowego SPC House of Media.

To zaś oznacza, że zarówno szampan w redakcji „Rzeczpospolitej”, jak i uczucie ulgi w „Gazecie Wyborczej” mogą być przedwczesne. Jesienią czeka je starcie znacznie bardziej wyniszczające niż to sprzed trzech lat. Paradoksalnie więc zniknięcie „Dziennika” może być groźniejsze dla obu gazet niż jego pojawienie się w kioskach wiosną 2006 roku.

współpraca: iggy, mil, aj, pm

PIERWSZY AUTORSKI ALBUM MARI SADOWSKIEJ „SPISTREŚCI”



onet.pl Plejada cgm.pl PRZE KROJ

Radio PiN

SŁUŻBA ZDROWIA MARCIN BARTNIK (RADIO VOX), IGOR RYCIĄK

Sprawa za 40 milionów

NFZ wydał rozporządzenie, po którym w dwóch tysiącach placówek służby zdrowia trzeba wymienić urządzenia do fizjoterapii. Specjaliści mówią, że to pieniądze wyrzucone w błoto. Producenci sprzętu zacierają ręce

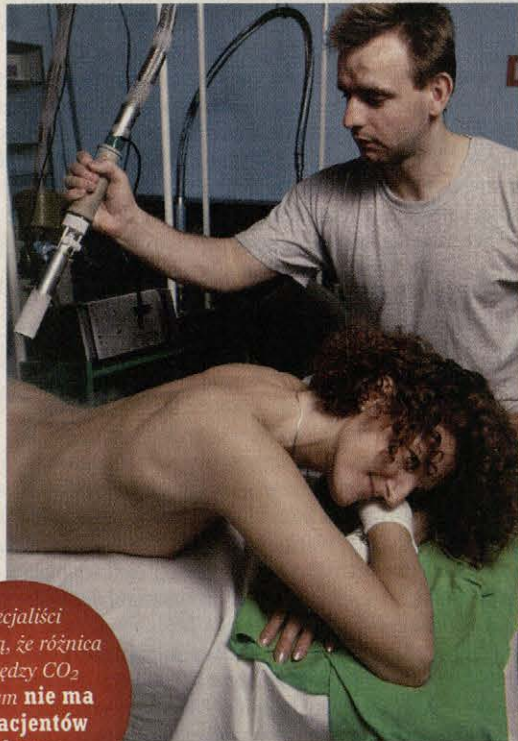
Doktor Ryszard Rawa ze szpitala kolejowego w podwarszawskim Pruszkowie zajmuje się fizjoterapią od blisko 40 lat. Od trzech miesięcy właściwie nie ma pacjentów, a urządzenie do krioterapii w jego gabinecie stoi bezużytecznie. Z taką sytuacją medyk w swojej karierze jeszcze się nie spotkał. Czy kolejarze i mieszkańcy Pruszkowa nagle przestali chorować? – Nie. To przez urzędników, których nie mogę zrozumieć – odpowiada z oburzeniem doktor Rawa.

W podobnej sytuacji jak szpital w Pruszkowie jest jeszcze około dwóch tysięcy innych placówek medycznych w Polsce, gdzie stosowana była krioterapia.

A wszystko przez jedną decyzję. Przy tworzeniu przepisów znaczenie ma każda kropka i każdy przecinek. Do historii przeszła już fraza „lub czasopisma” – fragment zdania usunięty z projektu nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji, po to by spółka Agora nie mogła kupić stacji telewizyjnej. Kawałek zdania – „inne rośliny” – został w niewyjaśnionych okolicznościach wpisany do projektu ustawy o biopaliwach. W efekcie ekologiczne paliwa mogłyby powstawać nie tylko z rodzimego rzepaku, ale też z taniego importowanego oleju sojowego i palmowego. Wygląda na to, że urzędnikom Narodowego Funduszu Zdrowia zdarzyła się ostatnio podobna historia.

Oto w połowie marca tego roku NFZ wydał dokument opatrzonego sygnaturą 17/2009/DSOZ. Jest to zarządzenie zmieniające zarządzenie w sprawie „określenia warunków zawierania i realizacji umów w rodzaju rehabilitacja lecznicza”. Na pierwszy rzut oka zmiany wydają się czystą kosmetyką. Poszczególne artykuły dostały bardziej logiczne i lepsze gramatycznie brzmienie. Diabeł tkwi jednak w załączniku do rozporządzenia – katalogu zabiegów fizjoterapeutycznych, które są refundowane przez NFZ. W wyniku nowelizacji z załącznika zniknęła pozycja „Krioterapia – miejscowa (pary CO₂)”. Została tylko „Krioterapia miejscowa – (pary azotu)”. Skutki tej drobnej, wydawałoby się, zmiany okazują się potężne.

Krioterapia miejscowa stosowana jest w przypadku kilkunastu schorzeń, między innymi zapalenia stawów, ścięgien, mięśni oraz reumatyzmu. Jest także metodą rehabilitacji



Specjaliści twierdzą, że różnica pomiędzy CO₂ a azotem nie ma dla pacjentów żadnego znaczenia

po operacjach oraz urazach, takich jak zwichnięcia stawów czy uszkodzenia łętkotki. Zabiegi są dość proste: lekarz za pomocą specjalnej dyszy przez kilka minut schładza chore miejsce. Gdy krioterapia jest powtarzana cyklicznie, organizm zaczyna wytwarzać przeciwciała zwalczające dolegliwość. Metoda jest uznana na całym świecie i nie budzi kontrowersji, a zabiegi krioterapii są od lat opłacane przez NFZ (co oznacza, że pacjenci korzystają z nich bezpłatnie w ramach ubezpieczenia).

Brak podstaw logicznych

– Są dwa typy urządzeń. W jednych zimno uzyskuje się ze skroplonego azotu, w innych ze skroplonego dwutlenku węgla – tłumaczy doktor Rawa. – Pracuję w tym zawodzie tyle lat, przeszedłem kilkanaście szkoleń. I nigdy nie spotkałem się z poglądem, jakoby terapia z użyciem azotu była bardziej skuteczna od tej z użyciem CO₂. Dlatego właśnie nie rozumiem intencji urzędników NFZ.

Jego słowa potwierdza Marek Kiliański, prezes Polskiego Towarzystwa Fizjoterapii: – Azot ma co prawda niższą temperaturę skraplania

niż dwutlenek węgla, ale poziom chłodu wychodzącego z dyszy jest podobny w obu typach urządzeń. Dla pacjenta rodzaj zastosowanego gazu nie ma najmniejszego znaczenia – mówi. Zdaniem prezesa Kiliańskiego decyzja NFZ o wstrzymaniu finansowania zabiegów za pomocą urządzeń na dwutlenek węgla, a kontynuowaniu finansowania tych z użyciem azotu jest pozbawiona jakichkolwiek logicznych podstaw.

A może chodzi o pieniądze?

Czy na pewno? W całym kraju jest w tej chwili około czterech tysięcy placówek stosujących krioterapię miejscową. Technologia azot/CO₂ rozkłada się mniej więcej po połowie. To oznacza, że po decyzji NFZ połowę z czterech tysięcy urządzeń należy wymienić. Jedno urządzenie kosztuje około 20 tysięcy złotych. Jak łatwo policzyć, by dostosować się do nowych przepisów, służba zdrowia musi wydać na sprzęt około 40 milionów złotych. Jeden z lekarzy zajmujących się krioterapią, który prosi o zachowanie anonimowości, mówi: – Gdy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. A kto na tym zarobi, widać gołym okiem. To producenci sprzętu na azot, a jest ich w Polsce tylko dwóch.

Po marcowej decyzji NFZ w środowisku fizjoterapeutów zawrzało. Protesty złożyli profesor Zbigniew Śliwiński, krajowy konsultant w dziedzinie fizjoterapii, Polskie Towarzystwo Fizjoterapii oraz Ogólnopolska Izba Gospodarcza Wyrobów Medycznych „Polmed”. Ale NFZ jest nieugięty.

Rzeczniczka prasowa funduszu Edyta Grabowska-Woźniak zapewnia, że nowelizacja zarządzenia była poprzedzona konsultacjami społecznymi (to znaczy, że organizacje medyczne mogły zgłaszać swoje uwagi, nie ma to jednak nic wspólnego z badaniami naukowymi). – Wynika z nich, że skuteczność leczenia w technologii CO₂ jest jed-

nak niższa niż azotem. A fundusz musi stać na straży jakości świadczonych usług medycznych. Nie należy wydawać publicznych pieniędzy na usługi niskiej jakości – wyjaśnia. Ale na pytanie, na jakiej konkretnie podstawie NFZ uznał, że terapia azotem jest lepsza od tej dwutlenkiem węgla, Grabowska-Woźniak ucina: – Taką decyzję podjął prezes funduszu.

Ministerstwo na poważnie

Środowisko fizjoterapeutów nie ma zamiaru złożyć broni. Dwa tygodnie temu udało im się zorganizować spotkanie z przedstawicielem Ministerstwa Zdrowia, które sprawuje ustawowy nadzór nad działalnością NFZ. Wziął w nim udział krajowy konsultant w dziedzinie fizjoterapii oraz prezes Polskiego Towarzystwa Fizjoterapii. Z kolei resort reprezentował Michał Piszko, asystent polityczny wiceministra Jakuba Szulca. – Sprawę potraktowałem bardzo poważnie. Jestem już po rozmowie z kierownictwem NFZ. W najbliższych dniach dojdzie do spotkania środowiska fizjoterapeutów z szefostwem fundu-

szu. Obie strony będą miały szansę wyłożyć swoje argumenty – mówi Piszko. Zdaniem doktora Marka Krasuskiego, krajowego konsultanta w dziedzinie rehabilitacji medycznej, jedyne wyjście do przeprowadzenia kompleksowych badań klinicznych porównujących skuteczność obydwu metod. – Ja też nie znam podstaw decyzji NFZ – mówi Krasuski.

Jak to zwykle bywa, przez całe zamieszanie najbardziej cierpią pacjenci. Od kiedy NFZ refunduje zabiegi wyłącznie w technologii azotu, kolejki do gabinetów krioterapii wydłużyły się z kilku do nawet kilkunastu tygodni. W tym samym czasie połowa urządzeń stoi niewykorzystana. – Zdarzają się sytuacje, gdy niezależnie od podjętej decyzji spotykamy się z krytyką – mówi rzeczniczka NFZ.

Z czym tak naprawdę mamy tu do czynienia – jedynie urzędniczym błędem czy też celowym działaniem, po którym ktoś zarobi grube pieniądze – to muszą wyjaśnić instytucje do tego powołane. Doświadczenie pokazuje, że warto, by zajęły się sprawą.

Współpraca Elwira Wiechecka

PRZYPADKI CHODZĄ PO SŁUŻBIE ZDROWIA

POLSKA SŁUŻBA ZDROWIA to niekończące się pasmo afer, śledztw, a czasem aresztowań. Najsłynniejszą sprawą ostatnich miesięcy było wpisanie iwabradyny, środka stosowanego w chorobie wieńcowej, na listę leków refundowanych. Stało się to w niewyjaśnionych okolicznościach, po spotkaniu przedstawiciela koncernu farmaceutycznego z ówczesnym wiceministrem zdrowia Bolesławem Piechą (PiS). Sprawę wyjaśnia prokuratura. Przed sądem w Skarżysku Kamiennej toczy się proces Krzysztofa Grzegorka, wiceministra

zdrowia w rządzie PO, który jest podejrzany o przyjmowanie łapówek, gdy jeszcze kierował skarżyskim ZOZ. Z kolei prokuratura w Radomiu prowadzi śledztwo dotyczące przyjmowania korzyści majątkowych od firmy Johnson & Johnson i innych firm medycznych przez dyrektorów, ordynatorów i innych pracowników ponad stu szpitali w Polsce. W latach 2001–2006 osoby te miały przyjmować łapówki w wysokości od 500 zł do 200 tys. zł w zamian za „ustawianie” przetargów na zakup sprzętu medycznego. To największe tego typu śledztwo w kraju.

RADIO VOX FM Więcej na ten temat w środę 10 czerwca w wiadomościach Radia VOX FM

REKLAMA

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza na

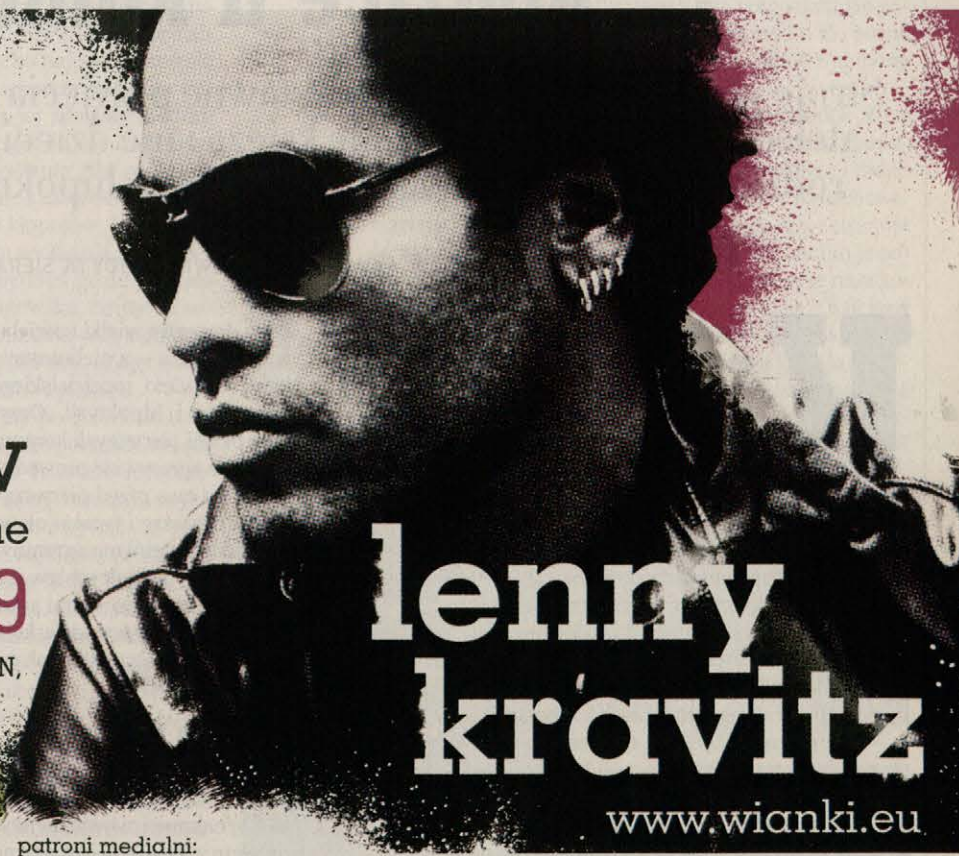
wianki
music experience

// **kraków**
bulwary wiślane
20//06//2009

THE POISE RITE, WILKI, VAVAMUFFIN,
PATRYCJA MARKOWSKA
start: 18.00

organizatorzy:

patroni medialni:



www.wianki.eu



Komunia powinna odbyć się z fasonem. Zabytkowe limuzyny przestały już być gadżetem jedynie dla nowożeńców. Na pierwsze spotkanie z Panem Jezusem nie można przecież przyjechać „po dziadowsku”

Rodzice u komunii

Stroje i prezenty ponad stan, wystawne przyjęcia dla nie lubianej rodziny, ateści na katechezach. To nie księża i nie dzieci, ale przede wszystkim rodzice co roku nakręcają przepelniony hipokryzją komunijny show

SAKRAMENTY PAWEŁ MOSKALEWICZ, JUDYTA SIERAKOWSKA

Kilka dni temu kolega zabrał mnie na papierosa. Minę miał zgnębioną, coś go męczyło. Gdy zapaliliśmy, westchnął: „Ech, podpisałem...”. Zabrzmiło prawie jak deklaracja współpracy z tajnymi służbami, czekałem więc, co będzie dalej. Okazało się, że kolega (niewierzący resztą) dzień wcześniej świętował pierwszą komunię swej córki. Podczas ceremonii dzieci ślubowały nieużywanie alkoholu, papierosów i narkotyków, a także życie w czystości do ukończenia 18 lat. Po złożeniu przysięgi i podpisaniu przygotowanych przez księdza deklaracji dziewięciolatki podeszły do swoich rodziców, by ci podpisali się na tych samych karteczkach.

Nie widzę nic złego w tym, że dzieci nie będą się narkotyzować – relacjonował kolega – ale to nie oznacza, że mam podpisywać w ciemno i z zaskoczenia jakieś papiery! Ale co miałem zrobić? – wszyscy wokół podpisywali, miałem narażać dziecko na stres, bo mi się sytuacja nie podoba?

Takich sytuacji przez ostatnie tygodnie zdarzyło się w Polsce tysiące. Bowiem komunijny maj to nie

tylko doroczny, wielki kościelny festiwal, ale także – z wieloma wyjątkami – święto rodzicielskiego konformizmu i hipokryzji. Oczywiście, przy okazji pierwszych komunii księża często agresywnie prowadzą swoją misję, bo czas przed pierwszą komunią to pierwszy i ostatni okres w życiu, kiedy Kościół ma ogromny wpływ na dziecko. Jednak wbrew pozorom to nie księża są głównymi animatorami komunijnego amoku, w który wpadają rodzice przystępujących do sakramentu maluchów.

Magiczny rytuał

Jak mówił w jednym z wywiadów biskup Antoni Długosz, „komunia nie jest bynajmniej najważniejszym momentem w życiu dziecka, a tymczasem rodzice zachowują się tak, jakby jej zorganizowanie było końcem wychowania. Posłałem do komunii, wypra-

wilem przyjęcie, mam spokój”. Zdaniem hierarchy przygotowany przez rodziców show – wystawna komunia, wyszukane stroje i drogie prezenty – po prostu deprawuje dzieci. „Takie obrządki nie mają nic wspólnego z sakramentem, z dziećmi, tu chodzi tylko o potrzeby dorosłych. To element polskiej obrzędowości, magiczny rytuał”. – To nie księża i nie dzieci, ale właśnie rodzice zamieniają komunię w wydarzenie społeczne, podczas którego przede wszystkim trzeba się „pokazać” – potwierdza w rozmowie z „Przekrojem” ojciec Jacek Prusak, jezuita i psycholog.

I rzeczywiście. W raporcie przygotowanym przez katolicki miesięcznik „W drodze” cytowani są rodzice zgodni, że (jeśli nie przede wszystkim) gigantyczna operacja logistyczna. „Przeraziłam się, gdy uświadomiłam sobie, ile

rzeczy trzeba załatwić i zorganizować – opowiada jedna z mam. – Ilu gości zaprosić? Czy organizować przyjęcie w domu, czy w restauracji? Ile to będzie kosztować? A jeśli w domu – skąd położyć zastawę i krzesła?”. Inna matka wspomina, że choć komunia ją wzruszała, nie mogła przestać myśleć o tym, czy wynajęta kucharka wstawiła już kartofle i czy pieczeń się udała. – Zaprosiłam całą rodzinę, także tę daleką i nie lubianą – wspomina z kolei Tamara. – Ja się pomęczyłam kilka godzin, uśmiechając się fałszywie, ale Marta, nie dość że poznała nieznaną ciocię, to jeszcze prezentów miała więcej.

Jednak zanim dotrą do przyjęcia, przed rodzicami długa droga.

Regularne zebrania rodziców grupy komunijnej rozpoczęły się ponad pół roku przed samą ceremonią – opowiada Mariola Syczewska z Poznania. – Niby gospodarzem był ksiądz, który przygotowywał dzieci do komunii, ale i tak najwięcej czasu poświęcaliśmy na dyskusje o oprawie całego wydarzenia. Gdy już zgodziliśmy się, żeby zatrudnić jednego fotografa dla wszystkich, ktoś rzucił pomysł z profesjonalnym kamerzystą. Na filmie jest nie tylko komunia, ale też pierwsza spowiedź oraz migawki z białego tygodnia.

Pierwsza spowiedź rejestrowana na DVD to novum, hit tego sezonu. – To nieporozumienie – oburza się ojciec Prusak. – Proboszcz nie powinien na to zezwolić! Zezwala jednak, podobnie jak na rewię mody i przerobienie kościoła na wybieg dla modelek. – Ktoś rzucił myśl, żeby zatrudnić profesjonalną dekoratorkę – wspomina Syczewska. – Byłam przeciw, ale takich jak ja była garstka. Szybko zakrzyzczały nas mamusie argumentując, że taką uroczystość ma się raz w życiu i że przecież nie będziemy dzieciom żałować. No to jak, miałam żałować?

Syczewska opowiada, że jedynym sukcesem lobby „skromnych” było ustalenie, że wszystkie dzieci będą miały jednolite stroje. – Ale model wybrała większość. Obficie haftowana złotem alba mojego syna ze skromnością miała niewiele wspólnego – przyznaje.

Mama Oliwii posyłała w tym roku córkę do pierwszej komunii w jednej ze skierniewickich parafii. – Wzięłam trzy tysiące złotych pożyczki z banku. Będę spłacać przez rok – wzdycha. – Nie poskapię przecież dziecko i nie będę świeciła oczami przed rodziną czy znajomymi. Inne matki też pożyczły pieniądze, bo komunia musi wypaść godnie, z fasonem – dodaje kobieta.

– To jedyna taka uroczystość w życiu – upiera się jeden z proboszczów cytowanych przez „W drodze”. – Jest wideo, robione są zdjęcia, na wszystko patrzą goście, musi być elegancko. Dzieci muszą dobrze wyglądać i kościół też, bo przebieg i oprawa komunii to wizytówka parafii!

Czy tata kocha Jezusa?

Joanna Suligowska jest klasycznym przykładem katolickiej niespecjalnie praktykującej. Przywiązanie do wiary (a w zasadzie do tradycji) wyniosła z domu, ślub wzięła katolicki (choć narzeczony był niewierzący) i choć w kościele bywała rzadko, jak większość Polaków wychowanych w tradycji katolickiej uważała za normalne, że dziecko najpierw zaniesie do chrztu, a potem pośle do komunii. Gdy jej syn Janek, który miał przystąpić do komunii, przyniósł zaproszenie dla rodziców na spotkanie z księdzem, nie podejrzewała kłopotów. Jednak już na początku spotkania proboszcz surowo zapytał: a gdzie jest tata Janka? Suligowska, czując na sobie spojrzenia całej sali, stchórzyła po raz pierwszy. „Zajęty dziś bardzo był...” – wyjąkała.

Jednak już po chwili okazało się, że to dopiero początek. Ksiądz zapowiedział bowiem, że rodzice do pierwszej komunii swych pociech przygotowywać się będą przez kilka najbliższych miesięcy, a zbyt duża liczba nieobecności spowoduje... niedopuszczenie dziecka do sakramentu! Wtedy Suligowska stchórzyła po raz drugi. – Zamiast jak człowiek po spotkaniu podejść do księdza i wyjaśnić sytuację, ja, zdawałoby się, dorosła i wykształcona kobieta, uciekłam do domu, gdzie zaczęłam przekonywać męża do udziału w kateche-

zie dla rodziców! Marek na początku nie chciał o tym słyszeć, mówił, że zwariowałam, przekonałam go w końcu łzami i prośbami – wspomina Suligowska. I choć – jak mówi – komunię od kilku tygodni mają już z głowy, nie może zapomnieć ciężkiego spojrzenia męża, gdy Janek radośnie pytał, czy tata wreszcie pokochał Pana Jezusa.

Wielu rodziców bez głębokiej wiary zabiera się do przygotowań do komunii, to wynik ogromnej presji społecznej, która każe nam wiele rzeczy robić nie tylko bez przyjemności czy przekonania, ale nawet wbrew sobie – komentuje profesor Zbigniew Nęcki, psycholog. – Owa presja wywierana jest nie tylko przez rodzinę i znajomych, ale nawet osoby obce, jak rodzice rówieśników naszego dziecka. Trudno jej się oprzeć, zwłaszcza gdy towarzyskie wykluczenie może dotyczyć nie tylko rodziców, ale i dziecka, które chcą chronić.

Zdaniem Nęckiego rodzice nie chcą robić z dziecka dziwadła i to często jedyna motywacja posłania do pierwszej komunii dziecka ludzi niezwiązanych z Kościołem. – Ateści, agnostycy czy niepraktykujący katolicy nie mają żadnego punktu oparcia, choćby takiego jak świadkowie Jehowy. Dziecko świadków też będzie uznane za dziwadło, ale otrzyma potężne wsparcie w domu. Ateści takiego wsparcia nie mają, często mieszają im się porządki: boski, społeczny, kulturowy... Ucieczka w konformizm to jedyne wyjście – a na pewno najłatwiejsze – podsumowuje Nęcki.

Przygotowując ten tekst, rozmawialiśmy z dziesiątkami rodziców i słyszeliśmy jedynie chór narzekań ludzaco podobnych zarówno na wsi, jak i w wielkim mieście: na pazernych proboszczów, na ogromne koszty, na dni i godziny stracone na próbach, zebraniach czy naukach dla rodziców. Jednak pytani, dlaczego z tym wszystkim się godzą, podobnie zgodnym chórem odpowiadali: Co powie rodzina? Dziecko mają wytykać? Jeszcze mnie z ambony wyczytają.

Jak to możliwe, że Polacy, którzy przez ostatnich 20 lat wykonali tak gigantyczny skok, którzy wyemancypowali się w tylu dziedzinach, w relacjach z Kościołem i rodziną pozostają zastraszeni hipokrytami? – To zachowania dające bezpieczeństwo, potwierdzające przynależność do wspólnoty. Jakkolwiek byłyby uciążliwe, trudno je odrzucić – mówi Nęcki. Jest jednak przekonany, że nasz komunijny konformizm czeka „plażowa ewolucja”: najpierw plażowaliśmy w ubraniach, potem odsłoniлиśmy łokcie i kolana, wreszcie nastąpiła era bikini, a odważni opalają się nago. To zaś oznacza, że wnuki dzisiejszych ateistów zapewne do komunii już nie pójda. Tylko czy to dla Kościoła na pewno zła wiadomość? Współpraca mil

Komunia to czas, kiedy rodzice nie oszczędzają. Święte torty ze zdjęciem małego komunisty idą jak woda



W czwartek 11 czerwca po godzinie 15.00 o komunijnym show słuchaj w audycji „Blog FM” w Radiu TOK FM. Zaprasza Jakub Janiszewski

Przygotowane do morskiego transportu Volkswageny i Audi. Pod koniec kwietnia właściciel obu tych marek Volkswagen Group ogłosił, że jego dochody z powodu kryzysu spadły o 74 procent

MASOWA PRODUKCJA AUT W EUROPIE I USA TO OSTATNI RELIKT ERY PRZEMYSŁOWEJ NA ZACHODZIE. ZAMIAST JĄ DOTOWAĆ, POWINNIŚMY SIĘ Z NIĄ POŻEGNAĆ I ODDAĆ CHIŃCZYKOM

Godzina pracy robotnika w chińskiej fabryce samochodów to dla producenta koszt około 1,4 złote- go. Za godzinę pracy w niemieckiej fabryce Opla trzeba zapłacić co najmniej 90 złotych. Stal samochodowa w Chinach jest średnio sześć razy tańsza niż w Europie.

W dodatku różnica w jakości produkcji przestaje być zauważalna. Dochodzą oczywiście koszty transportu, ale nie przekraczają one pięciu tysięcy złotych od auta. W takim razie dlaczego w Europie i USA wciąż produkuje się samochody?

Powody są dwa – sentymenty i polityka. Ten pierwszy powód jest kosztowny, ale ma swoją wartość. Gdy niemiecki BMW kupił brytyjskiego Rovera, w Londynie doszło do protestów przeciwko wyprzedaży majątku narodowego. Ale Brytyjczykom przeszło, mają czym jeździć i jakoś nie widać, by ci pionierzy motoryzacji cierpieli na niedobór dumy narodowej. A samochody, tak jak odkurzacz i monitory, kupują azjatyckie.

W czasach kryzysu jeszcze łatwiej jest pozbyć się sentymentu, szczególnie jeśli można na tym zarobić kilkanaście tysięcy złotych (czyli średnią różnicę między ceną rodzimego i azjatyckiego auta). Gorzej z polityką, a w zasadzie z politykami, którzy przecież muszą nas uszczęśliwiać.

Aby do wyborów

Niemców to uszczęśliwianie będzie kosztować około pięciu miliardów euro. Pod koniec maja niemiecki rząd zaakceptował sprzedaż większościowego udziału w Oplu konsorcjum, na którego czele formalnie stoi Magna, austriacko-kanadyjski producent samochodowych części zamiennych. Transakcję sfinansuje jednak kontrolowany przez Kreml Sberbank.

Dotychczasowy właściciel Opla, amerykański gigant General Motors, odda konsorcjum 55 procent udziałów za marne 700 milionów euro. Tylko od stycznia Berlin wydał już dwa razy więcej na ratowanie Opla, a wkrótce udzieli gwarancji na trzy miliardy euro pożyczki. W zamian Magna i Rosjanie obiecali rządowi Angeli Merkel, że nie zamkną żadnej niemieckiej fabryki Opla.

Eksperci uważają, że Berlin ryzykuje. – Daję Oplowi 60 procent szans na przetrwanie – mówi Andrew Wilson, ekonomista z Europejskiej Rady Polityki Zagranicznej. I dodaje, że Magna nie ma doświadczenia w produkcji samochodów. Tym bardziej nie ma go Sberbank, którego udział w transakcji odczytywany jest jako budowanie politycznego sojuszu Moskwy i Berlina.

Ważny był też moment zawarcia porozumienia – na tydzień przed wyborami do europarlamentu i na trzy miesiące przed wyborami do Bundestagu. – Teraz rząd może zagwarantować, że Opel na pewno nie upadnie. Przynajmniej do wrześnieńskich wyborów – twierdzi w rozmowie z „Przekrojem” niemiecki ekspert motoryzacyjny, profesor Ferdinand Dudenhöfer.

Uratowanie 26 tysięcy miejsc pracy w czterech niemieckich fabrykach Opla to niezłe hasło wyborcze. Tyle że jest to manipulacja. Wy tłumaczył to już na początku XIX wieku francuski ekonomista Frédéric Bastiat. Z politycznego punktu widzenia najprościej jest bronić grup, które są widoczne, namacalne – na przykład zrzeszonych w związkach pracowników Opla (albo Stoczni Gdańskiej). Jest ich stosunkowo niewiele, więc konkretne pieniądze łatwo poprawiać ich sytuację. I będzie to widoczne.

Zamknięcie fabryki byłoby wielką tragedią dla tych ludzi, ale jej niezamykanie to trage-

dia dla małych firm, które muszą z tego powodu płacić wyższe podatki (chyba że wcześniej z tego powodu zbankrutują). W sumie zatrudniają one o wiele więcej pracowników, choć są oni mniej „widoczni”.

Komisja sprawiedliwości

Jednak pieniądze na pomoc dla Opla będzie trzeba komuś zabrać. Ten ktoś to społeczeństwo, czyli anonimowa masa. Masa najpierw zapłaci wyższe podatki (na subsydia dla Opla), przez co nie wyda pieniędzy na produkty z innych branż (spadnie tam zatrudnienie), a na koniec kupi droższe samochody. Od Opla oczywiście, bo jak mają z nim konkurować firmy, które z trudem bronią się przed kryzysem bez żadnej pomocy z zewnątrz?

Tę pomoc w postaci uczciwych warunków konkurencji winna zapewnić Komisja Europejska. Pierwszy sprawdzian w kryzysie (nie licząc pomocy dla banków) przeszła w lutym, gdy Paryż zaproponował Peugeotowi i Renault pomoc, pod warunkiem że firmy te nie przeniosą produkcji poza Francję. Paryż cofnął ów warunek pod naciskiem Komisji, ale pomoc popłynęła.

Formalnie wszystko było w porządku, bo Unia na czas kryzysu rozluźniła warunki pomocy publicznej. Ale dlaczego dostały ją akurat Peugeot i Renault? Dlaczego przemysł samochodowy, a nie spożywczy? Dlaczego Komisja nie zareagowała na pomoc dla Opla, mimo że ta jest obwarowana „narodowymi” warunkami (nie-tykalność fabryk w Niemczech)? I co to ma wspólnego z uczciwą konkurencją w Unii? Na pewno mniej niż z tym, że 18 czerwca nowy europarlament wybierze szefa nowej Komisji, a José Manuel Barroso liczy na reelekcję, na co nie ma szans bez poparcia Berlina.

Rząd Angeli Merkel zagwarantował nietykalność niemieckich fabryk Opla.

W sprawie fabryk w Gliwicach i Tychach nowi właściciele dostali wolną rękę.

Rosjanie z Sberbanku już zapowiedzieli, że chcą część produkcji przenieść do Rosji



GAŁĄŻ DO ODCIĘCIA

MOTORYZACJA ŁUKASZ WÓJCIK

→ Ale politycy uszczęśliwiają również za oceanem. Paul Krugman, amerykański ekonomista i publicysta, odbierając zimną Nagrodę Nobla, wątpił, czy „amerykańska motoryzacja przetrwa w długim okresie”. Ale zaraz potem stwierdził, że „należy jej pomóc w krótkiej perspektywie”. Po co, jeśli i tak upadnie? Odpowiedź jest znów ta sama: sentymenty i polityka.

Ikona GM

Dwa dni po decyzji w sprawie Opla o upadłość i ochronę przed wierzycielami wystąpił General Motors (GM). Koncern, który 30 lat temu produkował co drugie sprzedawane w USA auto, ma się przed czym chronić, bo jego zadłużenie wynosi 172 miliardy dolarów – nawet gdyby sprzedał wszystko, co ma, to nie starczyłoby na spłatę połowy długów.

Koncern zostanie znacjonalizowany. Rząd USA, który od stycznia przejął już na konta GM 20 miliardów dolarów, przejmie 60 procent udziałów w firmie i dorzuci jeszcze 30 miliardów na restrukturyzację. Czy to się uda? Stawką jest sen-

inwestował w oszczędne i małe samochody, a japońska Toyota wchodziła na rynek z hybrydowym modelem Prius, wiceszef GM Bob Lutz przekonywał, że auta hybrydowe w USA to „ekonomiczna głupota”, a „globalne ocieplenie to jakaś totalna kupa gówna”.

1,3 miliona za etat

Dlatego dziś szczęście Amerykanów będzie kosztować około 50 miliardów dolarów. A to oznacza, że każdy Amerykanin rzuci się na GM po jakieś 170 dolarów. Albo jeszcze lepiej, każde „obronione” miejsce pracy w GM będzie kosztować ponad 1,3 miliona dolarów. Udziałowcy GM, czyli od kilku miesięcy również Warren Buffett, są zapewne wniebowzięci. Skansen zostanie utrzymany, mimo że – jak ocenia Samsung Economic Institute – 30 procent wyprodukowanych w 2008 roku w USA samochodów nie znalazło nabywców.

– Amerykanie, zadłużając się na pokolenia, utrzymują miejsca pracy w niewydajnych i nieinnowacyjnych firmach, przez co niszczą etaty u walczącej na rynku konkurencji, która i tak ma kryzys na gło-

tańsze i lepsze samochody”. Część ekspertów jednak uważa, że w USA to jest już niemożliwe. – Im szybciej koncerny zdadzą sobie z tego sprawę, tym mniejsze straty poniosą – mówi nam Garrel Rhys, analityk rynku samochodowego z Uniwersytetu w Cardiff.

Rhys twierdzi, że im dłużej ten transfer produkcji będzie odkładany, tym większe tapnięcie czeka nas w przyszłości. Już dziś prasa motoryzacyjna rozpisuje się o „przemysłowym upokorzeniu”, którego Zachód doznaje w konkurencji z Azją.

Chińskie gwiazdne wojny

Od niedawna Chińczycy pierwszy raz w historii wyprzedzają Amerykanów w liczbie kupionych samochodów. Od kilku lat Porsche i BMW, dwaj europejscy producenci aut luksusowych, przedstawiają produkcję na coraz większą sprzedaż w Chinach, które już dziś są dla nich drugim (po Niemczech) rynkiem zbytu. Coraz więcej europejskich koncernów ma azjatyckich właścicieli. Indyjska firma Tata Motors kontroluje Land Rovera i Jaguara. Grupa kapitałowa ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich chce przejąć Daimlera, właściciela Mercedesa, a tydzień temu mało znany koncern z Chin wykupił od GM markę Hummer.

Ale Azjaci nie tylko kupują. Oni prowadzą nowe gwiazdne wojny z Zachodem. W latach 80. Ronald Reagan przeznaczył miliardy dolarów na wojskowe technologie kosmiczne. ZSRR, próbując dotrzymać kroku USA, zrobił to samo. Tyle że nie wytrzymał tego gospodarczo, co było jedną z przyczyn jego upadku. Dziś Chińczycy przeskakują całą generację w produkcji aut i inwestują miliardy w nowy rodzaj napędu, który już za kilkanaście lat może być najpopularniejszy na Zachodzie. Zachód z powodu kryzysu nie ma pieniędzy na rozwój tej technologii i już wkrótce może się okazać, że odda ten rynek bez walki.

Chodzi o samochody z napędem elektrycznym. W kwietniu dziennik „The New York Times” pisał, że podczas gdy w USA sprzedają hybrydowej Toyoty Prius wciąż raczkują, a przyszłość amerykańskiego odpowiednika, Chevroleta Volta, jest wątpliwa z powodu kryzysu, w Chinach już za trzy-cztery lata będzie jeździć dwa razy więcej elektrycznych aut niż w USA.

Jeszcze kilka lat temu europejskie koncerny próbujące wejść na rynek z hybrydowym czy elektrycznym autem kupowały baterie litowe od chińskiej firmy BYD, największego na świecie producenta baterii do telefonów komórkowych. Dziś ta firma we współpracy z Volkswagenem sama wypuszcza elektryczne samochody. Pekin dopłaca klientom kupującym elektryczne auta nawet czwartą część ich ceny. – To kwestia kilkunastu lat i będziemy jeździć wyprodukowanymi w Chinach elektrochodami, być może z logo jakiegoś zachodniego koncernu – mówi Dudenhöfer.

Bilety za dumę

Bez względu na kryzys wciąż obowiązują nas prawa rynku. Nieinnowacyjne przedsięwzięcia są wypierane przez nowe, kreatywne. Publiczna pomoc dla tych pierwszych tylko odsuwa w czasie ten proces. Nie zawróci go. Nikt nie zabroni Amerykanom budować aut w Detroit, tak jak nikt nie zabroni Polakom budować statków w Gdańsku. Tylko czy to się opłaca?

Motoryzacja to taka spóźniona branża. Produkcję odkurzaczy, mikserów i telewizorów już dawno przeniesiono do Azji. Teraz kolej na auta. Jeśli jednak samochody (lub statki) traktowane są przez niektórych jako przedłużenie dumy narodowej, to wciąż nie powód, aby państwo zmuszało wszystkich do finansowania tej dumy. Mamy lepsze rozwiązania. Jest takie miejsce, gdzie można wstawić drogie i dziś już niepraktyczne przedmioty oraz zarabiać na ich pokazywaniu. Muzeum.

Oto historia zaborczej milionerki z Polski i angielskiego lekkoducha. Pomidory i czarna magia, zysk i długi, uzależnienie i odwyk, zazdrość i zdrada, szminka i paralizator. To się musiało źle skończyć

KRONIKA KRYMINALNA RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Wudu, warzywa i śmierć

Późne popołudnie, wtorek 26 maja. Paryski hotel Le Bristol, apartament za pięć tysięcy złotych. Na ścianie straszą strzępki tapety, z karnisza zwisa naderwana zasłona, na podłodze walają się puste butelki po szampanie. Przeżona pokojówka zastanawia się, w co ręce włożyć. Jeszcze nie wie, że dziś nikt nie będzie sprzątał tego pokoju. Za chwilę w zalanej krwią wannie znajdzie szwanki kobiety. Zaraz przyjedzie tu policja, przeprowadzi oględziny, a ciało trafi na sekcję. Patolog nie będzie miał wątpliwości: przyczyną śmierci Kingi Legg, lat 36, szczupłej i wysokiej blondynki, był krwotok wewnętrzny. Przyczyną krwotoku były ciosy zadawane tępym narzędziem. „Pięściami i wyposażeniem apartamentu” – powie potem, wyjaśniając, że mogło chodzić o maszynę lampkę nocną. I tyle. Dalsza sekwencja przyczyn to już nie jego sprawa. Wyjaśnienie, kto i dlaczego użył wyposażenia apartamentu, to robota detektywów.

Poszło im łatwo. W recepcji dowiedzieli się, że Kinga Legg zameldowała się w hotelu 25 maja, a następnego dnia odwiedził ją jej narzeczony Ian Griffin, lat 40 (firyk, utracjusz, wynalazca, eksmodel, przedsiębiorca, bankrut, który w 2002 roku zasłynął sprzedażą laleczek wudu przedstawiają-

cych Osamę ben Ladena). Wszedł i po kilku godzinach wyszedł, zostawiając na kłamce wywieszkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Gdy pokojówka odkrywała makabryczną prawdę, był już w Wielkiej Brytanii, dokąd dojechał swoim szarym porsche 911. Nie wyglądał dobrze. Na zdjęciu, które wysłał swojej przyjaciółce Tracy Baker (lat 28), widać poobijaną twarz. A z opisu zdarzeń, który jej przekazał, wynika, że feralne spotkanie z Kingą Legg miało tak samo burzliwy przebieg jak cała ich znajomość.

– Podobno zrobiła mu porządną awanturę – twierdzi Baker. – Mówił, że Kinga zaatakowała go paralizatorem w szmince i że jest cały podrapany i posiniaczony.

Według Baker Griffin był regularnie celem ataków ze strony narzeczonej. – Legg była zaborcza, chciała go kontrolować, myśleć, że była zazdrosna z mojego powodu – przypuszcza. Miała prawo być. Griffin nie miał natury monogamisty. Jak mówią jego przyjaciele, każdą sprzeczkę z Kingą odreagowywał w ramionach Tracy. A Kinga nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Zdarzało się, że mu przylała. Zwłaszcza wtedy, gdy wzmacniała swe afekty i frustracje kokainą, alkoholem czy środkami nasennymi. Griffin zresztą wcale nie był lepszy; oboje mieli podobne uzależnienia. Ze śladów w Le Bristol wy-

ka, że żadne z nich nie było wtedy w okresie abstynencji.

Legg i Griffin poznali się trzy lata temu. Mieszkali w Oxshott (hrabstwo Surrey), w wynajętej posiadłości wartej trzy miliony funtów i planowali kupno jachtu za milion funtów. Ich znajomi są zgodni: Griffin nie dokładał się do tego dobrobytu. Nie miał nic; jego konto zasilala narzeczona, która w przeciwieństwie do niego potrafiła prowadzić interesy.

Kinga z domu Wolf wychowała się w Tłokini Wielkiej, małej (wbrew nazwie) wiosce w Wielkopolsce. Zawsze najlepsza w klasie, skończyła studia najpierw w Polsce, a potem w Wielkiej Brytanii. Nazwisko i obywatelstwo zawdzięcza Peterowi Leggowi, urzędnikowi z hrabstwa Lancashire, którego porzuciła krótko po ślubie,

Elektroszminka Kingi Legg

TEN GADŻET naprawdę potrafi wywołać piorunujące wrażenie. Poręczny, niewielki i przede wszystkim skuteczny. Naciśnięcie przycisku wyzwała prąd o napięciu 350 tysięcy woltów (siedem razy większym od taserów

stosowanych w policji). Wystarczy, żeby na długo unieszkodliwić napastnika. Według brytyjskiej prasy Kinga Legg kupiła taki paralizator w przeddzień awantury w Le Bristol.

W Wielkiej Brytanii jest nielegalna, ale w Internecie można taką szminkę kupić za 30 funtów

Ona i on – czyli Kinga Legg i Ian Griffin.

Po ostatniej sprzeczce z narzeczoną Griffin przesłał swoje zdjęcie przyjaciółce. Twierdzi, że Kinga rozorała mu powiekę swoim pierścieniem



Niemiecki Volkswagen jest pierwszym europejskim koncernem, który planuje bliską współpracę z chińskimi firmami przy produkcji elektrycznych aut

tymentalno-monumentalna ikona przemysłu USA, która od lat 90. uwzięła się na wielkie SUV-y. I mimo że w kryzysie prawie nikt ich już dziś nie kupuje (drogie i dużo palą), GM wciąż je produkuje.

Produkuje dzięki przychylnym politykom. Przez lata skutecznie lobbowali w Kongresie między innymi za odrzuceniem projektów ograniczających emisję spalin czy spalanie w nowych autach. Podczas gdy Ford, największy konkurent w USA,

wie. Tyle że nie nazywa się General Motors – przekonuje Wilson.

Jeśli i ta próba ratowania GM okaże się nieudana, być może ktoś wspomni kowbojską prostotę poprzedniego prezydenta USA. Gdy w 2008 roku delegacja koncernów z Detroit przyjechała do Białego Domu z prośbą o pomoc, George W. Bush odmówił. Zapytany przez jednego z gości: „Jak w takim razie mamy sobie poradzić z azjatycką konkurencją?”, odparł: „Róbcie



Rozmowa odbyła się 3 czerwca 2009 roku w Warszawie

Kim pan jest?

– Kimś, kto odkrył zupełnie niedawno swoją misję i pasję – muzykę.

Pana muzyka jest do czego? Bo muzyka może różne rzeczy z człowiekiem robić.

– Poczuję, że poprzez muzykę mogę dostarczać ludziom wielu pozytywnych emocji.

Czyli zabawy. Nazywajmy rzeczy po imieniu.

– Zabawy, ale nie tylko. Są osoby, które odbierają moje piosenki bardzo bezpośrednio...

I tańczą.

– Tak. Albo osoby potrzebujące, chorzy na onkologii, którzy czują te teksty. Na przykład tekst „To długa rzeka”, gdzie piszę: „To, co nas czeka, to długa rzeka albo krótka historia trochę dziwna”. Nigdy w życiu nie spotkało mnie nic strasznego, ja to odniosłem do miłości, że „to, co nas czeka, to długa rzeka”, czyli będziesz żył sto lat z tą drugą osobą, albo „krótka historia trochę dziwna”, bo zawsze krótka historia miłości musi być trochę dziwna. Ale osoby potrzebujące odbierają te słowa bardzo osobiście, czyli „to, co nas czeka, to długa rzeka” – czyli życie. A „krótka historia” to na przykład choroba, która cię nagle dopadła.

To zwiększa pańskie poczucie odpowiedzialności za teksty?

– One były pisane tak bardzo młodzieńczo, bez specjalnych pretensji do zagłębiania się w wartość życia. Dopiero kiedy płyta została doceniona, to sobie uświadomiłem, że wiele osób odbiera ją na różne sposoby. I rzeczywiście poczułem przy pisaniu kolejnych tekstów większą odpowiedzialność.

A dlaczego właściwie pan pisze?

– Pierwsza odpowiedź jest taka, że gdzieś tam w pewnym wieku, kiedy zaczynasz coś pisać...

...i jesteś grafomanem...

– ...masz 16 lat, przychodzisz do kanciapy, zaczynasz tworzyć i ktoś mówi: nawet fajnie ci to wyszło, w takim razie ty będziesz tekściarzem. Zaczynasz pisać, pisać, pisać i powstaje na przykład piosenka „Lato 2000”, bardzo wesoła. Napisałem ją jeszcze w poprzednim ze-spole. Ona zyskuje uznanie, więc po prostu piszesz dalej.

Ale dlaczego? Pan pisze, żeby mieć co śpiewać?

INŻYNIER KUPICHA

Szukając pełnej emocji duszy **Piotra Kupichy**, redaktor Najsztub trafił na inżynierską pracowitość, a w poszukiwaniu śladów rockandrollowego życia – na rozagę godną ministranta.

Do nowej płyty lider Feel podszedł, jak sam twierdzi, rzetelnie

– Pisałem piosenki, bo z jednej strony rzeczywiście to mi wychodziło i ten zlepek słów wy-skrobany na kartce się podobał. Tak naprawdę trudno mi odpowiedzieć, bo te teksty zostały docenione o wiele później, a nie wtedy, kiedy je pisałem.

Więc pan sobie te teksty skrobie...

Są ludzie, którzy czują wewnętrzny przymus pisania niezależny od tego, czy są grafomanami, czy wielkimi poetami i tekściarzami. Są też osoby, które mają melodię i chcą do niej ułożyć jakieś słowa,

bo melodia jest fajna. Są też osoby, które czują, nie zawsze trafnie, że mają coś do powiedzenia, taką moc przeżyć i doznań, którymi chcą się podzielić. A pan mówi w skrócie: zacząłem pisać i piszę.

– Tak. Nie mam aż takiego poczucia misji, nie należę też do osób, które próbują za wszelką cenę coś przelać na papier. U mnie jest potężna potrzeba wzięcia gitary na kolano.

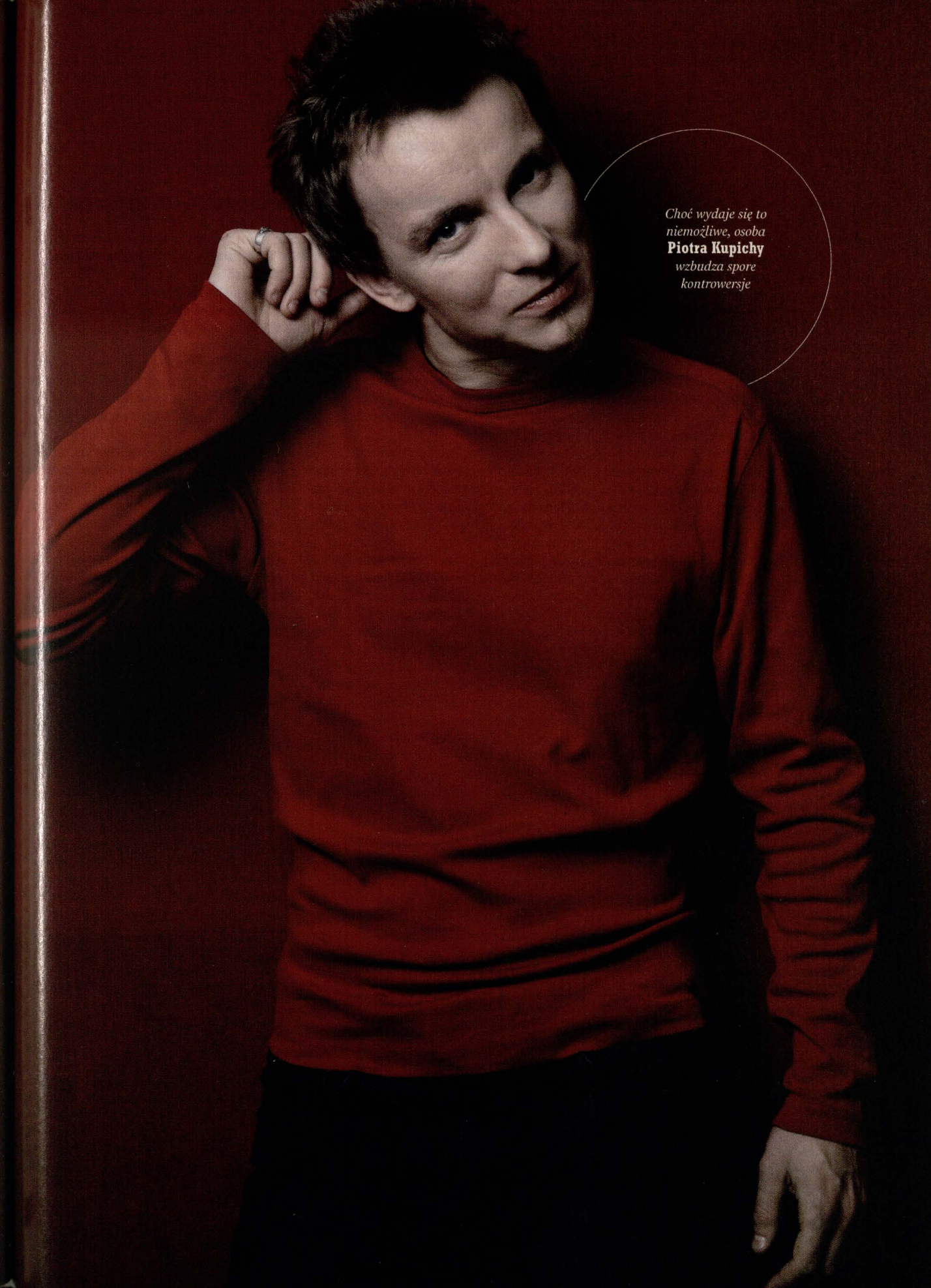
Bierze pan na kolano gitarę i co dalej?

– Powstaje przede wszystkim jakiś zarys melodii i potem za tym idą polskie słowa, które są taką bardzo naturalną i powierzchowną obserwacją świata. Nie jestem, broń Boże, osobą w żaden sposób skomplikowaną.

I nie ma pan tego sobie za złe?

– Nie chcę pisać dla siebie i paru wtajemniczonych. Rozmawiałem o tym z różnymi kolegami i koleżankami z branży, którzy piszą dla siebie teksty troszkę obok życia. Śpiewam między innymi dla młodych, a oni kończą studia i mają straszne dylematy. Jedni są bezbronni wobec świata, a inni sobie w miarę radzą. Kończą studia i sami nie wiedzą, co mają ze sobą robić, i jeszcze słyszą, że jest kryzys. Nie wiedzą, jak ruszyć dalej, a tu jeszcze przychodzi dziewczyna z pozytywnym testem ciążowym. Ja to wszystko przerabiałem i pamiętam, że na przykład piosenka „Pokaż, na co cię stać” powstała właśnie w tym okresie. Stąd „pokaż, na co cię stać, ale nie jeden raz”. Bo często jest tak, że młodzi ludzie przychodzą do pracy, z jednej strony boją się, z drugiej pokorni, i chcą wszystko pokazać naraz. A tak się nie da. W pierwszym miesiącu mają wyniki, a w drugim myślą, →

Choć wydaje się to niemożliwe, osoba **Piotra Kupichy** wzbudza spore kontrowersje





→ że wszystko im się już należy. Przerabiałem to. Nic się nie należy, muszą pielęgnować w sobie pokorę, rozłożyć siły na lata i sukcesywnie dorastać do tego, co im w duszy gra. **Pan mówi trochę jak streetworker.** – Może. „Pokaż, na co cię stać, ale nie jeden raz, słuchaj”. To niesamowicie ważne słowo, słowo rzeka, „słuchaj”. Bo „piękne słowa mówią wszystko, ale one nie zmieniają nic”.

Nie rozumiem.

– Bardzo często ktoś nas klepie po plecach, mówi, że jesteś super, ale tak naprawdę to ty musisz być z siebie zadowolony, bo piękne słowa z zewnątrz nie zmieniają ci życia i nie napisz sobie za nie domu, samochodu, a masz na przykład takie marzenia. A jeśli pojawiła się rodzina, to musisz dać jej jakieś zabezpieczenie, być odpowiedzialny.

Nie chce pan przeżywać dramatów, żeby móc o tym śpiewać?

– Nie, bo dramaty do niczego dobrego nie prowadzą.

W historii muzyki akurat doprowadziły do setek genialnych przebojów.

– Ludzie często, jak mają doły albo coś im się maksymalnie rozwała, to piszą najlepsze teksty. Ale nie trzeba zaraz dramatów. Jeżeli się wszystko zawodowo układa, jesteś taki „lekki bat”, to wtedy na pewno nie napiszesz swojego najlepszego tekstu. A kiedy coś nie idzie po twojej myśli, nagle jesteś w zawieszeniu przez jakiś czas, to może to mieć przełożenie na tekst. Wróciłem z Dominikany, gdzie byliśmy z Radiem Eska, po powrocie byłem taki całkowicie wyciszony i od razu gdzieś powstały dwa teksty.

O czym?

– O czymś bardzo luźnym...

Ale o niczym? Co jest tematem tych piosenek?

– To, że „rano kawa budzi mnie, woda zmywa piękny sen, dzień dopiero rodzi się, razem z nim prawdziwy sen”. Tam często, budząc się, miałem wrażenie „maniany”, a u nas ta kawa budziła mnie do prawdziwego snu, który śniemy, mając już otwarte oczy.

Słuchając pańskich piosenek, miałem wrażenie, że one są skonstruowane jak przekazy reklamowe. Może naprowadził mnie na to pana udział w kampanii banku Millennium. Są odsunięte od złych emocji, nawet jak pojawia się jakiś problem, to on jest szybko rozwiązywany ze szczęśliwym zakończeniem. Może pan jest wytworem epoki, bo pan się już urodził i rozwija w czasach, kiedy reklama i ten rodzaj opowieści o świecie pozbawiony wielkich dramatów, złych zakończeń dominują?

– Myślę, że w tej sprawie mogę być wytworem epoki.

To nie musi być nic złego.

– Dokładnie. Na to mogą się składać geny, cechy osobowościowe, wychowanie. Choć piosenka „Nasze słowa, nasze dni” jest tekstowo numerem niezwykle silnym, szczególnie w porównaniu z piosenką „Jest już ciemno”. Zmierzam w kierunku takich tekstów jak „Nasze

Nie zacznę nagle pisać piosenek trudnych, skomplikowanych. Bobem Dylanem nie będę, mogę być Bryanem Adamsem

PIOTR
KUPICHA

Moja dusza kipi, wylewa się, przelewa i wszystko naraz. I jest przepełniona ochotą, żeby robić kolejne dobre rzeczy

słowa, nasze dni”, gdzie jest prosty przekaz. Jestem wychowany na zespole Dżem i tam ten przekaz jest banalny, ale zarazem jest fantastyczna gra słów.

Ale zapomina pan o jednym. W przypadku prostych piosenek zespołu Dżem życie frontmana nakłada na nie filtr szczególnej emocji. Dzięki niemu inaczej je czytamy, te proste teksty.

– Tak, przez pryzmat frontmana, rockandrolowego życia i śmierci.

Pan jest raczej takim ministrem popkultury. Nie ma tego filtru.

– Mogę być ministrem, nawet mi to specjalnie nie przeszkadza. Natomiast ja niezwykle się cieszę z własnej konsekwencji.

To znaczy?

– Druga płyta, która teraz wychodzi, nie jest jakoś specjalnie uduchowiona, nie wiadomo jaka. To kontynuacja pierwszej. Wierzę, że nie będzie gorsza, dlatego że przykładalem się do niej miesiąc po miesiącu od wydania pierwszej płyty. Pisałem teksty, cały czas wiedziałem, że bycie kozakiem się nie opłaca. Nie chciałem obudzić się za pięć dwunasta bez piosenek i lecieć do publishingu, żeby mi dali numery, których kompletnie nie czuję. I jestem też zaszczyczony, że na płycie pojawia się Sebastian Riedel. Znamy się już od kilku lat i chciałem oddać tego ducha Śląska, w którym się wychowałem, ducha między innymi zespołu Dżem.

Ślązak to wyjątkowy Polak?

– Tak, bo kultura na Śląsku jest wyjątkowa.

A na czym ta różnica polega?

– Przede wszystkim Ślązak ci po prostu nigdy nie robi krzywdy, nigdy. Nie ma w ogóle takiej opcji, żeby Ślązak wbił ci nóż w plecy. Jednak przestępczość na Śląsku również istnieje, także między familokami ktoś komuś wbija nóż w plecy.

– To przenośnia. Chodzi mi o wewnętrzną życzliwość, Ślązacy są naturalni i lubią się napić piwa (*śmiech*).

Pan uważa, że jest młodym muzykiem?

– Młodziutkim. Bardzo się cieszę z tego, co się wydarzyło tak niedawno, między innymi za sprawą Sopotu. Ale teraz tak naprawdę trzeba udowodnić, że ta pierwsza płyta nie była przypadkiem. To, że ona się sprzedawała w dużym nakładzie, nie na razie nie znaczy. Bo gdyby nie powstała druga płyta, szybko nastąpiłaby cisza. W duszy wierzę, że ona jest bardzo dobra, bo nie powstała właśnie za pięć dwunasta.

Czyli ma pan duszę, że się tak wtrączę...

– Ta dusza kipi, wylewa się, przelewa i wszystko naraz!

Może pan myli duszę z emocją?

– Nieważne, jak to się nazywa, moje emocje i dusza są przepełnione ochotą, żeby robić kolejne dobre rzeczy!

I zarabiać pieniądze.

– To idzie w parze, ja już zarabiałem pieniądze w pierwszym zespole, w roku 2002. Więc zarabianie pieniędzy poprzez muzykę nie jest mi obce.

I po co panu te pieniądze?

– Na razie słabo mi idzie wydawanie, właściwie nie robię cudów z pieniędzmi (*śmiech*).

Czyli czego?

– Nie kupiłem sobie ferrari, domu na Florydzie... Jestem dosyć stateczny w wydawaniu pieniędzy i cały czas pamiętam, jak zarabiałem 1430 złotych brutto, żona podobnie, trzeba było utrzymać rodzinę, a był już na świecie nasz mały Pawelek.

To czym dla pana są pieniądze?

– Elementem życia, nie przykrywają normalnych relacji, kontaktów.

Ale zawierają element ryzyka, bo ludzie będą patrzyli na pana przez pryzmat pieniędzy.

– Ludzie w Polsce są mądrzy i doskonale potrafią odróżnić te rzeczy. Wiedzą, obserwując cię w telewizji, na koncertach, jakim jesteś człowiekiem. Bardzo mi się spodobała wypowiedź pewnej pani w średnim wieku, która powiedziała, że jest już siódmy raz na koncercie. Odpowiedziałem jej z uśmiechem na twarzy i żartem: Niech pani już na te koncerty nie chodzi, bo siedem razy to jest zdecydowanie za dużo (*śmiech*). I ona nagle spojrzała na mnie jak na normalnego kolesia i mówi: Ja nie przyjeżdżam tylko dla muzyki, przyjeżdżam, bo chcę was zobaczyć, bo jesteście po prostu normalni, bez żadnych uduchowień.

Więc dopóki zachowam trzeźwy umysł, będzie normalnie. A ja nie mam dni „nieobecnych”, codziennie jestem bardzo blisko Feel.

Codziennie chodzisz do kopalni.

– Nie dopuszczam do takich sytuacji, że przez tydzień nie myślę o Feel, bo na przykład jestem nawalony, a potem ósmego dnia wracam do mojego świata muzycznego i zaczynam popełniać błędy – chodząc po lokalach, bawiąc się, żyjąc imprezami. „Takie coś” ma bardzo krótkie nogi i niszczy przyszłość. Przy czarnej płycie kto wie... Ale to wszystko trzeba rozłożyć na lata. Teraz takie młode zespoły jak Feel nie mogą popełniać zbyt wielu błędów.

Bo?

– Bo stracą szansę. Przez Internet, media, przez tę całą agresję życia. W latach 70., kiedy powstawały takie zespoły jak Dżem czy Perfect, było zupełnie inaczej. Zespół wydawał płytę i jeśli przez trzy-cztery lata nie wydał kolejnej, publiczność o nim nie zapomniła – dostawał tak zwaną drugą szansę na bycie obecnym. Wtedy zespoły mogły sobie pozwolić na chwileczkę zapomnienia. Teraz to jest absolutnie niemożliwe.

Bo jak się zdarzy, to co?

– To cię po prostu nie ma, jesteś wykopany, ludzie zapominają, przychodzą na twoje miejsce inni.

Nieżyczliwy mógłby powiedzieć, iż także dlatego, że jesteście tylko popularną tandetą. Skąd pan bierze takie poczucie, że nią nie jesteście?

– A jeśli ktoś by powiedział „tandeta”, to na jakiej podstawie?

Muzyka banalna, słowa banalne.

– Zawsze wychodziłem z założenia, że nie chodzi o pojedyncze piosenki.

Tylko o?

– O całokształt, o całą płytę.

Pink Floyd wydawało takie płyty, które opowiadały o czymś, o jakimś zjawisku, i całe były kompozycją, wasza płyta taka nie była.

– Nasza płyta nie musi być taka jak Pink Floyd.

Płyta jest doceniana, bo wszyscy jej słuchają, znają te piosenki na pamięć, śpiewają z wami na koncertach. Ale jednak to nie wyklucza, że to tandeta.

– Ja innych piosenek tworzyć nie będę, nie będzie tak, że nagle zacznę pisać piosenki trudne, skomplikowane.

Bobem Dylanem pan nie będzie.

– Nie będę, mogę być Bryanem Adamsem. Trzeba się po prostu urodzić z taką nutą. Ja tak tworzę i nie chcę tego zmieniać. Z tymi kompozycjami dobrze się czuję, są autorskie i tym łatwiej jest mi je wykrzyżać.

Panu podoba się jego głos?

– Tak.

Co się panu w nim podoba?

– Że jest trochę inny.

Kiedy jest pan na scenie, zaczyna śpiewać, tłum też śpiewa, to ma pan wrażenie władzy nad nim?

– Na naszych koncertach jedyną różnicą pomiędzy ludźmi a mną jest tylko to, że ja stoję na scenie. Nie tworzę żadnych barier. Gdyby świat wykreaował koncerty, na których scena będzie na środku, otoczona bliską widownią, tobym się z tym czuł najlepiej. Jestem właśnie takim człowiekiem. I oni widzą, że jestem dla nich, że do nich się szczerze uśmiecham, poważnie ich traktuję.

Myśli pan o sobie, że jest kimś ciekawym, wyjątkowym?

– Myślę o sobie w kategoriach bardzo naturalnych. Nie mam żadnego problemu, żeby komunikować się z ludźmi, wejść do sklepu, pogadać przy kasie, pogadać z robotnikiem.

Mówię raczej o takim wewnętrznym poczuciu wyjątkowości.

Bo pan wydaje mi się całkowicie normalny, czuję w panu

Piotr Kupicha, 30, wokalista i gitarzysta formacji Feel. Założona w 2005 roku katowicka grupa zasygnęła dwa lata temu przebojem „Już jest ciemno” (*Bursztynowy Słownik* i *Słownik Publiczności* na festiwalu w Sopocie) oraz występem w reklamie banku. Jej debiutancki album „Feel” został najlepiej sprzedającą się polską płytą roku, co uczyniło zespół najlepiej zarabiającym w Polsce. Kupicha, absolwent Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych, karierę zaczynał w grupie Sami nagrodzonej w 2001 roku Superjedynką. Oskarżano go o plagiaty, finansowe spory z kolegami i o to, że sam nie wie, gdzie gra koncerty. Mąż Agaty Fox (córkę pisarki Marty Fox), w tym roku urodził im się drugi syn. 5 czerwca ukazała się druga płyta Feel zatytułowana – proszę zgadywać – „Feel 2”.

te ukończone studia inżynierskie, kilkuletnią pracę w firmie szkolącej biznesmenów i to razem powoduje, że pan z pewnym spokojnym wyrachowaniem rozwija tę swoją karierę. I na niektóre rzeczy sobie nie pozwala, bo mogą jej zagrozić.

– Tego się nauczyłem. Gdzieś w głowie siedzą też te trzy lata w firmie szkoleniowej, pewnych zachowań się wyuczyłem i koniec. I nie mogę sobie pozwolić na więcej, bo stworzyłbym barierę między sobą a ludźmi. Bardzo często popełnia się na przykład taki błąd: ktoś prowadzi szkolenie dla grupy ludzi. Jeśli ty osobiście podważysz myśl – twierdzenie uczestnika danej grupy, to zespół zawsze pójdzie za swoim kolegą z pracy. Ale jeśli prowadzący zapyta kolegę obok, równie mądralińskiego, czy jego kolega ma rację, to to pytanie będzie bodźcem do rozmowy wśród uczestników i wtedy uratujesz swoją skórę.

Może te szkolenia pana zepsuły i nie pozwalają stać się prawdziwym bohaterem show-biznesu?

– Może, ale nie chcę być takim klasycznym bohaterem z odpałami, który się nie kontroluje, wywala ludzi z zespołu, kłóci się ze wszystkimi, wchodzi na scenę narąbany...

Filmy fabularne powstają o takich bohaterach.

– Ale wcześniej jesteś bohaterem tabloidów przez cztery miesiące i siedemnaście dni, a potem to się kończy i zaczynasz być nikim.

Czego jeszcze się pan boi?

– Braku energii, zmęczenia. Zauważyłem po sobie, po chłopakach, że troszkę się chyba zmieniliśmy, pyski nam się trochę postarzały przez to, że nie dosypiamy, jeździmy skrzywieni w busie. Boję się, że w przyszłości zostanę przytkany zmęczeniem fizycznym i nie będę płodny muzycznie.

Nie boi się pan, że najnowsza płyta nie będzie sukcesem?

– Absolutnie nie. Jestem bardzo zadowolony z tego, co powstało, bardzo rzetelnie podszedłem do tej płyty.

Ale ludzie nie pytają w sklepie: Czy mają państwo jakąś rzetelnie zrobioną płytę?

– To prawda. Pierwszej się sprzedało 270 tysięcy, jeśli tej się sprzeda 15 tysięcy, to ja naprawdę nie będę jakoś strasznie rozgoryczony.

I da pan sobie i nam wtedy spokój?

– Nie, na pewno będę dalej konsekwentnie tworzył.

Jaki ma pan sposób na to, żeby pańska żona spała w łóżku z Piotrem, a nie z gwiazdorem?

– Jeszcze nigdy nie spała z gwiazdorem.

Zdarza się panu w łóżku mówić tekstami ze swoich piosenek?

– Nie.

A w życiu?

– Tak.

W tym wywiadzie parę razy odpowiadał mi pan tekstami swoich piosenek. Czemu?

– Na przykład: „Możesz iść szybciej, niż niejeden chciałby biec”. Albo: „To, co nas czeka, to długa rzeka”; „Jest mój dom, w którym piszę od lat, mój dom, w którym płaczę nieraz” – to prosty i jasny obraz, z którym się utożsamiam.

Pana czasem wzruszają własne piosenki?

– Muszą mnie wzruszać, chociażby dlatego że zostały wyrzucone z mojej głowy. Są mną, zlepkiem obserwacji, mojej wrażliwości. Artyści chałturnicy (*śmiech*), tacy jak ja, muszą być wrażliwi, muszą kolekcjonować mocne albo piękne wrażenia. I wtedy przelewają to na papier.

Pana piosenki obiecują szczęśliwy świat, nawet kiedy ma zawirowania, to final jest szczęśliwy. Dlatego przypominają przekazy reklamowe. Takie są, bo takie jest pana życie? Jest pan lucky manem?

– Takie jest moje życie, nigdy nie dopuszczałem w moim życiu do sytuacji trudnych.

Jak to pan robił, miliardom ludzi się to nie udaje?

– Po prostu trzeba zawsze wyjść naprzeciw trudnościom. Czasami nie chce się z domu wychodzić, ale jak nie wyjdiesz, to przegrałeś, a jak wyjdiesz, to wygrałeś. Nawet mimo tego, że się nie czujesz zbyt dobrze.



ROZMOWA WALDEMAR PIASECKI, LOS ANGELES

Z Bałut do gwiazd (NBA)

Jak dotarł na szczyt, co go fascynuje w broni palnej i Ameryce

– mówi **Marcin Gortat**, koszykarz Orlando Magic grający o mistrzostwo NBA

Czy możemy się umówić, że naszej rozmowy nie zdominuje koszykówka?

– To jest jakiś pomysł... Takie oderwanie od tematu, kiedy doszliśmy już do finału i trzeba walczyć do upadłego z Los Angeles Lakers, może mi tylko pomóc.

Do NBA trafiłeś w 2007 roku, ale tak naprawdę kariera zaczęła się rok później, kiedy Orlando Magic zaczęło cię wypuszczać na parkiet za swoją gwiazdę Dwighta Howarda. Podobno twój debiut w NBA oglądała z trybun mama. Przyleciała specjalnie?

– Mama przyleciała, żeby mnie... dokarmić. Nasi trenerzy przygotowania fizycznego zalecili mi zwiększenie masy ciała. Ponieważ jedzenie amerykańskie jest jednym z najgorszych na świecie, poprosiłem mamę, aby mi pomogła. Przygotowywała typowe polskie posiłki. Przez dwa miesiące przybrałem pięć kilo, ale ani grama tłuszczu. Podczas jej pobytu wypadł mój debiut w NBA 1 marca 2008 roku. Pojawiłem się na ławce meczu z New York Knicks. Na parkiet wyszedłem w końcówce. Pierwsze punkty zdobyłem po indywidualnej akcji, mijając ich obrońcę. Cała drużyna się cieszyła, ja z nimi, a mama na trybunach.

A dlaczego nie było ojca?

– To ciekawa historia... Ojciec, który nigdy się nikogo w życiu ani na ringu nie bał i tak samo mnie wyszkolił, boi się... samolotów. Po prostu nie lata i nie wiem, co by trzeba zrobić, aby się znalazł na pokładzie. Ale i tak jest moim bohaterem numer 1. Jego dużą podobiznę kazalem sobie wytatuować na klatkę piersiową.

W tym sezonie grasz już więcej.

Wyobraźnię rodaków ożywia fakt,

że jesteś pierwszym Polakiem,

który z drużyną wygrał mistrzostwo

konferencji i teraz gra o mistrzostwo NBA.

Kiedy Kubica nie wygrywa, Małysz nie

skacze, siostron Radwańskim nie idzie,

ty nagle wyrastasz na sportowca numer 1.

– Dla każdego koszykarza na świecie finał NBA to marzenie i sukces, jak się spełni. Tym bardziej dla polskiego. Rozumiem naszych kibiców, że się cieszą. Chciałbym jednak być znanym z czegoś więcej niż tylko z tego, że znalazłem się w teamie, który zagrał w finale. Mam świadomość swojej roli w Orlando Magic i tego, że gram w meczu 12,5 minuty, rzucam cztery punkty i mam pięć zbierek. Z takimi wynikami nie wchodzi się do historii. Chciałbym występować na boisku znacznie więcej, i to jest mój cel strategiczny.



Fruwa pod koszem, choć ma 211 cm wzrostu i waży 108,9 kg. Kariera 25-letniego Marcina Gortata nabiera rozpędu dzięki grze w zespole Orlando Magic

Po sezonie wygasa twój

kontrakt z Magicami i już

ustawia się kolejka zaintereso-

wanych tobą drużyn. Nie będziesz już

zarabiał 700 tysięcy dolarów za sezon, tylko

4–5 milionów. Gdzie chciałbyś grać?

– Zupełnie mnie to teraz nie obchodzi. Teraz liczy się tylko finał. Potem będę myślał, co dalej. Może zostanę w Orlando na dłużej, może nie. Będzie decydować szansa na grę, ale też miasto, do jakiego miałbym się przenieść, otoczenie, stan bezpieczeństwa itd.

Podoba ci się w Ameryce?

– Bardzo.

A najbardziej?

– Pogoda. W Orlando przez dziewięć miesięcy w roku jest ciepło i słonecznie. Po drugie, ludzie. Są zupełnie inni niż w Europie: pogodni, uśmiechnięci, myślący pozytywnie, potrafią

czepać przyjemność z małych, codziennych rzeczy. Jak zapytasz Amerykanina, co chce mieć, najczęściej powie „fun” – uciechę, weselość.

Amerykanin wraca z wakacji, kumple pytają, czy miał fun. Jak wraca Polak, czy miał... pogodę. Mentalnościowo to o wiele łatwiejszy do życia kraj niż Polska czy dowolny europejski.

Masz jakieś swoje miejsce na ziemi, do którego będziesz należał zawsze? Taką małą ojczyznę?

– Oczywiście. Bez cienia wątpliwości są to... Bałuty. Ta dzielnica Łodzi to moja ojczyzna. Tam się urodziłem i dorastałem. Znam każdy kamień, każde drzewo, dom, podwórko. Zgierska i Julianowska to najbliższe mi ulice na całym świecie. To się pewnie nigdy już nie zmieni. Szkoła też tam?

– Kawaleczek dalej. To była Szkoła Sportowa numer 55 imienia Adama Mickiewicza. Była rewelacyjna. Zawdzięczam jej moje przygotowanie motoryczne, sprawność i zwinność. Nigdy nie byłbym sportowcem, gdybym tam nie trafił. Muszę powiedzieć, jak wiele zawdzięczam trenerom Ostojkim i Dębowskiemu – oni nauczyli mnie najwięcej.

Ala sport wyniosłeś z domu.

– Jak wiadomo, mój ojciec Janusz Gortat był znanym polskim bokserem. Karierę zrobił w Legii Warszawa. Walczył w wadze półciężkiej i zdobywał w niej na dwóch kolejnych olimpiadach w Monachium i Montrealu brązowe medale, przegrywając tylko z późniejszymi mistrzami olimpijskimi. Potem został trenerem, między innymi Andrzeja Gołoty. Moja mama Alicja – o czym już mniej wiadomo – była znakomitą siatkarką. Grała w Starcie Łódź, a potem w Gdyni. Dwukrotnie zdobywała mistrzostwo Polski. Grała w reprezentacji Polski. Przy takich rodzicach mój starszy brat Filip i ja mieliśmy sportowy wychów jak w banku.

Miałeś być piłkarzem?

– Tak. Dzięki warunkom fizycznym marzyłem o karierze bramkarskiej, a moim ideałem był ówczesny bramkarz Manchesteru United, Duńczyk Peter Schmeichel. Trenowałem w ŁKS i szło mi całkiem nieźle.

Ale nie zostałeś... Zabrałeś się do koszykówki jako 18-latek. To raczej czas na sukcesy juniorskie, a nie debiutowanie.

– Moje zainteresowania zmieniły się wraz ze zmianą szkoły. Ciągle rosłem, wszyscy doradzali mi, abym spróbował koszykówki. Poszedłem na pierwszy trening i od razu wiedziałem, że to będzie moja przyszłość. Miałem dokładnie siedemnaście i pół roku. Musiałem szybko nadrobić braki umiejętności technicznych, ale byłem sprawny fizycznie, walczyłem o każdą piłkę, biegałem. Szybko przyszedł postęp. Zacząłem grać w drugiej lidze i trafiłem do reprezentacji Polski do lat 20 u boku wielu pierwszoligowców.

Pewnie skończyłbyś tak jak oni, gdyby nie serbski trener Veselin Matić, który zabrał cię z Polski do Niemiec.

– Miałem szczęście, że na niego trafiłem, a dzięki niemu do RheinEnergie Kolonia, gdzie grałem w latach 2003–2007, zdobywając mistrzostwo i trzykrotnie Puchar Niemiec. Tam zajmowali się mną już dwaj inni znani komiści fachowcy – Sasza Obradović i Zoran Kukić. To ci Serbowie zrobili ze mnie prawdziwego koszykarza, o czym mówię z wdzięcznością i dumą. Wprowadzili mnie na szczyty moich możliwości, przekazali wiedzę potrzebną do uprawiania basketu na poziomie zawodowym, dali pewność siebie i wpoili dużo „koszykarskiego IQ”. Zawsze we mnie wierzyli i stawiali na mnie. Bez nich nie byłoby mnie w NBA. Do dziś utrzymuję z nimi stały kontakt.

Czy przyjedziesz na wrześniowe mistrzostwa Europy, aby grać w reprezentacji kraju? To cię jeszcze interesuje?

Specjalnie dla nas Marcin Gortat obrysował swoje dłonie – sprawdź, czy nadajesz się na koszykarza

– Gra w barwach białoczerwonych to kwestia wyboru i honoru. Będę na mistrzostwach i zrobię wszystko, aby Polska wypadła jak najlepiej. Nie będę zresztą jedynym Magikiem, jakiego polecą z Orlando na tę imprezę. Mój serdeczny kumpel z drużyny Hedo Turkoglu to filar reprezentacji Turcji, z którą losowanie złączyło nas już w grupie eliminacyjnej. Już sobie żartujemy z naszego bezpośredniego pojedynku.

Kto jest twoim koszykarskim idolem? Podobno gwiazdor drużyny Dwight Howard?

– Na pewno nie Howard. Nie wiem, dlaczego tak piszą w gazetach. Chciałbym być takim zawodnikiem jak Sasza Obradović, który w czasach kariery zawodniczej był jednym z najlepszych, o ile nie najlepszym w Europie. Wspierała osobowość i charakter. Ogromny pozytywny wpływ na innych zawodników. Natomiast Howard bardzo mi pomógł w aklimatyzacji w drużynie, opiekował się mną. Mamu bardzo dobry kontakt. Jest świetnym graczem, gwiazdą drużyny, ale nie moim guru.

Zaraził cię miłością do broni palnej?

– Howard jest wielbicielem broni. Kiedyś zabrał mnie na strzelnicę. Było to dla mnie duże przeżycie. Od tego się zaczęło. Dziś mam własny karabin maszynowy, shotguna i pięć pistoletów. Najbardziej lubię produkcję szwajcarsko-niemieckiego Sig-Sauera.

Czyli... lubisz sobie postrzelać.

– Uwielbiam to! Przede wszystkim strzelanie pozwala rozładować napięcie, daje poczucie mocy, pozytywnie motywuje. Ponadto tak że wyjaśnia, czym jest broń. Obraz dostarczany w filmach jest kompletnie nieprawdziwy. Posługiwanie się bronią wcale nie jest łatwe. Dopóki ktoś się o tym nie przekona, wierzy, że dzwiewczyzna o wzroście 150 centymetrów może biegać z magnum kaliber 44 i strzelać do bandytów jak do kaczek.

Musiałeś kiedyś użyć broni?

– Nie. Byłem już jednak w sytuacjach, kiedy byłoby to zupełnie uzasadnione. Niebezpieczeństwo było realne, ale jakoś się wszystko pozytywnie rozwiązywało.

Inną męską pasją, której się oddajesz, jest szybka jazda:

Czym? Ile?

– Mam sportowe BMW M-5. Jechałem nim już... 330 kilometrów na godzinę. Licznik się „zamknął”. Czułem jednak, że pojechałoby jeszcze trochę szybciej... Teraz maszyna jest tuningowana i będzie można osiągać na niej jeszcze lepsze wyniki. Będzie unikalna.

Gdzie w Ameryce można rozwinąć taką szybkość?

– Na zamkniętym odcinku autostrady. Można też próbować na normalnej auto-

stradzie, ale pewnie daleko by się nie zajęchało, bo tutejsza policja nie zna się za bardzo na takich żartach...

Jest coś w Ameryce, co ci się nie podoba?

– Na pewno ta pogoń za pieniądzem. Nawet jak mają kupę kasy, nawet jak wiedzą, że nie mają szansy, aby ją wydać do końca życia, to dalej za nią gonią. Zupełnie nie mój klimat.

NBA ma swoją subkulturę. Wielu zawodników stylizuje się na gangsterów. Nosi takie jak oni łańcuchy, pierścienie, zegarki. Gada tym samym slangiem. Podobnie się tatuuje. Podobnie ubiera, słucha tych samych raperów, nosi broń, odwiedza te same kluby nocne. O co tu chodzi?

– Szczerze powiem, to dziwna sytuacja... Faktycznie, są zawodnicy, którzy się ubierają i zachowują w ten sposób. Osobiście uważam, że jest to głupie, bo robią z siebie na pokaz ludzi, którymi nie są i pewnie nigdy nie będą. Oczywiście NBA walczy z takimi zachowaniami i za ubieranie się niezgodnie z kodem są relatywnie wysokie kary. Ale tylko „relatywnie”. Jak ktoś ma na rok 40 milionów, a za niestosowne ubranie zapłaci 40 tysięcy dolarów kary, to nie ma to dla niego żadnego znaczenia.

Kto się urodził 17 lutego?

– Znam dwóch. W 1963 roku na Brooklynie w Nowym Jorku – Michael Jordan. W 1984 roku na Bałutach w Łodzi – Marcin Gortat.

A co robił Jordan w 1984 roku?

– Trafił do draftu NBA, zaczął grać w lidze i tak się zaczęła jego wielka kariera.

Kiedy się dowiedziałeś, co cię łączy z Jordanem?

– Jak przyleciałem w 2005 roku na swój draft NBA do Stanów...

Myślisz, że coś z tych podobieństw może wynikać?

– Nie wierzę w takie „czary”.

Ale gdyby wyniknęło, to byłoby miło?

– Pewnie...

No to niech wyniknie! Najlepiej niech się już zacznie od mistrzostwa NBA. □

Imy mającie za nas kciuki i dopingujcie naszą drużynę
Marcin Gortat #13
Go Magic.

TECZKI



Adwokat kardynała

Oddał Kraków Kościołowi

GRZEGORZ STAWOWY, krakowski radny PO, oświadczył publicznie, że Kraków jest najbardziej kościelnym i kardynalskim z miast. W ten sposób jeden z najmłodszych rajców miejskich wyraził poparcie dla kardynała Stanisława Dziwisza, który wcześniej wyraził swoje

ubolewanie wobec antykościelnych z ducha działań prezydenta miasta Jacka Majchrowskiego. Czym Majchrowski naraził się kardynałowi, a tym samym radnemu? Postanowił zaskarżyć do Trybunału Konstytucyjnego ustawy, które regulują zwrot majątku kościelnego. Przypomnijmy, dzięki hojności jednoinstancyjnej komisji majątkowej, od decyzji której nie można się odwołać, Kraków stracił już wiele hektarów cennego gruntu przekazanego bez wiedzy jego władz miejscowym zakonowi.

— ana

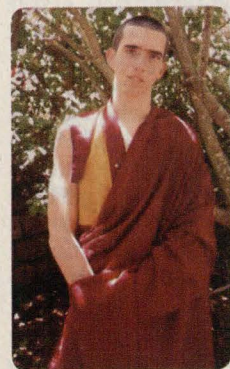
Chłopiec, który nie chciał być lamą

Kino i dziewczyny ciekawsze niż medytacja

MIAŁ ZALEDWIE 14 MIESIĘCY, KIEDY SAM Dalajlama namaścił go na wcielenie przywódcy Tybetu. Dzieciństwo spędził wśród mnichów buddyjskich w Indiach, gdzie ubrany w piękne szaty traktowany był jak bóstwo. Dziś Osel Hita Torres znany jako Lama Tenzin Osel Rimpoché odrzuca religię buddyjską, uznając się za agnostyka. Pięć lat temu porzucił klasztor, by poznać prawdziwe życie, w którym zasmakował tak bardzo, że ani myśli wracać. Pochodzący

z Granady Osel Hita ma teraz dziewczynę i studiuje w Madrycie. W wywiadzie udzielonym ostatnio gazecie „El Mundo” po raz pierwszy opowiedział o porzuceniu wiary, smutnym dzieciństwie i planach na przyszłość, które wiąże z kinematografią. I choć Lama wybrał „świeckie życie”, Fundacja na rzecz Zachowania Tradycji Mahayana nadal uznaje go za swojego guru.

— syl



PLANETARIUM

Wielcy mali rockmani

Frontman musi przykuwać uwagę, skupiać na sobie wzrok tłumów. I wcale nie jest do tego potrzebny wysoki wzrost

KAŻDY Z (NOMEN OMEN) PONIŻSZYCH rockmanów z łatwością ukryłby się w tłumie. Wzrost Angus Younga, legendy AC/DC, pozwoliłby go nawet zaliczać do co wyższych Pigmejów. Kluczem do sukcesu okazuje się sceniczna charyzma — każdy z prezentowanych tu muzyków na scenie nie potrafi ustać w miejscu. To kompletne przeciwieństwo takiego Petera Steele'a z Type O Negative (202 centymetry). Jemu wystarczy, że na scenie po prostu stoi...

— cich

Bono (U2) — 169 cm

„Nigdy nie przysłoby mi do głowy, by nosić buty na koturnach”. Dziękujemy ci, Bono

Lou Reed — 170 cm

Na scenie zawsze stoi w pewnej odległości od reszty muzyków. To oczywiście kwestia charyzmy

Iggy Pop — 171 cm

Jego niewielki wzrost widać dopiero przy synu — ochroniarzu — który ma aż 193 cm wzrostu



Angus Young (AC/DC) — 155 cm

„Oglądając relacje z koncertów AC/DC, umieram ze śmiechu” — kaczy chód gitarzysty przykuwa uwagę

Prince — 155 cm

Powszechnie nazywany Małym Księciem muzyki

TYŁEM W EMINEMA

KAWĘ JEŚLI ŁADOWANIE posłańców Bruna (wcielenie komika Sachy Barona Cohena) przed twardą rapera Eminema było ukartowane, to i tak uznajemy je za najciekawsze wydarzenie rozdania nagród MTV Music Awards.

— mh

Głowy różnych pań

KOBIETY INDII

WYBIERAJĄC CIEBIE, SKŁADAMY HOŁD WSZYSTKIM KOBIETOM w naszym kraju — powiedział premier Indii po wyborze 64-letniej Meiry Kumar na stanowisko przewodniczącej parlamentu.

Po raz pierwszy w historii kraju kobieta staje na czele tej zdominowanej przez mężczyzn instytucji (484 z 543 posłów to faceci). Wybór Kumar łamie też barierę kastową, bo pani polityk reprezentuje grupę dalitów (niedotykalnych), najniższy szczebel w drabinie społecznej Indii. Jej nominacja oznacza, że po majowych wyborach w największej demokracji świata (elektorat liczy aż 714 milionów osób) stery w państwie objęły kobiety. Prezydentem jest bowiem Pratibha Devisingh Patil, pierwsza kobieta prezydent w tym kraju. Funkcję pełni od 2007 roku, ale teraz jej pozycja jest niezagrożona dzięki sukcesowi jej partii — Indyjskiego Kongresu Narodowego. Do zwycięstwa poprowadziła go szefowa ugrupowania Sonia Gandhi (wdowa po zmarłym premierze Rajiwie Gandhim, którego matką była z kolei pierwsza premier kraju — Indira). Sonia w tych wyborach potwierdziła pozycję szarej eminencji kraju. Premier Manmohan Singh wprawdzie jest facetem, ale jako członek Kongresu też często musi słuchać szefowej.

— joa



Sonia Gandhi

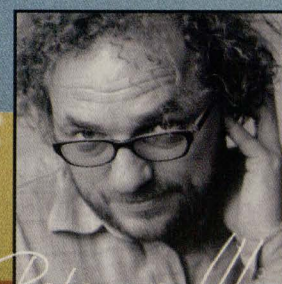


Pratibha Devisingh Patil



Meira Kumar

kultowa kolekcja filmowa LATAJĄCY CYRK MONTY PYTHONA



Polecam!!!
Piotr Najstul

SEZON 4 • SEZON 4 • SEZON 4



Zaczynamy

Sezon 4

plyty od 20 do 22

Kolejne płyty co 2 tygodnie tylko z tygodnikiem

plyta 22

kolekcji już w sprzedaży

PRZE
KROJ

www.kolekcjafilmmowa.pl/monty

www.przekroi.pl

→
W tym tygodniu:
DOWIADUJEMY SIĘ, CZYM RÓŻNI SIĘ
KONTROLA ZBLIŻANIA OD KONTROLI
OBSZARU, A POTEM ŚLEDZIMY Z UWAGĄ
WILKA, KTÓREGO CIĄGNIE

LOTNICTWO PIOTR STANISŁAWSKI

Kto pilotuje pilota?

To zawód obrosły legendami, głównie pochodzącymi z filmów klasy B. Co tak naprawdę robią ci ludzie siedzący w wysokiej wieży gdzieś pośrodku lotniska?

Dla laika ruch powietrzny wygląda niczym skrzyżowanie w centrum Delhi w godzinach szczytu. Każdy pędzi w swoją stronę, mali i duzi mijają się pozornie bez ładu i składu. Po chwili można wyróżnić ważniejsze kierunki i trasy, ale i na tych co chwila dzieje się coś dziwnego. Trudno uwierzyć, że ktośkolwiek może się w tym połapać, a zapanowanie nad takim chaosem wydaje się zupełnie niemożliwe. W Polsce jest to w stanie zrobić około 400 osób, licencjonowanych kontrolerów ruchu lotniczego. Pilotów znają wszyscy – widać ich na lotnisku, przemawiają do pasażerów w trakcie lotu, a 92 procent Europejczyków wskazuje ten zawód jako jeden z budzących największe

zaufanie. Tymczasem piloci to tylko połowa pary, która sprawia, że samolot może wystartować, przelecieć całą trasę, trafiając do celu, i bezpiecznie wylądować. Bez systemu kontroli lotu ruch lotniczy wyglądałby jak skrzyżowanie w centrum Delhi, na którym nagle zapanała kompletna i nieprzenikniona ciemność.

Paradoksalnie niemal wszystko, co wiemy o tej służbie, to nieprawda. No bo co kojarzy ci się z hasłem „kontrolerzy lotu”? Oto wieża kontrolna na lotnisku. W niej siedzi sztab ludzi, wpatrujących się w okrągłe ekrany, po których w kółko lata linia radaru wydobywająca z ciemności szybko gasnące punkciki oznaczające położenie samolotów. Wszyscy kontrolerzy pracują w ogromnym stresie.

No dobrze. To nieprawda. A dokładniej kilka nieprawd. Zajmijmy się nimi kolejno.

Najpierw ta wieża. Faktycznie, to jedno ze stanowisk kontroli ruchu lotniczego. Jednak dla ludzi tam pracujących, czyli kontroli lotniska, radar nie ma kluczowego znaczenia. Najważniejsze są okna. Te szklane, otaczające szczyt wieży. Stamtąd widać to, za co odpowiada kontrola naziemna – ruch na płycie lotniska. Ponieważ lotnisko to kawał gruntu – stosunkowo niewielkie warszawskie Okęcie ma ponad 500 hektarów – najcenniejszą pomocą kontroli naziemnej są lornetki. Naturalnie przy złej pogodzie i ograniczonej widoczności do dys-

pozycji jest bardziej zaawansowany sprzęt z radarem lotniskowym na czele. Łatwo go zauważyć – często to niewielki, choć szybko kręcący się obiekt na szczycie wieży. Pełny obrót dokonuje się w ciągu sekundy, dzięki temu kontrola naziemna ma stale aktualizowany obraz sytuacji na lotnisku. Lornetki przydają się też w sytuacjach awaryjnych – jeśli pilot ma wątpliwości, czy podwozie prawidłowo się wysunęło, wykonuje tak zwany *low pass*, czyli niski przelot nad pasem, a kontrolerzy obserwują samolot i oceniają, czy ich zdaniem wszystko jest w porządku.

Pas z kolejką

Ty jako pasażer znajdujesz się pod opieką tej grupy ludzi od chwili, gdy wejdiesz na pokład, do momentu, gdy samolot znajdzie się na progu pasa startowego. Wówczas przejmują cię kolejny zespół, który odpowiada za wydanie zgody na zajęcie pasa startowego i start. Choć brzmi to niegroźnie, trzeba pamiętać, że ten sam kawałek wybetonowanej ziemi służy zarówno samolotom startującym, jak i lądującym. W godzinach lotniczego szczytu kolejne samoloty często siedzą na pasie w odstępach mniejszych niż dwie minuty. Trzeba więc nie tylko dopilnować, by poprzedni zdażył bezpiecznie zatrzymać się i zjechać z pasa, ale w tę nieustającą kolejkę wcisnąć wszystkich, którzy czekają na start.

Musisz mieć maturę, dobrze znać angielski i być zdrowym. Potem czeka cię **wieloletowy, trudny egzamin** i co najmniej trzy lata szkolenia. Wreszcie dobrze płatna praca i mnóstwo odpowiedzialności



Wieża kontrolna lotniska w Monachium. Przed kontrolerem ekrany pokazujące m.in. stan świateł na pasie i radar lotniskowy



Jedno z największych w Europie centrów kontroli obszaru znajduje się w Wielkiej Brytanii



Mimo nowoczesnego sprzętu informacje są ze względów bezpieczeństwa dublowane. Na paskach papieru kontroler zapisuje informacje przekazane pilotom, na przykład czas wydania zezwolenia na start



→ W chwili gdy samolot poderwie się z ziemi, przekazywany jest kolejnej grupie – kontroli zbliżania. To ludzie, którzy panują nad obszarem największego zamieszania, czyli okolicą lotniska. Tu analogia ze skrzyżowaniem w Delhi zaczyna zawodzić, bo tam nawet największy tłok porusza się w dwóch wymiarach i ograniczony jest drogą. W powietrzu wymiary są trzy, a fizycznych granic brak.

Oczywiście obowiązują tu ściśle międzynarodowe przepisy, ale przecież nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem. Zdarza się na przykład, że przez obszar największego ruchu w poprzek drogi podejścia do pasa startowego musi przelecieć helikopter pogotowia lotniczego. Wymaga to kompletnej reorganizacji całego ruchu – samoloty, które już zaczynają zbliżać się do pasa, muszą mocno zwolnić lub całkowicie zmienić kierunek lotu, startujące nie mogą od razu skierować się ku celowi, lecz muszą okrążyć zamkniętą chwilowo przestrzeń. Od kontroli zbliżania wymaga to objęcia uwagą jednocześnie całej pobliskiej przestrzeni powietrznej – dotąd precyzyjnie działający mechanizm nagle musi się zatrzymać i płynnie ruszyć w innym kierunku. Oczywiście po chwili, gdy sytuacja awaryjna minie, wszystko trzeba przywrócić do normy.

Gdy samolot opuści okolice lotniska, przejmują go następna grupa – kontrola obszaru. To ludzie odpowiedzialni za całość nieba nad Polską. Dziennie przelatuje tędy 1500 samolotów pasażerskich. Część z nich rozpoczyna lub kończy lot na jednym z 11 międzynarodowych lotnisk, wiele tylko przelatuje w drodze na Bliski Wschód czy do Azji. Gdy taki samolot zbliża się do granic Polski, kontrola lotu kraju, nad którym przelatował, przekazuje go pod opiekę polskiej kontroli obszaru, która nadzoruje go aż do momentu opuszczenia naszej przestrzeni powietrznej. Rolą

Na nocnych zmianach dzieje się niewiele i tym trudniej jest zachować skupienie



tych ludzi jest również obserwowanie pogody i proponowanie pilotom sposobów ominięcia niebezpiecznych burz. Proponowanie, bo ostateczną decyzję i tak podejmuje kapitan samolotu. Do tego dochodzą obszary zamknięte z powodu ćwiczeń wojskowych i konieczność błyskawicznego reagowania w sytuacjach awaryjnych. Wszystko to, wraz z odpowiedzialnością za ogromną przestrzeń powietrzną sprawia, że praca kontrolera obszaru wymaga największego skupienia i wszechstronności.

Uff, uporaliśmy się z mitem kontrolerów lotu siedzących w wieży. Dla porządku tylko trzeba wspomnieć, że każde lotnisko ma własną kontrolę naziemną, a stanowisko kontroli obszaru jest jedno dla całej Polski i znajduje się na terenie lotniska Okęcie, po przeciwnej stronie pasa niż terminale pasażerskie.

Radar gada z radarem

Idźmy więc dalej. Jak to było? „Sztab ludzi wpatrujących się w okrągłe ekrany, po których w kółko lata linia radaru wydobywająca z ciemności szybko gasnące

punkciaki oznaczające położenie samolotów”. Czas więc na przyjrzenie się owym radarom. Jest ich kilka. O tych, które stanowią pomoc dla pracujących w wieży kontrolnej, już wspominaliśmy. Kolejny, kręcący się nieco wolniej, wykorzystuje kontrola zbliżania. Wreszcie kontrola obszaru – ponieważ panuje nad całą Polską – wykorzystuje sieć stacji radarowych obejmujących każdy punkt, w którym może pojawić się samolot, dodatkowo otrzymując dane z części sieci radarowych naszych sąsiadów.

Jednak radar radarowi nierówny. Te okrągłe ekrany, które można jeszcze zobaczyć na filmach, to już zamierzchła historia. Rozpoczęła się ona w epokę tak zwanych radarów pierwotnych. Antena umieszczona na ziemi wysyłała silny sygnał radiowy, który odbijał się od samolotu, a na podstawie czasu jego powrotu oceniano odległość od obiektu. Dziś w lotnictwie dawno zapomniano o tej metodzie – była niedokładna, podatna na zakłócenia i nie dawała żadnych informacji o obserwowanej maszynie.

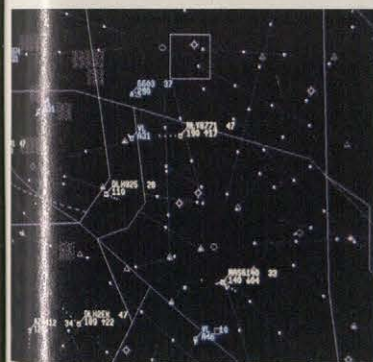
Dziś stosuje się radary wtórne wykorzystujące transmisję cyfrową. Działają one na zasadzie pytanie–odpowiedź. Naziemny radar wysyła sygnał–zapytanie, który trafia do samolotu. Wykrywany jest przez transponder – urządzenie będące automatyczną radiostacją. Odsyła ono natychmiast własny sygnał, który trafia do naziemnego odbiornika. Dzięki temu jest on silniejszy niż odbite echo, a poza tym zawiera mnóstwo zakodowanych informacji. Przede wszystkim unikalny numer lotu, który pozwala naziemnej kontroli na jednoznaczne zidentyfikowanie samolotu na radarze. Dołączone są też informacje o wysokości i szybkości lotu, a w razie potrzeby inne parametry.

Nie ma więc już okrągłych ekranów z gasnącymi kropkami. Zastąpiły je duże monitory, na których wyświetlana jest orientacyjna mapa z widocznymi symbolami poszczególnych samolotów. Kontro-

LOT: ETHAN MILLER/REUTERS/FORUM, MICHAELA REHLE/REUTERS/FORUM, REUTERS/FORUM, DPA/FORUM, ALEX GRIMM/REUTERS/FORUM, WOLFGANG VOLZ/LAIF/EPIC PICTURES

ler obsługuje system, posługując się myszką i klawiaturą – na przykład przekazanie samolotu z niemieckiej do polskiej kontroli obszaru polega po prostu na kliknięciu migającego symbolu umieszczonego nad zachodnią granicą Polski.

Z dawnych czasów pozostał natomiast system kontaktu między pilotem a kontrolerem. Nadal opiera się on na klasycznej transmisji radiowej na falach ultrakrótkich (nad lądem) lub krótkich (nad oceanem). Nie są to jednak swobodne pogaduszki, ale ściśle określony język zwany frazeologią lotniczą. Całość (no, prawie, ale o tym za chwilę) komunikacji odbywa się po angielsku, a komendy wydawane przez kontrolera i meldunki pilotów składają się ze słów dobranych tak, by nie sposób było ich ze sobą pomylić. Dodatkowo pilot ma obowiązek powtórzyć po-



Widok na radarze wtórnym. Widać „echa” samolotów i chmury (kropki po lewej)

lecie kontrolera, by upewnić go, że zrozumiał transmisję. Wszystkie odległości podawane są w milach, wysokość – w stopach, a prędkość – w węzłach. Obowiązuje też zasada omijania jakiegokolwiek akcentów. Nawet jeśli obejrzałeś wszystkie filmy z Clintem Eastwoodem, jako Polak masz obowiązek mówić z czystym słowiańskim akcentem. Chodzi o to, by przypadkiem językowe popisy nie sprawiły, że wypowiedź będzie niezrozumiała.

Mimo całego tego sformalizowania zasad komunikacji piloci i kontrolerzy dorzucają coś od siebie. W Polsce co chwilę można usłyszeć: „3475 dziękujemy, do usłyszenia” albo: „Kłaniamy się foxtro zero two zero oscar”.

Jeśli miałbyś ochotę posłuchać, jak przebiega ta komunikacja, w ramce znajdziesz kilka sposobów na podsłuchiwanie kontroli i pilotów.

Tu liczy się spokój

Na koniec jeszcze ten stres. Faktycznie, praca kontrolera jest silnym obciążeniem. Nie jest to jednak praca w stresie, tylko w najwyższym skupieniu. Badania pokazują, że człowiek jest w stanie zachować taki stan przez najwyżej dwie godziny. Dlatego obowiązuje zasada, że po każdych 120 minutach konieczne jest co najmniej 60 minut wypoczynku, a po nocnych dyżurach kontroler ma nie mniej niż 24 godziny wolnego.

Stosuje się też dodatkowe reguły – choćby ta, że kontroler nie odpowiada za przejęzyczenia, które popełnił, ale naprawił. Chroni go to przed stresem w rodzaju: „Rany, co ja przed chwilą powiedziałem? Może nikt nie usłyszał?”.

Dobry kontroler jest więc człowiekiem, który łączy wrodzone predyspozycje do doskonałej koncentracji i zachowania spokoju w sytuacjach awaryjnych z wyszkoleniem i doświadczeniem. Te pierwsze cechy ocenia się podczas wstępnych testów – jedno z zadań to znalezienie wszystkich 20 różnic między obrazkami w ciągu zaledwie dwóch minut. Odporność na stres sprawdza rozmowa, w czasie której kandydat staje przed problemami, których i tak nie zdoła rozwiązać. Komisja przygląda się wtedy temu, jak reaguje na tak stresującą sytuację. Szczęściarzy czekają co najmniej trzy lata nauki zakończone otrzymaniem licencji kontrolera ruchu lotniczego. A potem już tylko ciężka, choć dobrze płatna praca, której pasażerowie i tak nie docenią.



Airbus A330-200 o znaku rejestracyjnym F-GZCP. To właśnie ten samolot zagiął nad Atlantykiem 1 czerwca

LOT 447

KATASTROFA LOTU AF447, który 1 czerwca zagiął nad Oceanem Atlantyckim, to jedna wielka niewiadoma. O ile w przypadku większości tego typu zdarzeń dość szybko pojawiają się informacje o prawdopodobnych przyczynach, to tu być może nigdy nie dowiemy się, co naprawdę się wydarzyło. Problemy są dwa. Po pierwsze, czarne skrzynki prawdopodobnie znajdują się na głębokości 3,5–4 kilometrów. Tymczasem sygnał lokalizacyjny, który nadawać będą przez 30 dni od chwili katastrofy, może zostać usłyszany przez sonary z odległości około 1,5 kilometra. Prawdopodobnie więc zlokalizowanie skrzynki z powierzchni morza będzie niemożliwe. Po drugie, katastrofa nastąpiła w obszarze nieobjętym zasięgiem

radarów. Każdy samolot przelatujący przez Atlantyk czy Pacyfik przez pewien czas znajduje się w strefie, w której zasady lotu niemal nie zmieniły się od lat 30. XX wieku. Ponieważ nie jest wówczas widoczny na radarach, kontrola naziemna opiera informacje o położeniu samolotu na meldunkach otrzymanych od załogi. Ta ma obowiązek wysyłać je co około pół godziny. W tym czasie samolot pokonuje odległość rzędu 400–500 kilometrów. Jeśli przy tym zboczył z wyznaczonego kursu, dokładne określenie miejsca katastrofy jest niemal niemożliwe. Obszar, w jakim muszą być prowadzone poszukiwania czarnych skrzynek, jest więc ogromny, a na całą operację czasu coraz mniej.

KONTROLA DOMOWA

NAJPIERW NAJWAŻNIEJSZE – słuchanie rozmów między kontrolerami a samolotami jest legalne. Cywilom nie wolno tylko nadawać na tych częstotliwościach. Jeśli chciałbyś posłuchać, jak brzmi komunikacja wokół lotniska, odwiedź stro-

nę www.liveatc.net. Znajdziesz tam odnośniki do strumieni audio zawierających transmisję z naskuchu częstotliwości kontroli lotniczej przekazywanych z kilkusekundowym opóźnieniem. Do wyboru masz lotniska niemal

z całego świata. Gdy okaże się, że ta zabawa ci się spodoba, można pomyśleć o zakupie tak zwanego skanera – odbiornika przystosowanego do działania na częstotliwościach zarezerwowanych między innymi dla komunikacji lotniczej (przenośna wersja na zdjęciu powyżej).

Sprzęt taki znajdziesz choćby na Allegro, a jego cena zależy od możliwości i waha się od 200 do ponad 2000 złotych. Na koniec jeszcze uwaga – nie zniechęcaj się zbyt szybko. Jeśli nawet na początku nie z tego nie rozumiesz, to po pewnym czasie polecenia kontrolerów staną się jasne.



TYLKO TERAZ - SUPER PREZENT - prawdziwa karta internetowa BZ WBK z Przekrojem

Więcej informacji znajdziesz w tygodniku Przekrój - w sprzedaży od 18 czerwca

Ekspert w zakresie płatności internetowych

zwbk.pl

BZ WBK

Bank Zachodni WBK



KORZYSTAJ

LATANIE
CZOŁGANIE
PLYWANIE
JEŹDZENIE
PICIE

W tym tygodniu:
PRZYGŁĄDAMY SIĘ POKŁADOWYM
INSTRUKCJOM BEZPIECZEŃSTWA,
ZAGŁĄDAMY DO TOREBEK
CHOROBYCH I ZWIEDZAMY
MAŁOPOLSKĘ

Mysł przed wypadkiem

Znacie te karty z zasadami bezpieczeństwa?
Lepiej je przejrzyjcie, zanim samolot wystartuje



Kamizelka

Choć wodowanie nie należy do częstych sposobów zakończenia lotu, niedawne posadzenie airbusa A320 na rzece Hudson pokazuje, że trzeba brać je pod uwagę. A więc: kamizelka niemal zawsze znajduje się pod siedzeniem. Sprawdź, jak ją założyć – często nie jest to wcale takie oczywiste. Nigdy nie próbuj pompować jej w samolocie – to w niczym nie pomoże, a możesz tylko zablokować się w wąskim przejściu. Weź kamizelkę, nawet jeśli jesteś doskonałym pływakiem.



Tratwa

W przypadku wodowania samolot przez dłuższy czas powinien utrzymać się na wodzie. Jest więc szansa dostać się do jednej z tratw, które tworzą odczepiane trapy ratunkowe. Zostają one napompowane, jeśli nastąpi awaryjne otwarcie drzwi. Jednak w niektórych samolotach nie wszystkie wyjścia wyposażone są w trapy. Sprawdź przed startem, gdzie jest tratwa i w razie wodowania staraj się do niej dostać, ale przede wszystkim szybko opuść samolot.

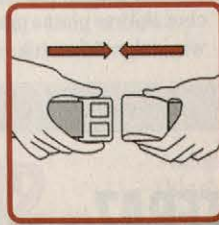


Maska tlenowa

Maski wypadają, jeśli nastąpi nagły spadek ciśnienia. Zwykle tlenu wystarczy na kilkanaście minut – dość, by samolot zszedł na wysokość, na której można oddychać. Bardzo ważne jest, by najpierw założyć maskę sobie, a potem dziecku, z którym lecimy. Utrata przytomności może nastąpić po kilku sekundach, jednak w masce szybko się ją odzyska. Dziecko może nie umieć założyć nam maski, a w razie dalszych kłopotów nasza pomoc będzie mu jeszcze niezbędna.

Pasy

Naprawdę lepiej mieć je zapięte w czasie lotu. Uchroni nas to przed rozbiciem głowy o sufit w razie nagłej utraty wysokości. Jeśli zapowiada się, że będziemy mieli kłopoty, pas trzeba zapiąć możliwie ciasno. Każdy centymetr luzu to dodatkowe przeciążenie przy nagłym hamowaniu. Dobrze też przećwiczyć odpinanie pasa, bo choć brzmi to głupio, ludzie, którzy przeżyli katastrofę często odruchowo próbują odpiąć pasy z boku, tak jak w samochodzie.



Bezpieczna pozycja

Kłopot w tym, że w klasie ekonomicznej nie sposób zająć prawdziwie bezpiecznej pozycji. Rób więc, co możesz. Kluczowe są trzy punkty – zapobieżenie nagłemu złożeniu się tułowia w przypadku zderzenia, ochrona głowy przed uderzeniem w siedzenie przed nami i uchronienie nóg przed złamaniami, byśmy mogli szybko opuścić samolot. Dobrą ochroną dla nóg jest bagaż ułożony pod siedzeniem przed nami.



Buty i bagaż

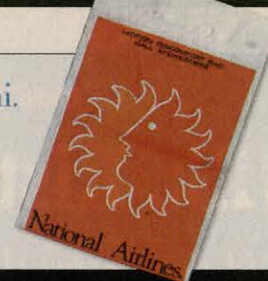
Elegancja jest ważna, ale do samolotu lepiej nie wkładać butów na obcasie. Nie tylko utrudniają poruszanie się w sytuacji awaryjnej, ale trzeba je zostawić, jeśli uciekasz po trapie awaryjnym. W razie wypadku nie próbuj nawet zabierać swojego bagażu, jak robi to wielu przerażonych ludzi – nie ma w nim niczego równie ważnego jak twoje życie, a każda sekunda zwłoki może być kluczowa.



Taką instrukcję znajdziesz zawsze w kieszeni fotela. Przeczytaj ją – to ważne



Oficjalnie nazywamy je torbami chorobowymi. Na stronie www.yahodeville.com/torebki znajdziecie 2143 torebki z 768 linii lotniczych z całego świata. Nieużywane



Wsi spokojna, czyli Muzeum Wsi Kieleckiej w Tokarni

TURYSTYKA

Weekendowy przewodnik samochodowy po Małopolsce (i nie tylko)

Za tydzień wraz ze Škodą i Pascalem proponujemy weekendową przejażdżkę po Małopolsce i okolicach. Mamy tu małe, choć cudowne Tatry, wciąż dzikie Bieszczady, niesamowite Góry Świętokrzyskie i oczywiście jedno z najpiękniejszych miast Europy – Kraków. Trudno to ogarnąć, więc proponujemy kilka weekendowych wypadów. Choćby w Bieszczady, gdzie 160-kilometrowa trasa zaprowadzi tam, gdzie stacjonował Szejk, pokaże niezwykle ślady historii Żydów czy pozwoli zmęczyc się wędrówką po poloninach.

Trasa prowadząca przez Góry Świętokrzyskie to ponad 250 kilometrów jazdy, w trakcie której można zobaczyć skamieniałą rafę koralową, obejrzeć ślady odcisków łapami dinozaurów i trafić do Raju.

Polecam też nieco niedoceniane Podkarpacie z Łańcutem, Leżajskiem czy Przemyślem. Tu szczególnie rekomendujemy podziemną trasę turystyczną w Rzeszowie i zwiedzanie gigantycznej Twierdzy Przemyśl, która we wrześniu 1914 roku przerwała marsz Rosjan na imperium austro-węgierskie, powstrzymując ich na 137 dni.



Piwo i golf

Pilsner Urquell został oficjalnym piwem turnieju w szkockim Turnberry

Szkocja KOJARZYŁA CI SIĘ DOTĄD z whisky? No cóż, wszystko się zmienia. W tym roku oficjalnym napojem najstarszego na świecie turnieju golfowego The Open Championship będzie piwo. I to w dodatku piwo

wywodzące się z Czech – Pilsner Urquell.

The Open, jak nazywany jest turniej, otwarty jest zarówno dla zawodowców, jak i amatorów. Pula nagród przekracza 4,2 miliona funtów. Może warto się wybrać – jak nie po nagrody, to przynajmniej na piwo?

Seria przewodników dla zmotoryzowanych

Już 18 czerwca w „Przekroju” weekendowe trasy po...

Małopolsce

„Przekrój” z przewodnikiem tylko 5,00 zł



Kolejne części serii:

Wielkopolska, Mazowsze, Pomorze

– co dwa tygodnie z „Przekrojem”



PRZEKROJ

najlepszy w środku

przekroj.pl

Szybko do wyjścia

W przypadku katastrofy uznaje się, że najważniejsze są dwie pierwsze minuty. Musisz w tym czasie opuścić samolot. Jeśli wokół jest mnóstwo dymu, postaraj się osłonić czymś usta – najlepszy jest kawałek zmoczonego materiału. Choć wiele instrukcji zaleca w takiej sytuacji czołganie się przy ziemi, gdzie widoczne są znaki prowadzące do wyjścia awaryjnego, badania pokazują, że często kończy się to stratowaniem lub przygnieceniem przez spadający bagaż. Staraj się więc za wszelką cenę utrzymać na nogach. Przed startem sprawdź koniecznie i zapamiętaj, gdzie jest najbliższe wyjście awaryjne. Ta wiedza uratuje ci życie.

Dziękujemy PLL Lot za możliwość wykorzystania ilustracji z pokładowej instrukcji bezpieczeństwa



DRAPIEŻNIKI WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Wilk. Historia prawdziwa

W tej bajce wszystko jest na opak. Zły wilk spełnia dobre uczynki, dobry gajowy – złe, a Czerwony Kapturek i babcia okazują się, delikatnie mówiąc, niezbyt roztropni.

Uwaga, uwaga, gajowy właśnie wkracza do akcji! Rozpruwa brzuch wilka, a ze środka wyskakują Czerwony Kapturek i babcia. Radośnie rzucają się na szyję swemu wybawcy. Szczęśliwy finał? Nie w tej bajce – prawdziwej historii o wilku i człowieku.

Jak wybito wilka

Oczywiście, scenka, gdy wilk leży bezwładny z rozprutym brzuchem, to prawdziwe marzenie ludzkości. W naszej części świata ten drapieżca był przecież nienawidzony przez rolników i myśliwych. Ci pierwsi wyhodowali rasy zwierząt – krów, owiec czy kóz – które dawały dużo mięsa, mleka, skór lub wełny. Pozbawiono je za to umiejętności ucieczki lub walki z drapieżnikiem. Im bardziej były udomowione, tym gorzej radziły sobie w starciu z wilkiem. A ten od czasu do czasu atakował zwierzęta gospodarskie. Dla biednego rolnika utrata krowy lub owiec mogła oznaczać co najmniej głód.

Myśliwym z kolei zależało, by mieć jak najwięcej swych ulubionych ofiar: jeleni, saren czy łosi. Ale na nie chętnie poluje także wilk. Dwaj drapieżcy, człowiek i zwierzę, stali się rywalami. Do pewnego momentu walka była wyrównana, jednak rozwój technologii przyniósł przewagę człowiekowi. Wilk stracił szansę na zwycięstwo.

„W okresach wojen i politycznego chaosu liczebność wilków rosła – piszą profesorowie Włodzimierz i Bogumiła Jędrzejewscy w książce „Eseje o ssakach Puszczy Białowieskiej”. – Natomiast czas pokoju i stabilizacji w społeczeństwie ludzkim był zwykle czasem tępienia wilków. W Puszczy Białowieskiej najbardziej gorące »kampanie wilcze« prowadzące do wybitia tego drapieżnika miały miejsce w latach 1880–1915 i 1946–1970”. Od lat 70. do puszczy docierały tylko pojedyncze osobniki zza wschodniej granicy.

Podobne akcje odbywały się także w innych krajach. Jedną z najsłynniejszych miała miejsce w najstarszym parku narodowym świata – amerykańskim Yellowstone. W roku 1926 schwytano tam dwa ostatnie wilki. Skrupulatni Amerykanie wyliczyli, że był to 135. i 136. osobnik zabity w ciągu 12 lat w Yellowstone. „Lub, licząc w szerszej skali, były to dwa spośród milionów osobników północnoamerykańskich

Wizerunek złego wilka mamy wpajany od dzieciństwa: Czerwony Kapturek, bajki Brzechwy... Podczas Kawiarni Naukowej 15 czerwca spróbujemy zdjąć kłatwę z tego drapieżnika



drapieżników pokonanych w ciągu stulecia w gorliwej akcji, by oczyścić z nich cały kraj” – pisze William Stollenburg w książce „Where the Wild Things Were”. Na ten „szczytny cel” nie szczędzono pieniędzy. Tradycyjne pułapki nie starczały. Furorę robiła trucizna. Gdy rozpowszechniły się samoloty, rozrzucano z nich setki tysięcy kulek tłuszczu napakowanych strychniną, cyjankiem lub talem. Wilki (*Canis lupus*) stały się rzadkością w całych USA. Spis z lat 70. XX wieku ujawnił, że zasięg tego gatunku zmniejszył się do marnych czterech procent poprzedniego stanu. Drugi zaś amerykański gatunek, zamieszkujący południowe stany wilk rudy (*Canis rufus*), w stanie dzikim wyginął całkowicie.

Jak zniszczono zieleń

A więc finał. Gajowy został bohaterem, wilka nie ma. W domku babci trwa uczta. Ale wyrzycimy za okno. Tam, w pozbawionym drapieżcy lesie, zaczynają się dziać dziw-

ne rzeczy. Jak to swym naukowym językiem opisali profesorowie Jędrzejewscy na przykładzie Puszczy Białowieskiej: „Jeśli dynamikę populacji jeleni porównamy ze zmianami liczebności wilków, okazuje się, że szybki przyrost jeleni miał miejsce w okresach spadku lub wytopienia wilków”. To samo stało się w Ameryce. Tamtejsze jelenie wapiti, łosie i mulaki rozmnążyły się na potęgę. Ich liczebność wzrosła wielokrotnie. Przestały się czegokolwiek bać. A im więcej ich było, tym gorzej rosł las. W niektórych miejscach praktycznie stracił możliwość odnawiania się. Roślinozercy wyjadali wszystko, co się pojawiło. I znów najlepiej widać to było w Yellowstone, które przyciągało najlepszych naukowców. Robert Beschta, hydrolog ze Stanowego Uniwersytetu Oregonu, trafił tam w roku 1996. Gdy znalazł się nad rzeką Lamar, wprost zbaraniał. Jej brzegi były niemal nagie, a gleby, które odkładały się przez tysiąclecia, zostały zmyte. Zabrakło krzewów,

w których mogłyby się gnieździć ptaki. Bobry nie miały jak budować swych tam. Życie nad Lamar mocno zubożało.

Ale lata 90. to też czas gruntownej zmiany poglądów gajowego. Widząc, jak zmienił się jego las, pogromca wilków zatęsknił za drapieżcą. W roku 1995 w Yellowstone wypuszczono na wolność osiem pierwszych wilków. Również w Polsce w roku 1998 wróżyła te wpisano wreszcie na listę gatunków chronionych. Drapieżniki mogły odetchnąć po obu stronach Atlantyku. Liczebność wilków zaczęła rosnąć. A zgnuszenie jeleni z powrotem poczuli, co to znaczy strach. W Yellowstone coraz mniej chętnie zapuszczają się nad nagie brzegi Lamar. Różne krzewy i drzewa mogły wreszcie odżyć. Ptakom wróciły miejsca gniazdowe. Bobry zdobyły materiał na tamy. Życie wróciło nad rzekę.

Jak chronić się przed wilkiem

W Polsce zmiany nie były aż tak spektakularne. Owszem, wilków przybywało. Jeszcze w 2001 doliczono się blisko 560 osobników. Dziś jest ich ponad 700. Wcześniej występowały wyłącznie na wschód od Wisły. Obecnie 65 wilków żyje w Polsce zachodniej. Tak, drapieżniki zabijają więcej jeleni. Ale niekoniecznie musi mieć to wpływ na strukturę lasu.

– U nas ssaki kopytne, takie jak jelenie, nie niszczyły tak bardzo lasu, gdyż wokół szkółek budowało się ogrodzenia, stosowało się ochronę chemiczną i biologiczną – przyznaje doktor Sabina Pierużek-Nowak ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk”. – Ale niewątpliwie było to czasochłonne i kosztowne.

Z pewnością jednak wilki wpłynęły na kondycję swych ofiar. Drapieżniki bowiem, przeciwnie do myśliwych, najczęściej łowią osobniki słabe – młodsze, starsze lub chore. Największe i najsilniejsze po prostu im uciekają. – Generalnie rzecz biorąc, tam, gdzie są wilki, jakoś ssaków kopytnych rośnie – podsumowuje badaczka. Doktor Wojciech Śmietana z Bieszczadzkiej Stacji Terenowej Instytutu Ochrony Przyrody PAN dodaje: – Resztki z ich polowań sprzyjają też padlinożercom. Z przyrodniczego punktu widzenia wilki są po prostu potrzebne.

Wzrost ich liczebności doprowadził jednak do eskalacji konfliktów. Marcin Kowalski, rolnik z Beskidu Niskiego, podaje liczne przykłady nieprzyjemnych zdarzeń. W jego niewielkiej wsi wilki ostatnio zabiły cielaka i kilka psów. W sąsiedniej wsi wpadły w stado owiec i rozszarpały kilkanaście zwierząt. Większość zabitych nie zjadła. A zdobycie odszkodowania za straty wymagało dużego wysiłku.

Doktor Śmietana uważa jednak, że sporą część winy ponosi rolnik. – Człowiek ma obowiązek opieki nad swoimi zwierzętami gospodarskimi – mówi. – Sam hodowałem stado w Bieszczadzkim Parku Narodowym i nie miałem żadnych szkód.

Badacz zaleca stosowanie ogrodzeń elektrycznych oraz psów. Doktora Nowak dodaje: – Chodzi o psy stróżujące, a nie pasterkie. Nie pomagają one w wypasie, nie zaganiają stada, ale pilnują owiec w nocy. Do tej roli nadają się głównie owczarki podhalańskie.

Czasem stosuje się też fladry, czyli kolorowe szmatki rozwieszane na ogrodzeniu. Wilki z natury się ich boją. Po kilku miesiącach mogą się jednak do nich przyzwyczaić. Dobrym rozwiązaniem jest więc przesuwanie fladr z miejsca na miejsce.

Czerwony Kapturek ignorował dobre rady. Poszedł sobie do lasu, nie pilnował koszyka ani babci. A potem wszystko zważył na wilka. Dobrze, że dziś to nie on zarządza lasami. Dzięki temu wilk może wrócić, upolować trochę jeleni i dać szansę roślinności. To dopiero takie zakończenie można nazwać szczęśliwym. □

FOT. REINHARD/ARCO/FORUM

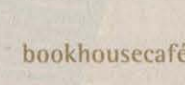
PARTNER
KAWIARNI NAUKOWEJPRODUCENT
SPRZĘTU
I ODZIEŻY
TURYSTYCZNEJ

KAWIARNIA NAUKOWA
PRZEKRÓJ NAUKI
Kawiarnia Naukowa zaprasza na spotkanie
CZAS: 15 CZERWCA, GODZINA 18
BOOKHOUSECAFÉ, UL. ŚWIĘTOKRZYSKA 14
TERAZ KAWIARNIA NAUKOWA
RÓWNIEŻ W TWOIM
KOMPUTERZE!
W TELEWIZJI INTERNETOWEJ
WWW.LOOKR.TV
lookr.tv

Kto się boi złego wilka?

- Dlaczego wilk zabija więcej owiec, niż może zjeść?
- Czy wilk może być niebezpieczny dla człowieka?
- Ile jest wilka w psie?
- Skąd wiemy, dokąd ciągnie wilka?

Gościem Kawiarni będzie doktor Sabina Pierużek-Nowak ze Stowarzyszenia dla Natury „Wilk”.



WYRÓB FESTIWALOPODOBNY

Sebastian Karpel-Bulecka

W tym tygodniu:
POZNAJEMY MROczne OBlicze AUSTRII,
ciemną stronę GENUI I CZYTAMY
KOMIKSY O PONURYCH CZASACH.
ECH, TEN DESZCZOWY CZERWIEC!

Beata Kozidrak

Sabrina

Nie wszystko
złoto, co się świeci
– ta młoda
ulal pasuje do wielu
wykonawców okupujących
sceny telewizyjnych
festiwali. Bo choć
kostiumy błyszczą
na scenie nie
jest przez to
wcale bardzo
błyskotliwa

Doda

Michał Wiśniewski

Thomas Anders
(połówka Modern Talking)

CHOĆ WIELE WSKAZUJE NA TO, ŻE CZAS TELEWIZYJNYCH FESTIWALI
PIOSENKI MINĄŁ, **PRZED NAMI OPOLE I TRZY SOPOTY.**
NIECH ŻYJE BAL NA „TITANICU”!

OD CZASÓW, KIEDY TE OPOLSKIE DZIOUCHY, WIELKIE PARADNICE, KAZAŁY
se poszyć czerwone spódnice, minęły całe wieki. Polska muzyka ewoluowała,
zamiast jednej obowiązkowej telewizji mamy setki opcjonalnych, a ich publiczność, znudzona i głodna nowych wrażeń zarazem,
z trudem wytrzymuje dłużej niż pięć minut na jednym kanale. Do tego jak grzyby po deszczu rosną nam letnie festiwale plenerowe, coraz lepiej zorganizowane, z coraz lepszym repertuarem. W tym kontekście wysiłki organizatorów telewizyjnych spektakli przypominają reanimację trupa.

Jak oni śpiewają

– Z punktu widzenia młodego odbiorcy takie imprezy rzeczywiście nie mają sensu – przyznaje Roman Rogowiecki, dyrektor artystyczny 46. Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. – To propozycja dla kogoś po czterdziestce, kto nie chce w wielotygodniowym tłumie godzinami czekać na ulubionego wykonawcę. Formuła festiwalu telewizyjnego, choć trochę passé, u nas jest dobrze zakorzeniona. Opole szczególnie. Przez niemal 50 lat było stolicą polskiej piosenki i powinno nią pozostać.

A więc tradycja. Ważna rzecz. Co jeszcze? – Nie konkurujemy z takimi festiwalami jak Open'er, festiwale telewizyjne to po prostu inny wariant programu rozrywkowego – tłumaczy z kolei Piotr Metz, dyrektor artystyczny Sopot Festivalu organizowanego przez stację TVN.

To rozsądne wytłumaczenie, ale wystarczy wziąć do ręki kalkulator, by przekonać się, że coś tu nie gra. Przygotowanie sceny, sprowadzenie gwiazd (nawet polskich, nie mówiąc już o wielkich nazwiskach ze świata, co przez jakiś czas było ambicją TVN) czy wreszcie realizacja telewizyjna takiego show – wszystko to kosztuje fortunę. Tymczasem telewizyjna publiczność ma gdzieś recital Eltona Johna. Woli fałszujące gwiazdki seriali albo trzydziestą powtórkę filmu ze Stevenem Seagalem.

– Przekonaliśmy się o tym. Teraz jeszcze nałożył się na to kryzys, niekorzystne kursy walut i zmiana na rynku w Polsce. Niewiele było tamtego roku wydarzeń o randze porównywalnej do koncertu Eltona Johna, za to teraz musielibyśmy wcisnąć do Opery Leśnej Madonnę czy Britney Spears. Tego nie da się zrobić – przyznaje Metz, który w ubiegłym roku znalazł sposób na to, jak przytrzymać przed telewizorami kapryśną publiczność. Zaprosił gwiazdy pop

z lat 80., niekoniecznie z najwyższej półki, za to bardzo charakterystyczne: od biuściastej Sabriny po rozczochranego Limahla, do którego wzdychały wszystkie dzisiejsze 40-latk.

– Kiedy złożyłem tę propozycję na zebraniu, zapadła cisza. Wszyscy zastanawiali, co mi się stało. Tymczasem koncert z przebojami lat 80. był najchętniej oglądanym programem TVN w sierpniu. Najlepiej o tym świadczy reakcja Leszka Możdżera, który dowiedział się, co planujemy: „Kajagoogoo? Rany boskie, ja mam wtedy jakiś koncert w Monachium, ale przecież muszę to zobaczyć!” – śmieje się Metz.

Okazało się jednak, że ubiegłoroczny pomysł kryje w sobie pułapkę. Jak tu bowiem pójść za ciosem, ale nie zrobić z Sopot Festivalu gali disco polo? – Przymierzaliśmy się do czegoś podobnego, ale chwała moim szefom z TVN, że zgodzili się pójść pod prąd i zrobić kompletnie niekomercyjny koncert poświęcony pamięci Czesława Niemena.

Z ubiegłorocznego doświadczenia TVN skorzystała za to konkurencja. W pierwszy dzień opolskiego festiwalu zobaczymy koncert Gwiazdorskie Towarzystwo Muzyczno-Wokalne, a w nim znanych aktorów*. – Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek na jednej scenie zebrano tyle gwiazd, nie widziałem tego w żadnym polskim filmie. To będą największe nazwiska, ci wszyscy, ci wszyscy ludzie chodzą do kina, do których modlą się nastolatki – Roman Rogowiecki jest dumny ze swojego pomysłu i w niełatwej kategorii „rozrywka telewizyjna” będzie to zapewne strzał w dziesiątkę. Słupki oglądalności poszybują w górę, Polsat i TVN zzielenieją z zazdrości. Tylko gdzie się podziałła muzyka?

Internauci – silne stwory

Wierność tradycji oraz chęć zapewnienia rozrywki starszym lub mniej wymagającym widzom. Chwalebne. Ale czy to cała tajemnica żywotności telewizyjnych festiwali w naszym kraju? Powodów jest więcej. Pierwszy z nich to rywalizacja pomiędzy trzema największymi stacjami telewizyjnymi.

U progu XXI wieku TVP wyraźnie nie miała pomysłu na festiwal w Sopocie i traktowała imprezę jak zło konieczne. Trzeba zrobić, zaprosić gwiazdę, zapomnieć... Wykorzystując słabość konkurencji, Polsat wystartował w 2003 roku z własną imprezą, festiwalem Top Trendy, o formule banalnej, ale za to czytelnej: zapraszają tylko polskich wykonawców, tych, którzy najlepiej się sprzedawali w minionym sezonie, oraz tych, którzy dobrze wróżą. TVN natomiast, jak żadna inna polska telewizja rozumiejąca siłę marki, zamiast kreować od zera własną imprezę, przebił ofertę TVP i podpisał pięcioletni kontrakt na organizowanie Sopot Festivalu. Ktoś na Woronicza nie umiał jednak pogodzić się z porażką i telewizja publiczna powołała do życia Festiwal Jedynki, również odbywający się w sopockiej Operze Leśnej. Oto, jak stał się cud – zamiast jednej kłopotliwej imprezy o przykurzonej formule mamy trzy. Plus Opole, od zawsze i zapewne po wsze czasy organizowane pod egidą Telewizji Polskiej.

Festiwale w Sopocie i Opolu to jednak nie tylko sposób na przeżycie muskułów dla nadawców. W kraju bez →

• Od Zbigniewa Zamachowskiego i Joanny Trzepiecińskiej po Borysa Szyca i Tomasza Karolaka – w roli wokalistów i... instrumentalistów. Takie „Jak oni śpiewają”, tylko bardziej.

→ prasy muzycznej i z dwiema bardzo silnymi radiostacjami sformatowanymi głównie na hity ze świata polscy artyści nie mają gdzie pochwalić się swoją twórczością. Paradoksalnie rockowa czy hiphopowa młodzież jest w nie najlepszej sytuacji, bo potrafi korzystać z Internetu, ma własne imprezy i niskonakładowe, wyraźnie sprofilowane czasopisma. Za to tuż polskiej piosenki z lat 70. i 80. oraz ci, którzy bardzo chcieliby zająć ich miejsce, muszą występować w telewizji, bo tylko w ten sposób publiczność dowiaduje się o ich istnieniu. Dla nich Opole to kwestia życia i śmierci. Niewiele stać na gest Maryli Rodowicz, która nie mogła wystąpić w Opolu na własnych warunkach (nie pozwolono jej zaprosić do duetu Dody), więc zrezygnowała.

Skoro już o Opolu mowa – dawno nie dyskutowano o nim tak żarliwie jak w tym roku. Zapewne ku zadowoleniu organizatorów, bo przebić się do prasy pod informację o koncertach Kylie Minogue, Faith No More czy Radiohead to trudne zadanie. Poszło głównie o półplayback, ale zdaje się, że nie było o co kruszyć kopii.

– Całe to larum jest śmieszne. Półplayback to nie playback. Wokalista śpiewa na żywo i tylko podkład jest wcześniej przygotowany, żeby uniknąć problemów technicznych – tłumaczy Roman Rogowiecki. – Tak samo było na Eurowizji w Moskwie, to samo robi BBC. Mark Cooper, ostatni producent fantastycznego show „Top of the Pops”, mówił mi, że tam nikt się nie patyczkował, tak po prostu musi być.

Urszula i Bracia wycofali się z konkursu, ale na ich miejsce szybko znaleźli się inni chętni. Okazało się, że ta formuła nie przeszkadza nawet rockmanom. – Z naszą muzyką chcemy docierać do każdego, kto jest na nią otwarty. Skoro zaproszono nas do Opolu, dlaczego mielibyśmy z tego zrezygnować? – dziwi się Przemek Zdunek, wokalista i gitarzysta grupy The



Ale to już było i nie wróci więcej – królowa estrady **Maryla Rodowicz** w tym roku nie wystąpi w Opolu

Cuts. – Oczywiście, że wolelibyśmy zagrać w stu procentach na żywo, ale wychodzimy na scenę, żeby pokazać światu naszą piosenkę, a nie to, że potrafimy lepiej od innych zagrać na gitarach.

O ile półplayback w opolskich Premierach da się wytłumaczyć specyfiką realizacji telewizyjnej, o tyle trudno przejść do porządku dziennego nad Superjedynkami. W założeniu jest to plebiscyt na najpopularniejszego polskiego artystę ostatnich 12 miesięcy, ale teoria w tym roku nijak nie chce przystawać do praktyki. Na przykład w kategorii Płyta Roku – przy całym szacunku dla nominowanych: Tedego, Ewy Farny i Manchesteru – nie znalazł się ani jeden z naprawdę ważnych (tudzież najchętniej kupowanych) polskich albumów ostatnich miesięcy.

– To głosy internautów i należy uszanować ich wybór. Sam pan wie, co się dzieje na forach, internauci są silnymi stworami – Rogowiecki wie, że trudno to wytłumaczyć. – Zgadza się, że te wyniki są nieco zaskakujące i brakuje kilku nazwisk, które znaleźć się powinny. Może ich fani kupują płyty, ale niekoniecznie mają ochotę wziąć udział w tego rodzaju zabawie?

Maryla Rodowicz, która również liczyła na nominację do Superjedynki, ma inne zdanie. – Regulamin pozwala głosować raz w tygodniu. Nie chcę podważać tych wyników, ale moje dzieci powiedziały mi: Mamo, no co ty? Wystarczy skasować „ciasteczka”, żeby oddać kolejny głos po pięciu minutach – mówi nie bez racji wokalistka. Żałuje, że nie zaśpiewa w Opolu, ale zaprasza na inne imprezy: – Najpierw Top Trendy, potem Piknik Country w Mrągowie, a pod koniec sierpnia Sopot Festival.

Cyrk przyjechał

Nawet artyści, którzy sprzedają płyty i regularnie koncertują, nie pogardzą zaproszeniem przed telewizyjne kamery. Chcą się pokazać lub po prostu zabawić. Najlepiej jedno i drugie. – Choć Top Trendy jest wielkim cyrkiem, za kulisami panowała miła atmosfera i wielki luz, co niekoniecznie jest normalną rzeczą w telewizji. Co mi to dało? Nie wiem, ale czułem się trendy – śmieje się Czesław Mozil, który na polsatowskim festiwalu występował w ubiegłym roku w podwójnej roli – z Heyem jako czołówka polskiej sceny i z własnym zespołem jako obiecujący debiutant.

W tym roku znów wystąpi na Top Trendy jako Czesław Śpiewa, już w koncercie gwiazd: – Chcę pokazać, co robimy, podsumować rok, poleżeć na plaży, pocałować kogoś i zaszać sopocką nocą. Cytując pewną osobę: Ludzie chcą cyrku, a ty po prostu grasz swoją piosenkę.

Kumka Olik na telewizyjnych festiwalach również starają się robić swoje i z daje się, że z niezłym skutkiem. Choć w ubiegłym roku w Opolu nie zagrali nawet własnej piosenki (wykonali „Białą flagę” Republiki), zwrócili na siebie uwagę. – Po tym występie zdobyliśmy kontrakt z wytwórnią, wielu ludzi nas zauważyło – wspomina Kuba Holak, basista Kumka Olik. W tym roku do Opolu się nie załapali (ale zaklina się, że z półplaybacku i tak by nie zagrali), wystąpią za to na Top Trendy. Oraz w Jarocinie i na myślowickim Offie, i nie widzą w tym nic dziwnego. – Gramy koncerty w klubach, gramy na festiwalach plenerowych. Ale Top Trendy, jak każda minuta w telewizji, pozwala docierać do nowych słuchaczy – przekonuje Holak. – Paradoksalnie, często skuteczniej niż tradycyjne festiwale. Wszędzie, gdzie można zagrać w dobrych warunkach, należy próbować.

Sopot do remontu

Jaka będzie przyszłość telewizyjnych festiwali? Trudno dociec. Sopotu w przyszłym roku zapewne w ogóle nie będzie. – Umowa wygasła, ale nie mogę jednoznacznie stwierdzić, że skończyliśmy współpracę z Sopotem. Rozmawiamy z władzami miasta i bardzo się lubimy, więc kto wie, może festiwal wróci w nowej formule? – zgaduje Piotr Metz. – Za rok Opera Leśna będzie jednak w remoncie, a dwa lata to bardzo dużo czasu, wiele się może zmienić.

Remont sopockiego amfiteatru postępuje szybką także Polsatowi, choć oczywiście zawsze mogą zorganizować Top Trendy w innej lokalizacji. A Opole? Tu nigdy nic nie wiadomo, a snuć dalekosiężnych planów nie ma sensu. TVP w każdej chwili może przejąć inną ekipę i plany obecnej wylądują w koszu. – To była najważniejsza impreza. Kto dobrze wypadł w Opolu, miał przez cały rok dobrą passę – Maryla Rodowicz nie może odżalować, że festiwal stracił swoją rangę. – Kilka dni temu spotkałam Grześka Markowskiego w samolocie. Mówię mu, co i jak, a on: No co ty? Opole? My mamy wtedy imprezę za kasę, a oni nawet nie płacą za hotele...

Śluchaj też „Wiadomości” w **Radio 26T**

Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

The Legendary Pink Dots, czyli jak zacząłem się bać ulubionej muzyki

PYTALI MNIE OSTATNIO PRZEZ Internet, czy jeszcze słucham grupy The Legendary Pink Dots. To taki zespół angielskich hipisów mieszkających od lat w Holandii, którzy nigdy nie podbijają świata, ale mają bardzo oddanych fanów. Prawie równo 15 lat temu, kiedy jechałem na ich pierwszy polski koncert do Wrocławia, też byłem oddanym fanem, a ponieważ dookoła nie znalazłem żadnego równie oddanego, musiałem szukać znajomości na miejscu. Spotkałem tam długowłosego chłopaka z Krakowa, rok ode mnie starszego, ciągle w otoczeniu ciekawych ludzi i zagranicznych fanów LPD, z którymi porozumiewał się imponującą angielszczyzną. Jak się później okazało, był wybitnie zdolnym studentem UJ, dobrze zapowiadającym się matematykiem ze stypendium MEN-u. Studiował fraktale, dużo czytał, znał mnóstwo ciekawej muzyki, a członków LPD poznał osobiście, składając im wizytę w Holandii, gdy jeździł po Europie, bagatelka, na rowerze. Okazało się, że znamy się także z listy dyskusyjnej poświęconej grupie, której czytanie było jedną z pierwszych rzeczy, do jakich służył mi Internet. Tam mój nowy znajomy występował jako Mike Ni-Hill. W realu nazywał się

Michał Łysek. Trzy lata później został zamordowany przez dwóch nastolatków – bez wyraźnego powodu – kijami bejsbolowymi. To wtedy nazwa The Legendary Pink Dots trafiła na łamy największego polskiego dziennika i przebiła się do świadomości dużej części Polaków po raz pierwszy i ostatni. Ja od tego momentu słuchałem LPD coraz rzadziej.



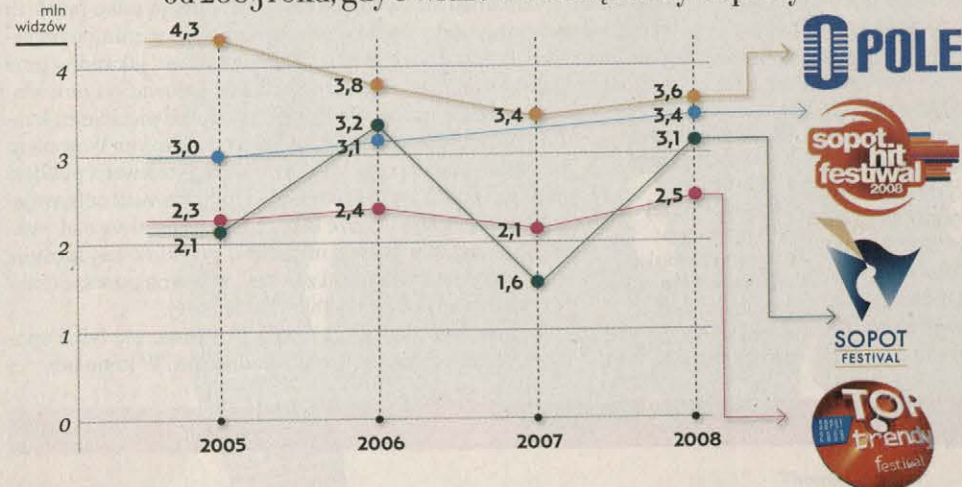
Płyta „The Maria Dimension” – taka dobra, że aż strach

Łatwo się zrazić do muzyki, gdy nam się źle kojarzy – to rozumiemy nawet bez pomocy nauki. Słyszałem historię kłarnecisty, który przy jakimś utworze z takim zaangażowaniem podniósł instrument do ust, że uszkodził zęby i ustnik, no i potem już nie mógł tego grać. A także kilka innych anegdot, jeszcze mniej zabawnych. W kapitalnej książce „This Is Your Brain On Music” Daniel Levitin pisze

o psychologicznym warunkowaniu się na muzykę, któremu poddajemy się szczególnie mocno w młodym wieku. Nagrania, które źle nam się kojarzą, odrzucamy odruchowo, nawet wtedy gdy – trzeźwo na to patrząc – ciągle są nam bliskie. Z kolei kilka lat temu naukowcy odkryli, że ten sam mózdzek, o którym Levitin pisze jako naszym podstawowym narzędziem do odbioru muzyki (to przy tym najstarsza ewolucyjnie „zwierzęca” struktura naszego mózgu) służy nam również jako przechowalnia wspomnień związanych ze strachem.

I dopiero teraz, kiedy po latach znajomi z tamtych czasów zapytali mnie o LPD, zrozumiałem, że wtedy ładunek strachu wokół sprawy Michała był tak wielki, że przy okazji odrzucało mnie także od Legendarnych Różowych Kropek. Zdaję sobie sprawę z tego, że niniejszy odcinek to dość intymne wywlekanie własnych wspomnień, ale mam alibi: pozostali jego bohaterowie zasługują na to, żeby ich przypomnieć. Poznawanie The Legendary Pink Dots powinniście w każdym razie zacząć od płyty „The Maria Dimension” lub innej wydanej w pierwszej połowie lat 90. Michała już nie poznacie. □

Oglądalność telewizyjnych festiwali od 2005 roku, gdy o widzów walczą cztery imprezy



POTOK





Winterbottom udowadnia, że nie da się uciec przed demonami przeszłości. **Hope Davis jako zbuntowana Marianne**, w której poza złością buzują jeszcze hormony

+++ MAŁGORZATA SADOWSKA

Wakacje z duchami

Nowy film Michaela Winterbottoma przypomina, że ze śmiercią nam nie do twarzy

Oglądanie filmu o żałobie, kiedy wokół wraz z czerwcem życie eksploduje, kipi i odurza, może wydawać się nieco nie na miejscu. Ale z drugiej strony – czyż może być lepszy moment na *memento mori*...?

Jeśli po powyższym wstępie nadal czytacie tę recenzję, to znaczy, że nie boicie się trudnych tematów, solidne psychologiczne dramaty przedkładacie nad częstą rozrywkę, a latem najlepiej chłodzi was dreszczyk thrilleru. I „Genua. Włoskie lato” was nie zawiedzie. Wbrew tytułowi jak z turystycznego folderu ani film Winterbottoma, ani pokazane w nim miasto nie mają w sobie nic pocztówko-

wego. Wyzwolony (wreszcie!) z gładkiego powabu amanta Colin Firth świetnie gra ojca, który próbuje razem z dwoma córkami pozbierać się po tragicznej śmierci żony (wypadek spowodowała jedna z dziewczyn). Lekiem na cierpienie mają być przenosiny Amerykanów do Genui, gdzie Joe dostaje pracę. Ale nawet pochłonięte wakacjami Włochy w niczym nie przypominają miejsca radosnego wytchnienia. W ciasnych, ciemnych uliczkach panuje nieznosne napięcie, jakby za chwilę miała się tu wydarzyć jakaś tragedia. Niepokój czuć w chłodnych kościołach i na pełnych ludzi plażach. Niewypowiedziane emocje – poczucie winy, ciągły lęk, żal i złość – tłamszą, duszą

i zniekształcają świat. Duch matki wciąż unosi się nad rodziną – a niekiedy nawet pojawia! Umiejętnie balansując między thrillerem a psychologicznym dramatem, Winterbottom jak zwykle doskonale chwytta ducha naszych czasów: bezradność wobec śmierci, nieumiejętność przeżywania żałoby, ukrywanie emocji i usilne staranie, by życie jak najszybciej wróciło do normy. A przecież gdyby uciekający do Genui Joe poczytał Marię Janion, toby zaraz wiedział, że „do Europy tak. Ale razem z naszymi umarłymi”.

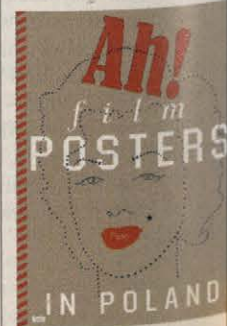
„Genua. Włoskie lato”, reż. Michael Winterbottom, Wielka Brytania 2008, 98', Monolith Plus, premiera 12 czerwca

Kino na ścianie

Fantastyczny przewodnik po historii polskich plakatów filmowych już w księgarniach

Od nieśmiałych początków w latach 20. XX wieku, przez bujny okres działalności Polskiej Szkoły Plakatu, aż po schyłek na początku nowego tysiąclecia. Zobaczymy tu rewelacyjne plakaty do filmów polskich (choćby „Iluminacji” czy „Człowieka z żelaza”) i zagranicznych („Obywatel Kane”, „Powiększenie”). Obok imponującego materiału graficznego autorka opowiedziała krótko (i po angielsku) o tym, jak mody i trendy wizualne, intelektualne (np. fascynacja psychoanalizą) oraz sytuacja społeczno-polityczna w Polsce wpływały na kształt plakatu. Po lekturze tej całkiem okazałych rozmiarów książki pozostaje żal, że dziś plakat filmowy to sztuka, ale komercja.

Dorota Folga-Januszewska, „Ah! Film Posters in Poland”, s. 240, Bosh, 99 zł



Nowy Jork czy kratki?

W więzieniu może czekać na ciebie lepsza przyszłość niż na Manhattanie – przekonuje kino z Argentyny

KAROLINA PASTERNAK

Gdyby tak któryś z polskich filmowców odważył się na kilka pomysłów, które zrealizował w „Lwicy” Argentyńczyk Pablo Trapero! Policja znajduje główną bohaterkę Julię w mieszkaniu z dwoma kochankami. Mężczyźni leżą na podłodze zbroczeni krwią, Julia nie pamięta. Trafia do więzienia, gdzie rodzi dziecko, wchodzi w relację (także erotyczną) z kobietą i z każdą kolejną sceną mimo kryminalnej przeszłości dowodzi, że jest wspaniałą matką. Ale „Lwica” to nie tylko odważne kino obyczajowe, to także trzymający w napięciu film więzienny. Ze ściśniętym żołądkiem będziecie czekali na proces, zeznania ocalałego kochanka i kolejne kroki uśiłowanej przejać opiekę nad wnukiem babki.

W drugiej argentyńskiej premierze – „Ojciec nasz. Krew z krwi” Christophera Zalli – główni bohaterowie, Meksykanie, emigrują do amerykańskiej ziemi obiecanej. Jeśli marzyliście o urlopie w Nowym Jorku, a nie macie na to kasy, „Ojciec nasz...” to seans idealny – na zracjo-



Wyrwij murom zęby krat! Niebawem więźniarka Julia (Martina Gusman) przejdzie od słów do czynów

nalizowanie sobie rezygnacji z wyjazdu. Wąłce się rudery, zatopione w oparach z ulicznych studzienek jezdnie, zboczeńcy i ludzie bez skrupułów – witajcie w Nowym Jorku Zalli. Hiperrealizm ma, rzecz jasna, pogłębiać dramat, w jakim znaleźli się imigranci. Wszystko to słuszne i poruszające, ale cokolwiek z biegiem akcji rozlaże, odchodzące ku tanim chwytom kina akcji (worki dolarów zabetonowane w ścianie). Zamiast oglądać Nowy Jork oczyma imigrantów, zajrzyjcie więc już lepiej za więzienne kraty.

+++++

„Lwica”, reż. Pablo Trapero, Argentyna/Brazylia/Korea Płd. 2008, Vivarto, 113', premiera 12 czerwca

+++

„Ojciec nasz. Krew z krwi”, reż. Christopher Zalla, USA/Argentyna 2007, Vivarto, 110', premiera 12 czerwca

Każdy koniec jest początkiem – i to filozoficzne stwierdzenie jak ulał pasuje do „przekrojowych” kolekcji. Razem z tym numerem możecie kupić ostatnie odcinki „Monty Pythona”, ale już od 25 czerwca startujemy z nową filmową kolekcją: „Legends kina. Clint Eastwood”. Na pierwszy ogień (z kolei to stwierdzenie jak ulał pasuje do Eastwooda) idzie słynne oscarowe „Bez przebaczenia”. W sumie

do „Przekroju” dołączymy 20 filmów, które gwiazdor nakręcił lub w których grał, między innymi „Brudnego Harry’ego”, „Rzekę tajemnic”, „Żółtodzioba”, „Doskonały świat”. To będzie naprawdę doskonała kolekcja!



Clint Eastwood załatwia wrogów elegancko

Cypr zaprasza całą rodzinę



Zosia Klepacka
Mistrzyni Świata Windsurfingu

Wyspa na cały rok



love Cyprus

Chopin? Tylko na specjalne okazje

Najchętniej w ogóle przestałbym grać – mówi nam **Piotr Anderszewski**. Na szczęście jest od tego daleki. Światowej sławy pianista właśnie wydał pierwszą płytę koncertową, a w czerwcu razem z przyjaciółmi dadzą w Łodzi serię recitali

Ostatnio Krystian Zimerman pożegnał się z amerykańską publicznością słowami: „Ręce precz od mojego kraju”. Jest w muzyce miejsce na takie polityczne gesty?

– W zasadzie absolutnie nie ma, ale to bardzo delikatny temat. Polityka jest tak brudną sprawą, że gdyby bliżej się przypatrzyć, to właściwie nigdzie w żadnym kraju nie powinno się grać. Są oczywiście przypadki wyjątkowe: występować w nazistowskich Niemczech w roli hitlerowskiego instrumentu propagandy – to naturalne, że człowiek się temu przeciwstawia. Cóż, każdy tutaj musi swoim własnym sumieniem wypracować właściwe podejście.

Właśnie ukazała się pańska płyta z zapisem koncertu w Carnegie Hall. Ta sala zasługuje na swoją sławę?

– Jest wyjątkowa pod względem historii wykonawstwa, drugiej takiej nie ma na świecie. Poza tym ma naprawdę fantastyczną akustykę.

Album wychodzi równo 10 lat po tym, jak związał się pan z dużą wytwórnią Virgin Classics. To była dobra decyzja?

– Myślę, że tak, chociaż trudno ocenić, gdzie zaprowadziłby mnie inny wybór. Virgin akceptuje moje artystyczne propozycje, nagrywam dokładnie to, na co mam ochotę. W dzisiejszych czasach to dość trudne do osiągnięcia.

Skąd w pańskim repertuarze obok Bacha, Beethovena i Brahmsa wziął się czeski kompozytor Leoš Janáček?

– Janáček jest mi bliski od bardzo wielu lat. Jego literatura fortepianowa nie jest specjalnie szeroka, ale kompozycja „V mlhách” jest dla mnie chyba najwybitniejszą na ten instrument. Ta głęboko słowiańska muzyka naprawdę mnie dotyka. Ciekawe, że słowiańszczyzna zupełnie inaczej wyraża się w Polsce, Czechach i Rosji. Czeska ma w sobie coś prymitywnego, żywiołowego, ściśle związanego z ziemią, z przyrodą. Jest fantastycznie nieokreślona i nieucywilizowana. Polska słowiańszczyzna jest nieporównywalnie bardziej wyrefinowana. Polskę zawsze ciągnęło ku Zachodowi, szczególnie ku Francji, i choć wydawało się, że to niemożliwe, Chopin zdołał pogodzić słowiański rozmach z francuską elegancją. Umieścił słowiańszczyznę w dobrze skrojonym kostiumie francuskim. Tego specyficznego napięcia u Czechów nie ma.

Na dłużej odstawił pan Chopina...

– Chopin do mnie przychodzi i ode mnie odchodzi falami. I tak chyba powinno być, przynajmniej u mnie. To na pewno wynika ze specyfiki Chopina, który – z małymi wyjątkami w młodości – pisał



tylko na fortepian, co stanowi absolutne kuriozum w historii muzyki. Jego muzyka nabiera dla mnie sensu w małych dozach. Chopin na co dzień? Jakoś tego nie wytrzymuję, i to w żadnym razie nie jest krytyka. Tworzył tak subtelnie, jest coś tak intymnego w jego muzyce, że nie można go grać codziennie. Gdyby nawet najlepsze, najbardziej wyrafinowane danie jadło się codziennie, rychło stanie się niestrawne. Takie rzeczy trzeba sobie zostawiać na specjalne okazje.

Nie próbowano pana przekonywać, że Rok Chopinowski 2010 jest taką okazją?

– Parę razy próbowano, ale to przecież trwa od lat: jestem Polakiem i gram na fortepianie, więc siłą rzeczy powinienem grać Chopina. A ja nie działam w ten sposób. To nawet nie jest kwestia wyboru, ja zwyczajnie inaczej nie potrafię. Ale publiczność i organizatorzy już się chyba przyzwyczaili i jest z tym coraz mniej problemów. Spontaniczna chęć grania – tak. Ale Rok Chopinowski czy Mozartowski – dla mnie to naprawdę wszystko jedno. To są takie zewnętrzne okoliczności, a ja potrzebuję impulsu wewnętrznego.

Prawie 10 lat po nakręceniu pańskich „Wariacji na temat Diabelliego” reżyser Bruno Monsiegeon powrócił, by zrobić o panu dokument „Podróżujący fortepian”.

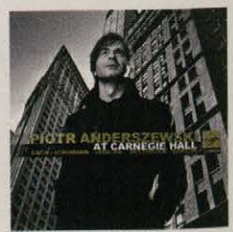
– Przez cały czas pozostawaliśmy w częstym kontakcie – po prostu się przyjaźnimy. Bruno zaś od wielu lat wspominał o tym, że chce zrobić film koncentrujący

+++++

Dotknąć perfekcji

Pierwsza koncertowa płyta Anderszewskiego jest wybitna

Trzeba było aż kilkunastu albumów studyjnych, by doczekać się pierwszej płyty koncertowej wybitnego polskiego pianisty – za to od razu ze słynnej Carnegie Hall. Anderszewski parasolem emocjonalnej stabilności spaja odległe światy Bachowskiej partity no. 2 oraz 31. sonaty Beethovena z „Karnawalem wiedeńskim” Schumanna i zuchwałym „We mgle” Janáčka. Tknąć perfekcji bez liku. – mh



Piotr Anderszewski „At Carnegie Hall”, EMI, 62,99 zł

się nie wokół utworu, ale większy dokument związany z moją osobą. Długo czas dyskutowaliśmy o formie, w końcu udało się ten pomysł zrealizować.

Podobało się panu wejście w taką rolę?

– To zawsze jest niewygodne. Oglądanie siebie jest okropne.

Monsiegeon kręcił też Glenna Goulda. Pan ma chyba upodobania podobne do jego?

– Upodobania muzyczne mamy podobne, ale Glenn Gould na pewno nie stanowi dla mnie ideału. Zawsze coś wspólnego można znaleźć,

rzeczy – to wszystko razem tworzy interpretację. Ja się bardzo dużo nasłuchiwałem wcześniej, dzisiaj tego zupełnie nie potrzebuję.

Słynie pan z dążenia do perfekcji, ale chyba już w nią nie wierzy?

– Perfekcja nie jest możliwa. Perfekcja to jest śmierć. Ale zawsze jest jakaś chęć, żeby do tego dążyć. I to jest taki dziwny konflikt między poszukiwaniem perfekcji oraz akceptacją tego, że to wszystko nas przewyższa i pod kontrolą mamy bardzo mało. Zasadniczych rzeczy w sztuce nie jesteśmy świadomi. Trzeba

gdybym wybrał pewne specyficzne dzieła i dużo nad nimi popracował... Ale w roli zawodowego dyrygenta zupełnie siebie nie widzę.

W Łodzi urządza pan serię niezwykle koncertów z przyjaciółmi pianistami.

– To moi przyjaciele, ale przede wszystkim pianiści, którzy według mnie mają coś wyjątkowego do przekazania, a nie są może specjalnie znani. Grają rzadko, a w Polsce być może w ogóle nie występowali. I to jest wspólna okazja, by ich zaprezentować. To spora odpowiedzialność, ja tutaj w pewnym sen-



Cykl recitali „Piotr Anderszewski i przyjaciele”

17–22 czerwca w Łodzi, wystąpią: Maciej Grzybowski, Claudio Martinez-Mehner, Balázs Szokolay, Piotr Anderszewski, Konstantin Lifschitz, Francesco Libetta



ale jego podejście do nagrań, do repertuaru... Im więcej gram, tym mniej wierzę w takie ekstremalne decyzje, jak skupienie się wyłącznie na nagraniach – bo koncerty z publicznością rzekomo nie mają sensu. Dla mnie rzeczywistość jest dużo bardziej skomplikowana. Tak jak powiedziałem na początku filmu, najchętniej bym w ogóle przestał grać, porzucił studio, koncerty i w ogóle wszelką działalność.

Co bez tego może robić pianista?

– KonTEMPLować egzystencję.

Imni pianiści też pana niespecjalnie frapują.

– Ja w ogóle nie słucham, po prostu mnie to nie interesuje.

Wystarcza panu dialog z partyturą?

– Dialog z partyturą, ze sobą, po prostu życie. To, jak żyjemy, jak odczuwamy otaczające nas

pracować, szukać, dążyć do tej doskonałości, ale tylko przy założeniu, że do perfekcji można się jedynie zbliżyć. Można jej co najwyżej tknąć jednym palcem, i to tylko na moment.

U pana jest coraz więcej tych tknięć?

– Powiedziałbym, że jest ich coraz mniej. Ja w perfekcję kiedyś wierzyłem, ale z roku na rok przestaję, jestem coraz bardziej zrezygnowany – chociaż może to złe słowo, chodzi raczej o pewien fatalizm. I tutaj też Glenn Gould mi przeszkadza. Jest to dla mnie zbyt proste, zbyt oczywiste.

Marzyło się kiedyś panu dyrygowanie dzieł wokalnych Bacha i Beethovena.

– Coraz wyraźniej widzę, że dyrygentura to jest zawód sam w sobie. Jedną rzecz robić dobrze – to już jest niezwykle trudne. Owszem, może

się gwarantuję, że te osoby na pewno przekażą publiczności coś ciekawego, innego. A to się dzisiaj rzadko zdarza.

A jak to jest koncertować z siostrą skrzypaczką?

– Ostatnio wiele ze sobą nie gramy, ale to zawsze jest wyjątkowe przeżycie. Myśmymy razem zaczęli muzykować – ja miałem sześć, a ona osiem lat. Razem się wychowaliśmy i od początku tworzyliśmy muzyczny duet, więc łączymy nas coś naprawdę niezwykłego. Mało kto mnie tak rozumie muzycznie jak siostra.

Muzyka – i poważna, i rozrywkowa

– nieustannie ewoluuje, czasami gwałtownie. Czy to jakoś przekłada się na pianistykę?

– Oczywiście ten kontekst ma wpływ na pianistów. Inna sprawa, że nasz zawód jest bardzo młody. Pianiści jako wykonawcy pojawili się właściwie pod koniec XIX wieku, a więc ta profesja ma nieco ponad sto lat. Trudno powiedzieć, w jakim kierunku to wszystko zmierza, ale na pewno przeżywamy obecnie jakiś kryzys: z nagraniami, firmami płytowymi, z publicznością, której jest coraz mniej. Coś poszło w fundamentalnie złym kierunku. Może to jest zawód, który niebawem się skończy? □

Ulubiony pisarz
Krystiana Lupy
w 1976 roku
w swoim domu
w Ohlsdorf



Geometria udręki

Wczesna, wściekła (i wspaniała) powieść Thomasa Bernharda

++++ MARCIN SENDECKI

Nie da się „Zaburzenia” opowiedzieć. Co prawda, krótka, wczesna (z 1967 roku), trochę kafkowska z ducha powieść wielkiego Austriaka, który zwykł Austrię opisywać jako piekło na ziemi, ma, i owszem, fabułę i sporo się w niej dzieje. Historię osadzoną w alpejskiej dolinie, nad którą od wieków góruje zamek księcia Saurau, poznajemy w relacji syna wiejskiego lekarza, który towarzyszy ojcu w objeździe pacjentów i w końcu wizycie na książęcym dworze. Doktor nie tyle leczy, ile obserwuje i wysłuchuje swoich podopiecznych, którzy stanowią prawdziwie ponurą menażerię ludzi dziwnych, wykoślawionych, obłąkanych, zezwierzęconych. Objazd zajmuje jedną trzecią książki, potem zaś na scenę wkracza książę, który rozpoczyna niekończący się, coraz bardziej szaleńczy monolog o ogólnym upadku wszystkiego.

Nie da się „Zaburzenia” opowiedzieć, bo jego wielkość polega na Bernhardowskiej narracji i sposobie użycia języka. Jeden z recenzentów zarzucił ongi pisarzowi (raczej bezmyślnie), że posługuje się „szkaradną niemieczyzną” – i zdaje mi się, że chropawa, świetna polszczyzna autorki przekładu dobrze ten zabieg oddaje. Zamiast

Thomas Bernhard
„Zaburzenie”,
przeł. Sławna
Lisiecka,
Czytelnik,
Warszawa 2009,
s. 250, 34 zł

JEFFERY
DEAVER
„ROZBITE OKNO”
przeł. Łukasz Proski,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2009,
s. 480, 32 zł

Jeffery Deaver
„Rozbite okno”,
przeł. Łukasz Proski,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2009,
s. 480, 32 zł

szczęście do takiej przygodnej prokreacji. Co można sobie obejrzeć na załączonym obrazku. Rysunki Świetlickiego – publikowane (było ich trochę) i nie (tych jest więcej) – pieczołowicie zebrał i zabrał różnym ludziom Borowiec, opracował i ułożył Teodor Jeske-Choiński, a okolicznościowe teksty

dorzucili także Tomasz Fiałkowski i Marian Stala. Bardzo jest więc ładnie, tym bardziej zresztą że jesienią ukaże się – podobno – nowa książka

Marcin Świetlicki
„Rysunki zabrane”,
www.czteryoczy.pl,
Poznań 2009,
s. 172, 37 zł

ze Świetlickiego dziećmi chcianymi, czyli wierszami. Niech naród zacznie zbierać składki na sute becikowe.

– Marcin Sendek



++++
Niechciane dzieci
...czyli jak Świetlicki rysuje
OBRAZKI TRAKTUJĄ JAK niechciane dzieci – mówi Świetlicki w rozmowie z pomysłodawcą książki

Jarosławem Borowcem. A zatem niepoważnie i od niechcenia? Może i tak, ale kiedy ogląda się album plastycznych wyczynów krakowskiego poety, łatwo się przekonać, że ma on wielkie



FOT. MICHAEL HOROWITZ/ANZENBERGER/FORUM, OPALE EAST NEWS, WYD. CZTERY OCZY, MAREK SZCZEPAŃSKI

++++

Dane są nieśmiertelne

Deaver w dobrej formie straszy Wielkim Bratem

W NAJNOWSZYM KRYMINALE z Lincolnem Rhyme’em w roli głównej znać rękę majstra nie bida. Deaver nie spuszcza z tonu, potrafi trzymać w napięciu, mylić tropy, do końca zwodzić czytelnika co do tożsamości zbrodniarza. Oczywiście jest to tylko sprawa konfekcja – z nieźle wymyślonym bohaterem (dla przypomnienia: sparaliżowany genialny detektyw i kryminolog w intymnej asyście pięknej policjantki) i standardowymi mordercy, który miał, rzecz jasna, tragiczne przeżycia w dzieciństwie. Ciekawy jest za to kluczowy pomysł, bo rzecz obraca się wokół totalnej inwigilacji, jakiej w nowoczesnym państwie podlegamy (szczęśliwie raczej w Ameryce niż w Polsce), i niebezpieczeństwa, gdy ktoś zły a sprytny dogrzebie się dostępu do wirtualnego kosmosu danych na nasz temat, o którego istnieniu większość z nas nie ma pojęcia. Tak więc rozrywka rozrywka, ale po lekturze Deavera nie jeden zawała się, nim wrzuci swoje zdjęcie do sieci.

– Marcin Sendek



Psubrat

„Deogratias” to opowieść o człowieku, który patrzył na ludobójstwo w Rwandzie i wbrew własnej woli stanął po stronie oprawców

++++ SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

Mierzenie czaszek i nosów to specjalność nie tylko faszystowskich Niemiec. Podobne eksperymenty zafundowali belgijscy kolonizatorzy mieszkańcom Rwandy w latach 20. XX wieku. Na podstawie tych badań podzielili ich na plemiona Tutsi i Hutu, wpisując im tożsamość etniczną do dowodów osobistych. Wcześniej terminy te oznaczały raczej przynależność kastową, bo oba były żyły ze sobą od wieków i zupełnie się wymieszały. Po działaniu funkcjonował umownie i płynnie. Jeśli na przykład Tutsi tracił majątek, następowała jego społeczna degradacja do rolników Hutu. Działalność Belgów zaowocowała konfliktem, który największe żniwo zebrał w masakrze dokonanej na Tutsi w 1994 roku.

Stassen przybliżył nam te wydarzenia z perspektywy postaci, która jest jednocześnie ofiarą i oprawcą. Tytułowy bohater Deogratias zostaje zmuszony do zamordowania wywodzącej się z Tutsi ukochanej. Wkrótce popada w szaleństwo. Poznajemy go już po ludobójstwie, kiedy sądzi, że jest psem, a jednocześnie stanowi żywe świadectwo tamtych wydarzeń. I choć budzi w ludziach śmiech i politowanie, postanawia zemścić się na tych, którzy brali udział w rzezi.

W ciągu stu dni zginęło blisko milion Tutsi. Sąsiedzi mordowali sąsiadów i wskazywali bojówkom Interahamwe, kto jest Tutsi, bo obcy trudno byłoby dokonać identyfikacji. Jeśli Hutu nie chciał zabijać Tutsi, sam ginął od maczety. Zdarzało się, że matki mordowały własne dzieci.

Stassen, rodowity Belg do dziś mieszkający w Rwandzie, stara się zachować jak największy dystans. Zamiast bezpośrednio oceniać i wyrażać wprost swoje emocje, przedstawia mechanizmy rządzące Afryką. Jest także doskonale świadomy ograniczeń komiksowego medium. Nie ma ono szans na dogłębne przedstawienie wszystkich płaszczyzn konfliktu. Nie udźwignie także jego skali. Dlatego nie zobaczymy scen krwawej jatki – w takich momentach artysta posługuje się symbolem, sugestią i niedomówieniem. Nie jest to bynajmniej próba estetyzacji zdarzenia, ale świadomy i doskonale przemyślany zabieg mówiący o bezradności opowieści wobec ludzkiego bestialstwa. Narracja obrazkowa świetnie nadaje się za to do zilustrowania tragedii pojedynczego człowieka. Fabułę prowadzi dwutorowo – łączy sceny z życia bohatera sprzed jego „psiego” wcielenia z okresem, w którym wyrzuty sumienia doprowadzają go do obłąd.

Jedyne, co trochę irytuje, to postawa wydawcy, który nie zatroszczył się o wstęp do komiksu. Chociaż album ukazuje się w nowej serii „Wiek XX, wiek XXI”, edytor nie zakładał chyba, że sięgną po nią tylko studenci politologii i miłośnicy Czarnej Łądy. Tym bardziej że o ludobójstwie w Rwandzie do dziś mówi się bardzo niewiele.

Jean-Philippe Stassen
„Deogratias”,
Egmont,
s. 80, 29 zł

++++

Romans obozowy

„Miłość w cieniu zagłady” to zupełnie inny obraz Auschwitz

INNY, BO POKAZUJĄCY POLSKICH więźniów prominentów, którzy w obozie koncentracyjnym radzili sobie całkiem nieźle. Co nie znaczy, że mogli czuć się bezpiecznie. Stąd główni bohaterowie, czyli Mała (Żydówka) i Edek, postanawiają uciec, wymyślając plan jak z filmów akcji. Komiks oparto na faktach znanych z relacji świad-

ków. Także język dialogów dobrze oddaje obozowy żargon. A jednak całość jest porażką. Dlaczego? Otóż cała historia liczy dokładnie 31 stron, reszta to dodatki. Przy zastosowaniu przygodowo-sensacyjnej narracji objętość skazuje komiks na powierzchowność. Głównie kontekst wydarzeń, Auschwitz jest zaledwie naszkicowany, Holocaust potraktowany zdawkowo. A o tym, że można inaczej, świadczą rodzimy „Achtung Zelig!”, który drugą wojnę ukazał surrealistycznie i oryginalnie. Cóż,

zostaje czekać na kolejne „Epizody z Auschwitz”, bo wydawca zakłada stworzenie całej serii. Może następne tomy będą lepsze.

Sebastian Frąckiewicz

Marcin Nowakowski (rysunek), Michał Gafek (scenariusz), „Epizody z Auschwitz. Miłość w cieniu zagłady”, K&L Press, Oświęcim 2009, s. 40, 25 zł



OTWÓRZ
oczy

63 SŁYNNNE ROBOTY

AUTOMATONY, KARAKURI,
ROBOTY, ANDROIDY, DROIDY,
CYBORGI, REPLIKANTY... **OTO
KRÓTKA HISTORIA ROBOTÓW
– TYCH ZBUDOWANYCH I TYCH
JEDYNIIE WYMYŚLONYCH.**
A ZARAŻEM POWTÓRKA PRZED
PÓJŚCIEM DO KINA NA KOLEJNĄ
CZĘŚĆ „TERMINATORA”

2002 ASIMO – jeden z najbardziej zaawansowanych robotów w dziejach. Dyrygował orkiestrą, złożył kwiaty na grobie Karela Čapka, a tu odwiedził premierę filmu „Roboty”. Jego imię nawiązuje do postaci Isaaca Asimova, amerykańskiego pisarza SF, twórcy trzech praw robotyki



1495 Rycerz automat zaprojektowany przez Leonarda da Vinci



XVI w. Aktywowany cytatem z Tóry Golem w Pradze. Tu w filmie z lat 20.



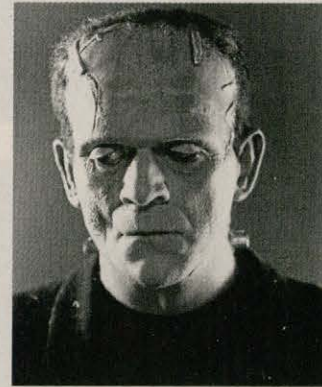
1738 Jacques de Vaucanson wymyśla automatony – mechaniczne zabawki



XVIII w. Japońskie karakuri, jak automatony, bawią lub parzą herbatę



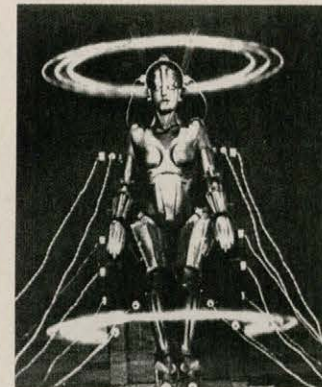
1801 Grosno Jacquarda, czyli pierwszy automat przemysłowy



1818 „Frankenstein” Mary Shelley. Tu bohater z twarzą Borisa Karloffa



1921 Karel Čapek wymyśla słowo „robot”. Wyżej jego „R.U.R.” w teatrze



1927 Maria z „Metropolis” Fritza Langa, robot epoki filmu niemego



1938 Elektro palił papierosy i znał 100 słów, ale czy wtopiłby się w tłum?



1939 Błaznany Drwal z Krainy Oz był cyborgiem, nawet serce miał z blachy



1949 Roboty żółwie Elmer i Elsie W. Greya Waltera, miały uczyć, bawiąc



1951 Gort w „Dniu, w którym stanęła ziemia”. Nie mówił, za to zabijał



1956 Robby The Robot z „Zakazanej planety” zrobił karierę w TV i reklamie



1961 Unimate trafia do fabryki koncernu GM. Robotnicy go nie lubią



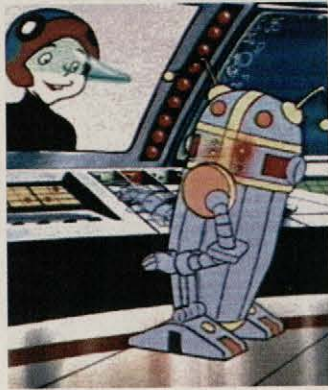
1963 Serial „Doctor Who” miał swojego (psiego) robota, K-9



1965 B9 (znów dziewczątka) był jednym z bohaterów „Lost In Space”



1968 HAL 9000 z „2001 – Odysei kosmicznej” – buntownik bez powodu



1972 7-Zark-7. Pamiętacie „Zalóg G”? George Lucas zapamiętał



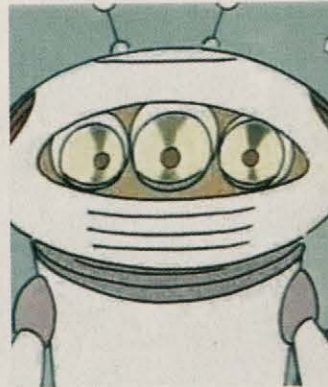
1972 Huey, Dewey i Louie pomagali chronić przyrodę w „Niemych wyścigu”



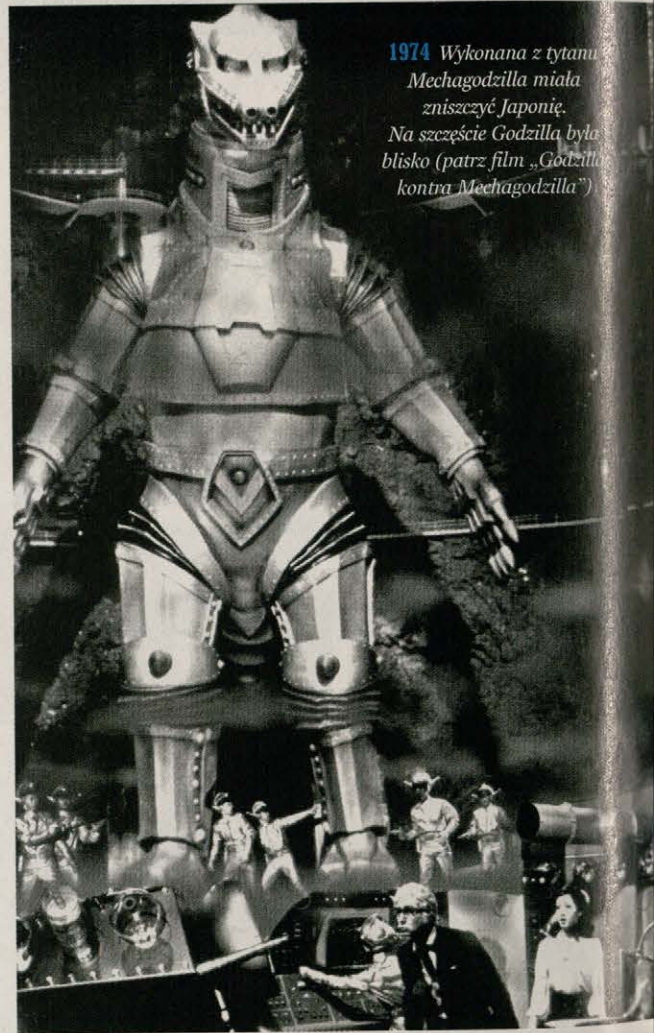
1973 Gunslinger, robot z Dzikiego Zachodu, miał twarz Yula Brynnera



1973 Japoński Wabot I miał rozmiar i (tak mówili twórcy) kształt człowieka



1974 Mikrobi był może niepozornym robotem, ale za to mówił po węgiersku



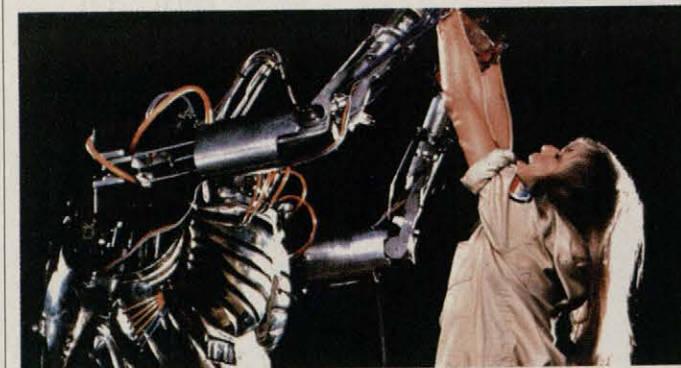
1974 Wykonana z tytanu Mechagodzilla miała zniszczyć Japonię. Na szczęście Godzilla była blisko (patrz film „Godzilla kontra Mechagodzilla”)



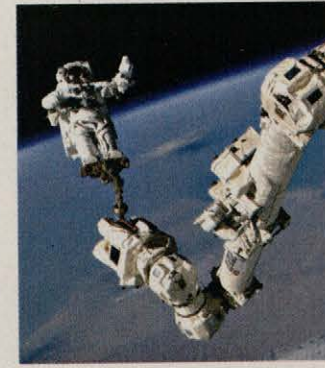
1977 C-3PO i R2-D2 z „Gwiezdnych wojen”. Jeden mówił dużo, drugi mało



1979 Omnibot też robił za robota. Umiał mało, ale wbudowali mu hi-fi



1980 Robot Hector z bazy księżycowej w filmie „Saturn 3” miał żywy mózg wyjęty z ludzkiego płodu (brrr!), ale z możliwością programowania



1981 Ramię Canadarm, czyli dumny wkład Kanady w podbój kosmosu



1982 Pris z „Lowcy androidów”. Zbuntowany robot lekkich obyczajów



1983 Polska myśl techniczna: robot kolejkowy Ewa („Alternatywy 4”)



1985 Omnibot 2000, ostatni krzyk miniauryzacji. Plus „sterownik” IBM



1987 Robot Mega Man, gwiazda pierwszych (co widać) gier wideo



1990 Robodoc (pośrodku) po pierwszej (wbrew pozorom udanej) operacji



1984 Pan Kleks i chłopiec. Nie dość, że sztuczny, to jeszcze dali mu Adolf



1986 Android Lance Bishop 341-B z drugiej i trzeciej części „Obcego”



1987 „Robocop”, czyli to, co zostało z zabitego policjanta, plus dużo blachy



1994 Karl Ruprecht Kroenen z „Hellboya”, cybernetyczny nazista



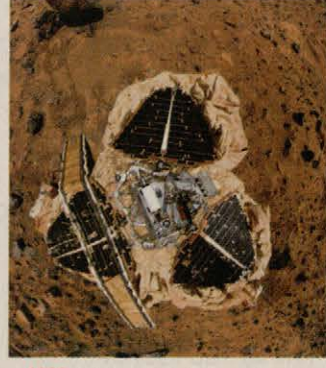
1984 Optimus Prime, najsłynniejszy z Transformersów. Dziś wraca w filmie



1986 Komandor Data ze „Star Trek: Następne pokolenie” też był androidem



1989 Szczęściarz Genghis wykonany na MIT. Chodząca maszyna to nie mit!



1996 Gdzie człowiek nie może, tam posle Pathfindera. Dokładnie na Marsa



1984 Pierwszy „Terminator”, czyli model T-800. Dla przyjaciół – Arnie



1986 Johnny 5 z komedii „Krótkie śpięcie” zdezerterował z armii



1989 Cyborg Motoko Kusanagi – słynna major z „Ghost In The Shell”



1996 RoboTuna, czyli robot, który miał sprawdzić, jak to jest być rybą



1997 Człekokształtny, dwunożny i chodzący robot, czyli P3 firmy Honda



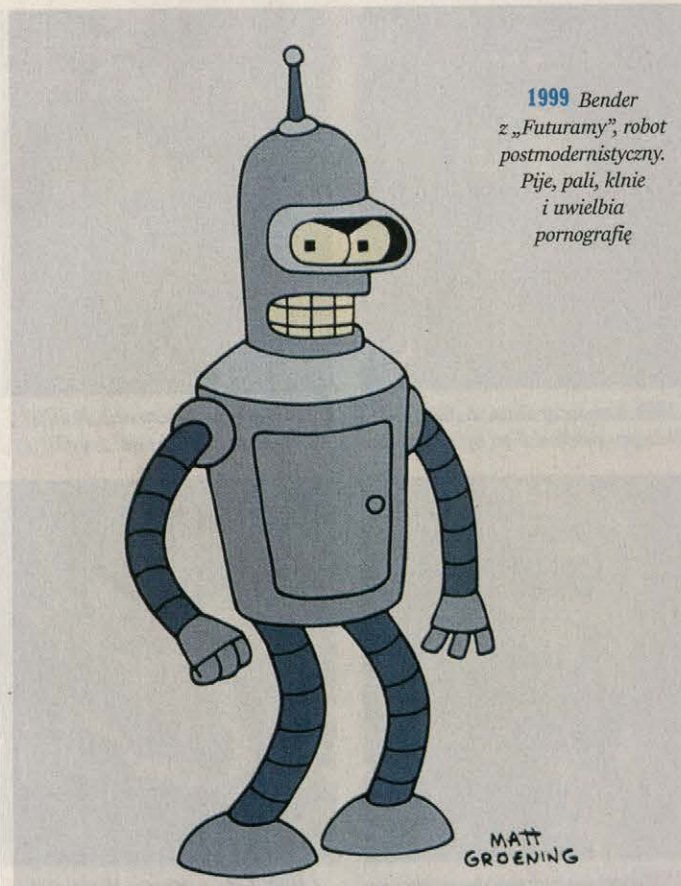
1998 Nieczłekokształtny i niechodzący obiekt westchnień dzieci – Furby



1998 Mindstorms firmy Lego, czyli obiekt westchnień starszych dzieci



1999 Aibo firmy Sony, typowy pies z kamerami, sensorami i mikrofonem



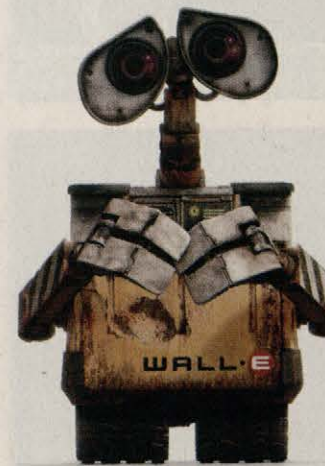
1999 Bender z „Futuramy”, robot postmodernistyczny. Pije, pali, klnie i uwielbia pornografię



1999 Strażnicy, czyli prawdziwe oblicze świata robotów w „Matriksie”



2002 Roomba. Robot odkurzacz. Ten przynajmniej zna swoje miejsce



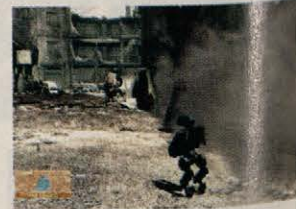
2008 „Patrzcie, kto się tu gramoli. To robocik Wall-E” (prawie jak Johnny 5)



2001 David, robodziecko, które czuje („A.I. Sztuczna inteligencja”)



2004 Sonny z filmu „Ja, robot”. Spełnione marzenie Isaaca Asimova



2008 Jeszcze jeden robot w grze, czyli Mk. 2 z „Metal Gear Solid”



2009 Model T-600. Do zobaczenia w „Terminatorze: Ocalenie”

REKLAMA

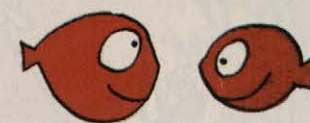


Już w sprzedaży PRZEWODNIK KONCERTOWY

A w nim:

- kalendarium wakacyjnych imprez muzycznych
- obszerne opisy koncertów
- wywiady z artystami
- historia letnich festiwali
- poradnik praktyczny: jak przeżyć festiwal
- przydatne telefony, adresy www

Wydania specjalnego „Lato muzycznych festiwali” szukaj w najlepszych punktach sprzedaży na terenie całej Polski

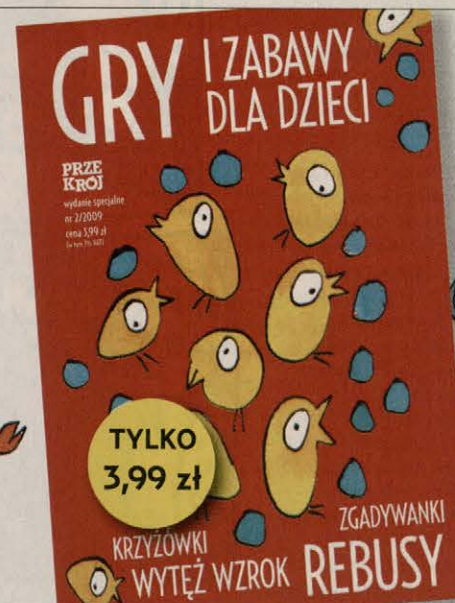


JUŻ W SPRZEDAŻY

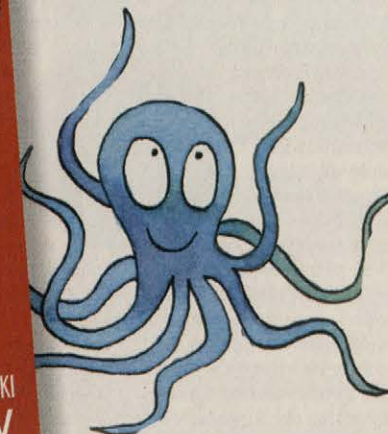
WYDANIE SPECJALNE DLA NAJMŁODSZYCH
„GRY I ZABAWY DLA DZIECI”

a w nim: zgadywanki, rebusy, krzyżówki,
wyteż wzrok, kolorowanki, wierszyki.

Wydania
„GRY I ZABAWY DLA DZIECI”
szukaj we wszystkich punktach sprzedaży
na terenie całej Polski.



www.przekroj.pl



2005 Japoński ekorobot to nawiązanie do dawnych karakuri



2007 Simroid, robot szkoleniowy dla dentystów, wierci się i wpada w furię



Za oknami zagościły ciepłe wiosenne aromaty.
Restauracja i Cukiernia Smaki Warszawy
zaprasza Państwa do skosztowania dań pełnych słońca
w klimatycznie zaaranżowanym ogródku.

ul. Żurawia 47, Warszawa,
tel. +48 (22) 621 82 68, www.smakiwarszawy.pl

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

ŁADNE RZECZY O PAPIEROWYCH
UBRANIACH, KRZYŻÓWKA
O WENECKIM SPORTIE (DWÓJKA ZE
STERNIKIEM – GONDOLA), A SZARY
O KOCHANIU SIEBIE I INNYCH

KONKURS

Uwaga, konkurs!!! Czytaj „P”
i wygraj! Kogo pozytywnie ma-
strzelanie z karabinu maszynowego.
Osoba, która jako pierwsza wy-
prawdową odpowiedź na adre-
s: rozrywka@przekroj.pl, otrzyma-
książkę Maxime’a Chattam.
„Drapieżcy”. Odpowiedź z zesz-
tygodnia: grupa Napszytka
beprzekładnie, narnu-
potencjał.

ŁADNE
RZECZY!

OLA SALWA

Uwaga, gnecie się! Przepis na lekką walizkę – zapakuj ubrania z papieru

W kolekcji
Artisnal
Margieli
obok tej
marynarki
jest też
bolero
z lateksowych
masek



PAMIĘTACIE ORIGAMI,
kreatywną japoń-
ską rozrywkę, któ-
ra była modna na dłu-
go przed innym importem,
czyli sushi?
Sama zatrzymałam się
na składaniu łódki, ale by-
li i tacy, którzy potrafili złożyć
kartkę papieru w zwierzęta,

owady i roboty. Nie wiem, czy
awangardowi projektanci po-
kroju Martina Margieli i Hus-
seina Chalayana byli fanami
origami, ale z pewnością ich
myślenie o papierze jest rów-
nie twórcze. Pierwszy zapro-
jektował kilka miesięcy te-
mu białą jedwabną marynar-
kę, do której doczepił kawałki
ręczników papierowych. Z ko-
lei Chalayan uszył (czy raczej
skleił) serię papierowych
sukienek, w tym taką, któ-
rą można złożyć do rozmiar-
u koperty. Ponoć ubranie się
nie drze. Zresztą to niejedyny
dziwny projekt Brytyjczyka
mającego na koncie wisior
z kamieni* i spódnice zro-
bioną ze stołu. To co? Gra-
my w papier, nożyczki, ka-
mien?

* Zwiewna tkanina plus wisior
ze skałek: **Chalayan** to dziś
czołówka awangardy w modzie

❁ Piękne, ale
kompletnie
bezużyteczne
błyskotki? Nie tym
razem – lśniące
kamyczki Kimska
to zarazem sprytne
wieszaki na torebki.
Rozwijasz palak,
kładziesz na stole
i masz torebkę na oku



MYŚLNIK

Podczas bitwy
– z duszą
na ramieniu,
po bitwie
– z pagonami

Krzysztof
Bilica

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



LEWO
MYŚLNIK

Sąd patrzy na sztukę Osiem lat. Pięćdziesiąt rozpraw. Dziesiątki świadców. Liczne ekspertyzy. Krytycy sztuki. Religioznawcy. Obrażeni. Niezłomni prokuratorzy. Przenikliwy sędzia

ROMAN KURKIEWICZ



JAK MÓWIĄ KOMENTATORZY, „PASJA” DOROTY NIEZNALSKIEJ
postawiona przed sądem jest najdogłębniej obejrzanym
i przeanalizowanym dziełem sztuki, wydarzeniem ar-
tystycznym w historii. Sędzia nie ma wątpliwo-
ści: „Wolność wypowiedzi artystycznej nie
może dominować nad wolnością sumienia
i wyznania. Artystka wiedziała, że zesta-
wienie świętego symbolu (*sacrum*) z mę-
skimi genitaliami (*profanum*) może wy-
dać się obelżywe i obrażać uczucia religij-
ne”. Jaki wyrok może zapisać po takim uza-

świadczeniu? Wydaje się oczywiste.
Ona już nigdy nikogo nie obra-
zi. Niech już zawsze piele zieleni
niebieską sadzoną w liniach pro-
stych, bez żadnych wzorów, ża-
dnych skrętów ornamentacyjnych
przechodzących w skrzyżowanie
sacrum i profanum.

Obrazu boska z tymi obraza-
jącymi się! Nie obrażaj się, sędzie,
nie obrażasz naszą inteligencję,
tylko nasze poczucie humoru, moją
identyfikację ze sferą profanum.
Przepraszam cię, sędzie, przed ilu-
zją jest. Jest podobno takie pra-
widło w probabilistyce (chyba pro-
fani, może neutrum, choć dla
niektórych *sacrum*), które mówi,
prawdopodobieństwo zajścia

dowolnego zdarzenia jest równe
jeden. Co oznacza, że każde, naj-
bardziej niezwykle, niewyobra-
żalne, niewymyślalne, niepo-
jętne wydarzenie ma w so-
bie moc istnienia. Jest tylko jed-
no ograniczenie – czas musi być

Po tym wyroku
państwo polskie
jest Dorocie
Nieznalskiej
sporo winne
– może dużą wystawę?

nieskończony. W sprawie Doroty
Nieznalskiej nie musieliśmy cze-
kać aż tak długo, bo kilkoro po-
słów narodowo-religijno-rodzin-

nych oglądało program w TVN.
I poruszyli niebo i ziemię, chcąc
skazać ją na piekło (w pewnej
formie im się udało, w znaczeniu
profanum oczywiście, bo przez
te lata galerie odsyłały z kwit-
kiem jej próby pokazania czego-
kolwiek – a to dla artysty piekło).
Najbardziej poruszeni okazali
się prokuratorzy – bywalcy mu-
zeów i galerii awangardowych,
miłośnicy pytań śmiałych, prze-
łamujących tabu i fale, osobnicy
niepokorni, niezależni, odważni
i śmiali. Czego dowiedli, choćby
pracując nad porwaniem Krzys-
tofa Olewnika. A państwo polskie
prokuratorów od sztuk wizual-
nych awangardowo ich w tym
trudzie wsparło. I niech się pań-
stwo polskie wstydzi.

Po tym wyroku państwo pol-
skie jest Dorocie Nieznalskiej nie
tyle coś winne, ile sporo winne.
Niechże państwo polskie zaprosi
Panią Dorotę na wielką wystawę.
W Zachęcie. A Dorota Nieznalska
niech wystawi, co chce. Na przy-
kład ja chcę zobaczyć „aresztowa-
ną” „Pasję”. Bo państwo obraża
moje uczucia obywatelskie, ludz-
kie, artystyczne, niepokorne, ate-
istyczne, wolnościowe, zabrania-
jąc mi obejrzenia tej pracy. I wy-
dania opinii – nie wyroku.

Wyrok sądu UNIEWINNIA-
JĄCY Dorotę Nieznalską zapadł
4 czerwca 2009 r. Nawet zbyt du-
żo mówi to o naszych ostatnich
20 latach odzyskania „niepod-
ległości”.

Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Kochamy: 1) Zachód
2) siebie 3) Wschód*

(*niepotrzebne skreślić)

1) Szary doskonale rozumiał,
dlaczego pokolenie jego rodzi-
ców było zapatrzone w Zachód
(czyli to, co nie jest RWPG).
Zachód bowiem zawsze repre-
zentował coś lepszego. Ale...

2) Choć do Zachodu tęskniliśmy,
to również nim pogar-
dzaliśmy, ponieważ
nas zdradził i porzu-
cił. Myśmy wiedzieli
więcej, bo więcej
doświadczaliśmy.
Stosowaliśmy też
wobec siebie inne
niż wobec obcych miary.

Nasz ojciec, który podczas woj-
ny wrzucał granat do kawiarni
pełnej okupantów (i cywilów),
to był bohater, a czyniący po-
dobnie Palestyńczyk to jest nic.
Czy zwróciliście kiedyś uwagę
na postaci obcokrajowców w fi-
lmach Krzysztofa Z.? To albo
nierozgarnięci, albo klepto-
manki, albo golasy biegające
bez wartości po saunie, podczas
gdy za ścianą toczy się prawdzi-
wy (bo polski) dramat. A propos
dramatu, to nawet w dramacie
takiego ironisty jak Tadeusz R.
Obcy mówi: „Nie pojmuję...
co się tu dzieje... to jakiś cyrk
trup”, na co Polak mu odpowia-
da: „Jeździ pan dużo, ale mało
widzi. Tak, w gruncie rzeczy pan
jest mocno głupi”.

Szary nie po to teraz rzuca ka-
mieniem, by powiedzieć, że sam
bez winy. Swą pierwszą wy-
prawę na Zachód – jeszcze
za komuny – odbył, niestety!,
do kraju-bombonierki. Gdy
w Zurychu napotkał demon-
strację przeciwko elektrowniom
atomowym, powiedział
do znajomego Szwajcara:
– Wy nie macie problemów,
więc możecie demonstrować
z tak blagiego powodu!
A Zachód przyszedł pieszo,

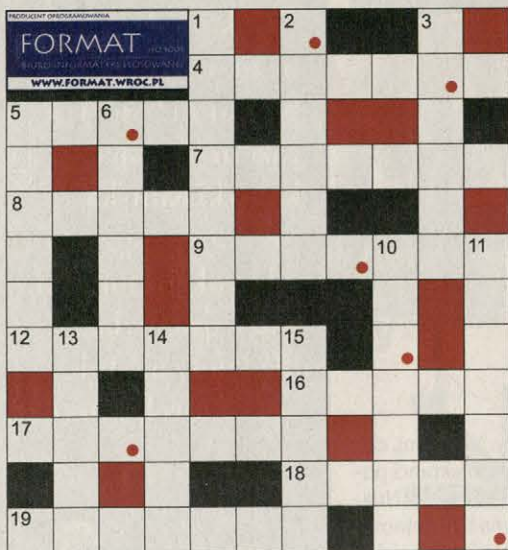
wraz ze swoimi kasetami VHS,
używany beemkami, tuma-
czeniem Folleta, cappuccino
i prawami człowieka. Nama-
calność i dostępność rozsypały
węzeł naszej miłości i wyższo-
ści, z którego pozostała tylko
jedna szarfa, ta druga.

W pokoleniu Szare-
nas już nie wypadało
kochać Zachodu.
A co wypadało?

3) Jeździć po ob-
jawienie do Indii,
z których wracało
się nowym człowiekiem

(nowość polegała głównie
na zapuszczeniu brody). Wypa-
dało jeździć do Babadag albo
„gdzieś tam”. Pewien poeta
znany zarówno z długich wło-
sów, jak i długiej frazy ze łzami
w oczach wyznawał, iż jadąc
na rowerze przez Rosję, cza-
sem nie miał co jeść, ale energię
czepał ze spotkania z ludźmi.
Gdy natomiast w Danii chciał
rozbić namiot, miejscowi omal
nie wezwali policji.

– Hm, to dziwne – powiedzia-
ła Szara, leżąc na trawniku
w centrum Kopenhagi. – Te an-
derseny wydają się całkiem
sympatycznym narodem. – My-
ślisz, że w Dniepropietrowsku
można na trawniku zrobić so-
bie majówkę? – zapytał Szary.
– A czy tam są w ogóle traw-
niki? – zapytała Szara, myśląc
jednocześnie, czy nie preferuje
się tam ekstraktu z ziemnia-
ków. – Może wcale nie jest tak,
że ci, którzy są biedni, są od ra-
zu szlachetni? – rzucił Szary.
– Wszyscy tak zwani ludzie kul-
tury są na tyle uduchowieni,
że mówiąc o złotej duszy rosyj-
skiej, zapominają o nie mniej
złoty rosyjskich zębach – po-
wiedziała Szara, która wiecznik
narzekała na brak biżuterii.



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo tworzą wyraz-rozwiązanie.

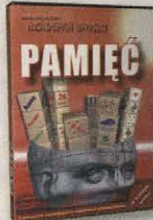
POZIOMO:

4. NA GŁUPIE KRZYŻÓWKI
5. POD GWIAZDAMI
7. DWÓJKA ZE STERNIKIEM
8. SKOK WZWYŻ
9. WYKOLEJENIEC
12. MIĘSO DLA WEGETARIAN
16. PRZYCZEPIŁY SIĘ DO PSIEGO OGONA
17. POLANA W LESIE
18. MAJSTER-KLEPKA
19. Z DZIEWCZYNKAMI

PIONOWO:

1. WYSTRAŁOWY MĘŻCZYZNA
2. MIESIĄC W MIESIĄC
3. SZKŁA DZIEWECZKA
5. ROBOCIK
6. PONIŻEJ ŁOPATKI
10. NA ŁEB, NA SZYJĘ
11. I NA STO LAT
13. NA ŁEB
14. CZEKA NA KLAPSA
15. PIERWSZA MOJA, DRUGA TWOJA, TRZECIA JEJ

Sponsorem nagród jest FORMAT – producent nowoczesnego oprogramowania edukacyjnego www.akademia-umyslu.edu.pl



JOLKA NR 23

AUTOR: JERZY BUCZEK

WYRAZY 8-LITEROWE:

- IRONIZOWAŁ P.N.E.
- KŁUJE I KOPIE W BIOTOPIE

WYRAZY 7-LITEROWE:

- KOŚCIOŁ TO ZA MAŁO
- PEŁEN MANÓW ZE WSZYSTKICH STANÓW
- SŁOWO BAŁAGANIARZA!
- GŁUPSI OD RANKA
- FAŁUJE W PRZEŁOMIE
- WPŁYWA FRANCUZOM NA APETYTY
- KAWAŁEK FINLANDII
- SPONTANICZNA REAKCJA RUSAŁEK NA KAWAŁEK
- BŁĄD KRÓLA STRZELCÓW
- PRZED GWIAZDKĄ KUSZĄ BARDZIEJ

WYRAZY 6-LITEROWE:

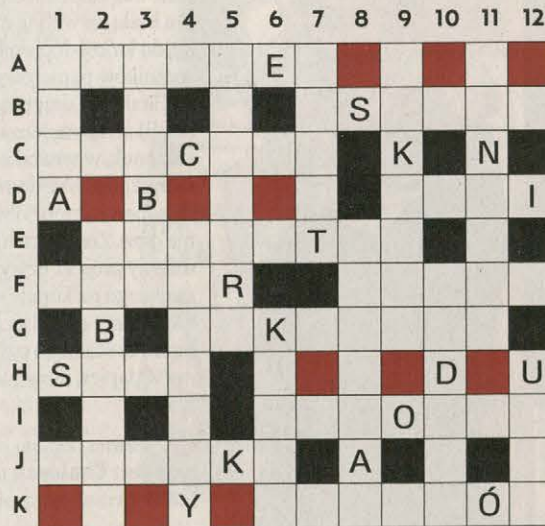
- NA METRY POD MORWĄ
- STRATA PIRATA • MILSZA MU PASZCZA SOKOŁA
- IDOL PUSTKI

WYRAZY 5-LITEROWE:

- WŁOCHATA BAŃKA NA MLEKO • LOS LOKALU • KRÓLOWANIE Z NIEDŹWIEDZIEM • BOŻEK DWUROŻEK

WYRAZY 4-LITEROWE:

- MARZENIE ŚCIEJ GŁOWY SZÓSTKI • RANNY W BAŃCE • 20 TYSIĘCY MIL PODMORSKIEGO SZPINAKU • OZDOBA LIBRETTA



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

J4_B12_I11_E2_C3_F8_B1_B5_/K2_/D10_I7_F3_A2_/J1_G9_K7_A11_C6_E4_.

Uwaga! Jolkę nr 23 i krzyżówkę nr 23 możesz też wydrukować ze strony WWW.PRZEKROJ.PL

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI



Wygraj jeden z 10 NOWOCZESNYCH PROGRAMÓW EDUKACYJNYCH „Pamięć” (Biuro Informatyki Stosowanej FORMAT). Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRKK.HASŁO KRZYŻÓWKI lub JOLKA PRKK.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 72606. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Wilejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem: „Jolka 23” lub „krzyżówka 23”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 21 czerwca 2009 roku. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Edipresse Polska SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Wilejskiej 19, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swobodnych danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

ROZWIĄZANIA Z NR. 21

KRZYŻÓWKA: PIERNAT

Poziomo: 4. PIKARSKI – TRENING 5. PIKARSKI – POKER 7. OŚLINIONE ZĄBKI – ZNACZEK 8. JAN NIE SŁUGA – SERCE 9. T – LITERAT 12. ZMUSZANY DO WYJŚCIA – PASJANS 16. HÓW, ŻE TO NIE TY – ALIBI 17. ATLAS – OLBRYM 18. SRODEK NASENNY – BAJKA 19. ZESPÓŁ WOJSKOWY – ESKADRA Pionowo: 1. EW. FLINTA – STRZELBA 2. WSZYSTKO SIĘ UKŁADA – PEDANT 3. SZUMOWINA – KONIA 5. NIE COPIE SIĘ PRZED NICZYM – POSTĘP 6. POZATY CD – KORPUS 10. OSOBISTA SPRAWA – REWIZJA 11. KWIAT Z BUTELKI – TULIPAN 13. WSZYSTKIE STRONY ŚWIATA – ATLAS 14. DOM Z JUTRA – JURTA 15. PIERWSZE KROKI W BRAZYLII – SAMBA

JOLKA: KARAOKE DLA DAMY Z PIESKIEM (tytuł książki Tatiany Polakowej)

Rzędami: PEDAGOG, ORBITA, UPALY, SUBLOKATOR, GAMA, RENOMA, SICZ, HYDROWEZEL, SŁOMY, KOKOS, KRYTYKI

Kolumnami: SOSIK, ZRZUTKI, CHODY, PIELGRZYMA, DARY, PARKAN, OGONKI, DRUT, POGAWĘDKA, GWAR, MATEUSZ, GRYKA

LAUREACI Z NR. 19

KRZYŻÓWKA:

Andrzej Grabowski, Warszawa; Lidia Kamińska, Chelmo; Renata Nieradka, Olsztyn; Przemysław Spandel, Koszęcin; Bogusław Szumielewicz, Iłża

JOLKA:

Ligia Bauman, Mława; Halina Grzeszkowiak, Wrocław; Marcin Hycnar, Warszawa; Bolesława Kozicka, Radłów; Alojzy Nowak, Gorzów Wielkopolski

Wychowałem się w Kartuzach. Zawsze myślałem, że kiedy dorosnę, będę mieszkał w cichym, kameralnym mieście. Po 14, kiedy stają maszyny, stocznia staje się takim miastem

MICHAŁ SZLAGA



KUBA DĄBROWSKI

Malarze piaskarze

Koleje losu absolwentów uczelni artystycznych. Michał Szłaga portretuje kolegę z pracy

DAŃSK, WIOSNA 2004 ROKU. W GRUDNIU MICHAŁ SZLAGA skończył wydział fotografii lokalnej ASP. Jego pracą dyplomową była seria portretów robotników wykonujących zaniżające stoczniove zawody. Klasyczne, czarno-białe kadry, na których twarze mistrzów wypieranych przez nowe technologie. Teraz Michał jest typowym bezrobotnym absolwentem uczelni artystycznej. Żyje z dnia na dzień, bezskutecznie próbuje zdobywać zlecenia od redakcji, mieszka w „kolonii artystów”, mieszczącej się na terenie stoczni wórczej komunie.

– Któregoś dnia, wychodząc z domu, zobaczyłem przyklejone na murze ogłoszenie: „Poszukiwani do pracy: malarz piaskarz, monter pokładowy, szlifierz”

– opowiada Michał „Przekroju”. – Rozpaczeli: wie potrzebowałem pieniędzy. Pomyślałem, że malarz to coś dla mnie. Artysta po akademii, wiadomo – śmieje się. Prace rozpoczyna za dwa tygodnie: – Najpierw jest piaskowanie, trzeba oczyścić burtę statku z rdzy. Przy małym kawałku blachy robi się to papierem ściernym, przy kilkudziesięciu metrach ludzie stają się papierem ściernym. Robotnicy wkładają specjalne kominy i pod ogromnym ciśnieniem wy-

Szłaga wytrzymał na stanowisku malarza piaskarza osiem dni. Dzisiaj jest jednym z bardziej wziętych fotografów w kraju. Ciągłe mieszka w stoczni. I nadal utrzymuje kontakt ze sportretowanymi Łukaszem

Canon



strzelają z szlauchów piasek. Siła aż cię odbija, trzeba się mocno trzymać na nogach. Nie spodziewałem się, że to aż tak trudne.

– Większość robotników, z którymi pracowałem, to były stare wygi z solidarnościową przeszłością – wspomina autor zdjęć. – Brygadzystę fotografowałem wcześniej do dyplomu. Był tylko jeden chłopak w moim wieku, Łukasz Wyczyński. Naturalnie poznaliśmy się ze sobą. Łukasz mi pomagał, dawał wskazówki. Pomyślałem, że będzie idealną postacią do sfotografowania.

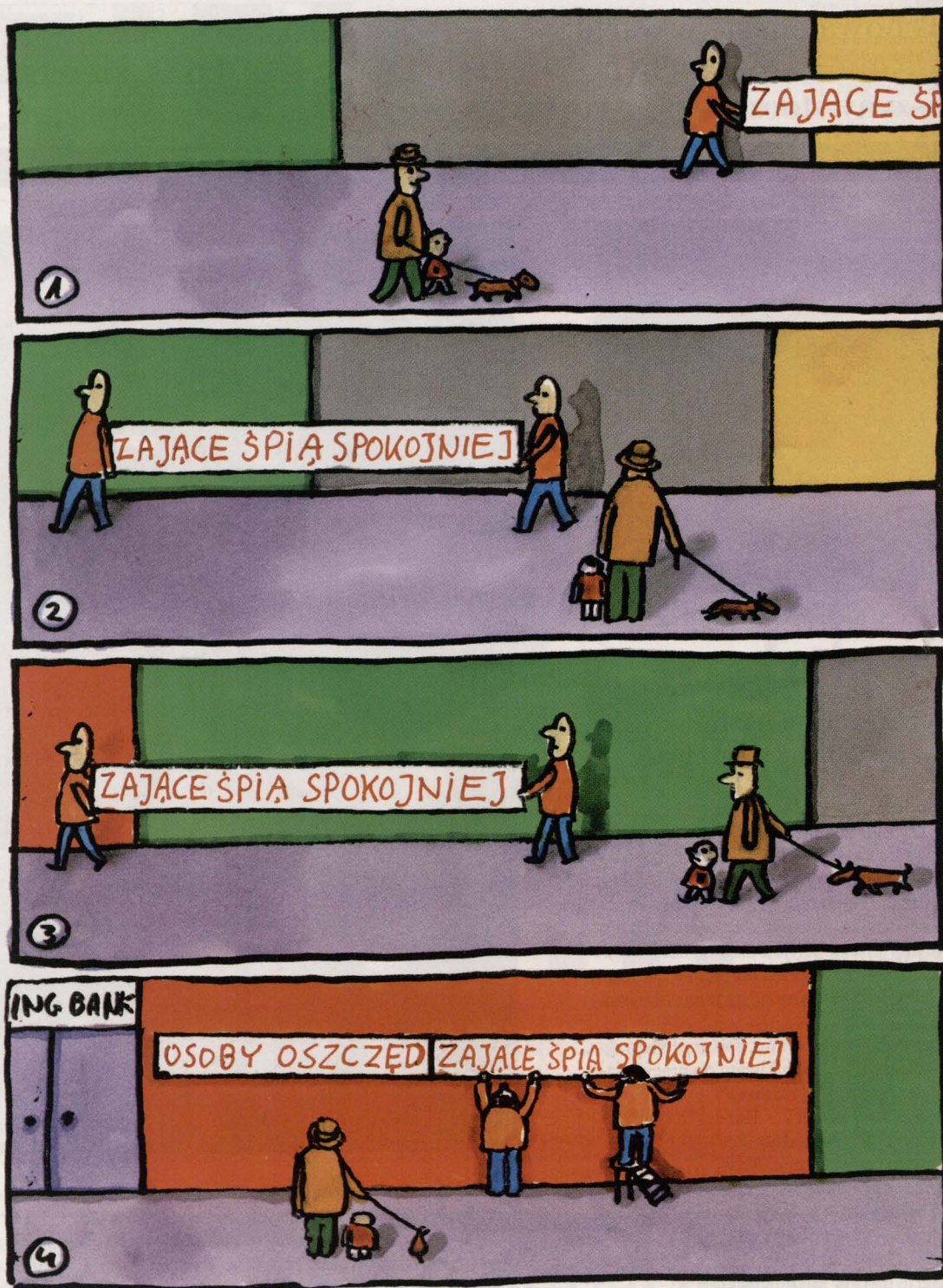
VIVA! PHOTO AWARDS 2009

konkurs pasjonatów fotografii

VIVA! PHOTO AWARDS 2009

DLA ZWYCIĘZCÓW KAŻDEJ Z 5 KATEGORII NAGRODY PIENIĘŻNE 50000 ZŁ

0 ŁĄCZNEJ WARTOŚCI ZDOBYWCA GRAND PRIX OTRZYMA SZANSE ZREALIZOWANIA SESJI ZDJEĆIOWEJ NA ŁAMACH DWUTYGODNIKA VIVA! NAGRODĘ SPECJALNĄ OD FIRMY APART (ZEGAREK BAUME & MERCIER) SZCZEGÓŁY KONKURSU NA WWW.PHOTO-AWARDS.VIVA.PL



MIŁOŚĆ RACZKOWSKI "PRZEKRÓJ"

Oprocentowanie zmienne. Stan na dzień 10.06.2009 r.

Warto oszczędzać. Tak było, jest i będzie.

Kto oszczędza, ten śpi spokojniej. A kto oszczędza w ING Banku Śląskim, może ponadto wpłacać i wypłacać pieniądze w dowolnym momencie bez straty odsetek. Pieniądze, które wpłacisz **teraz** na konto oszczędnościowe, będą oprocentowane na **5,5%** w skali roku do 10 lipca br. Szczegóły w placówkach banku i na www.ing.pl